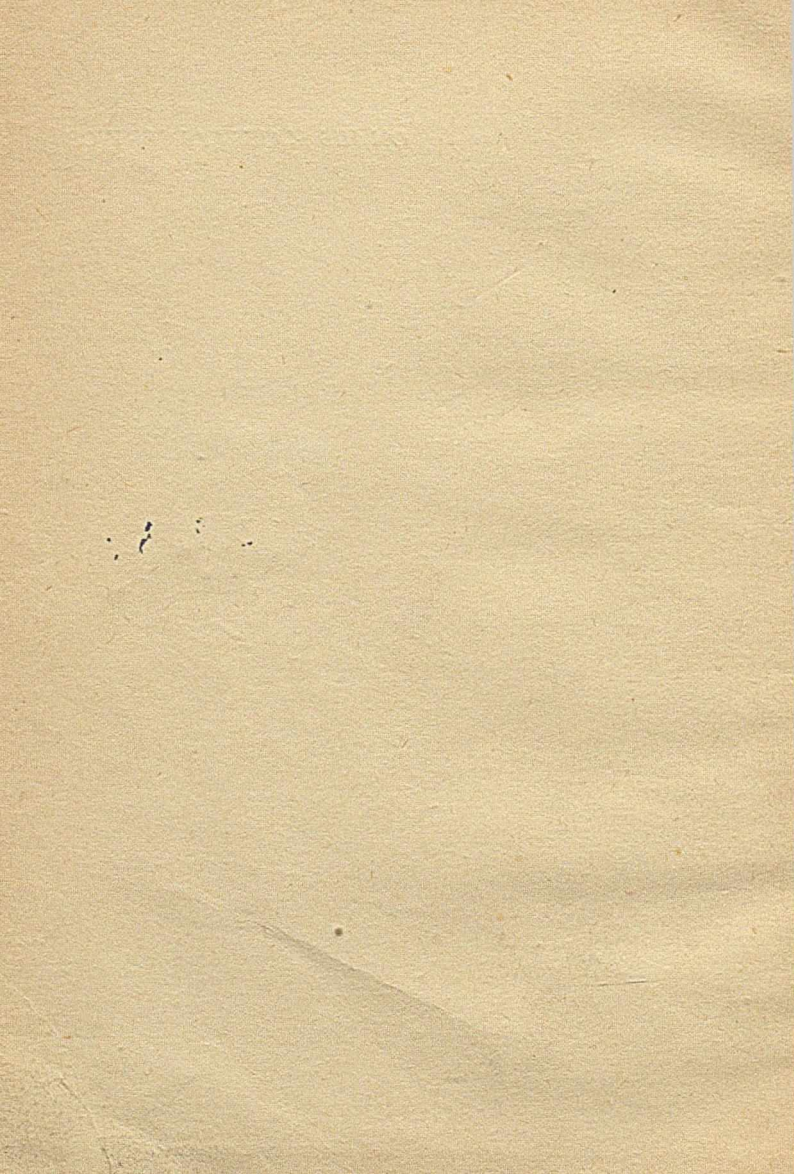


ON HIS MAJESTYS SERVICE

17/10/1874  
RECEIVED  
17/10/1874

John  
Taylor

2328





MIECZYŚLAW SCHMIDT

ON HIS  
MAJESTY'S SERVICE

(NAOKOŁO AFGANISTANU)

~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~Nr 2328~~



WARSZAWA, KSIĘGARNIA E. WENDE i S-ka  
Poznań — Fiszer i Majewski; Łódź i Katowice — Ludwik Fiszer;  
Toruń i Siedlce — Towarzystwo Wydawnicze „Ignis“

Odbito w drukarni „Rola” J. Buriana  
w Warszawie, Mazowiecka 11  
1925

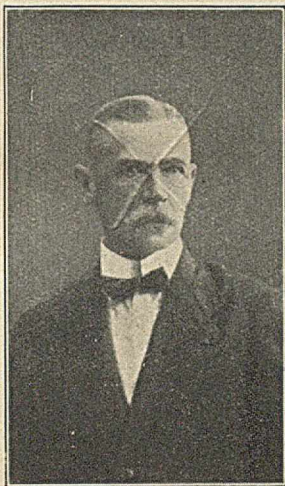


SI 18865



913(5)1929-0514/2





*Mieczysław Schmidt*  
*Zdjęcie 1919 r.*



52m

On h

9

2328



SN



## DO CZYTELNIKÓW

Przystępując do opublikowania pamiętników mojej przymusowej podróży, czuję się w obowiązku zapewnić Czytelników, że wszystkie opisane przeze mnie sceny i zdarzenia faktycznie miały miejsce. Robię to dlatego, że niejednokrotnie, podczas opowiadania moich przygód spotykałem się z wykrzyknikami słuchaczy: to niemożliwe, to nie do uwierzenia! i jeszcze z tego względu, że w ostatnich czasach ukazało się wiele egzotycznych opisów podróży, spłodzonych w fantazji autorów, obrachowanych jedynie na sensację i zaciekawienie czytelników. Wszystkie wymienione przeze mnie nazwiska są autentyczne, nazwiska angielskich oficerów notowane były według ich brzmienia, mogą się różnić od rzeczywistych jedynie tylko pisownią.

Ogłaszając te pamiętniki, spełniam jednocześnie obietnicę, daną przeze mnie wszystkim towarzyszom podróży, którzy, mam nadzieję, są jeszcze żywi i którym cała ta podróż dziś musi się wydawać jakimś snem dręczącym, a niektóre jej przygody przygodami z tysiąca i jednej nocy.

*Miecz. Schmidt*

2 lutego, 1924 r.

## TELEGRAM Z LONDYNU

*Sekretarz stanu, lord Crew, na bankiecie w Ministerstwie Spraw Indyj, powiedział: Nieprzyjaciel obwinia nas o to, że wkrótce staną na linii ognia, obok Anglików, Hindusi, my jesteśmy dumni z tego, ponieważ jesteśmy przekonani, że nieprzyjaciel otrzyma przed końcem wojny kilka lekcyj rycerskości i humanitaryzmu.*

## POWRÓT POLAKÓW Z INDYJ

*Prowadzone od dłuższego czasu pertraktacje rządu Rzeczypospolitej Polskiej z rządem Wielkiej Brytanji, celem osiągnięcia porozumienia w sprawie internowanych w obozach w Indjach obywateli polskich, doprowadziły do pomyślnego skutku i pierwszy transport w ilości 26 osób przybył już do kraju, drugi jest w drodze. W najbliższym czasie prawdopodobnie powrócą do kraju wszyscy obywatele Rzeczypospolitej Polskiej, internowani w Indjach. Przy tej sposobności należy podkreślić z wdzięcznością i uznaniem wysoce humanitarny sposób traktowania internowanych w obozach w Indjach przez władze angielskie, które roztaczały nad nimi gorliwą opiekę.*

*P. A. T. („Kurjer Warszawski”) 14.IV.1921 r.*



## WSTĘP

Wielka wojna, rozpoczęta w imię sprawiedliwości i kultury, zgładziła ze świata dziesięć milionów ludzkich jednostek i pogrążyła w nędzy najbogatsze kraje Europy. Prowadzona z niesłychaną zaciętością, ujawniła okrutne zwierzęce instynkty, drzemiące w głębi charakteru nawet tych narodów, które szczyciły się dotąd swoją kulturą i cywilizacją. Nigdy może jeszcze w imię wielkich haseł humanitaryzmu i sprawiedliwości nie popełniono tyle gwałtów, zbrodni i okrucieństw, jak podczas trwania ostatniej wojny, i to nietylko na polach walki, ale i poza jej obrębem, nad niebiorącymi czynnego udziału w wojnie obywatelami. Wszystkie popełniane przestępstwa, poniewieranie praw jednostek i całych grup społecznych tonęły, jak w morzu, w chaosie wojennym, a ślady ich zacierano lub usprawiedliwiano koniecznością walki o lepszą przyszłość. Jeżeli obwiniano się wzajemnie o popełnianie okrucieństw, to często dlatego jedynie, aby znaleźć usprawiedliwienie dla swoich własnych przestępnych czynów i zagłuszyć własne sumienie.

Zahartowaliśmy się przez lata wojny w tym chaosie zbrodni i zwyrodnienia. Przyzwyczajiliśmy się do odczytywania opisów obcinania uszów, darcia lampasów ze skóry ludzkiej, przywiązywania do słupów kobiet, z takim uczuciem, jakby to były powieści z dawno minionych czasów, nie zdając sobie sprawy, że

w tych okrucieństwach biorą, jeżeli nie czynny, to bier-  
ny udział, nasi bracia, mężowie, przyjaciele i znajomi.

Wojna się skończyła, narody wyteżają wszystkie  
siły dla ustanowienia praw, gwarantujących spokój, ład  
i sprawiedliwość, jednocześnie literatura powojenna  
każdego narodu przepelniona jest opisami bohaterskich  
epizodów wojennych. Wychwalamy odwagę, poświę-  
cenie i waleczność jednostek i całych grup, stawiając  
je za przykład przyszłym pokoleniom i jednocześnie  
pozostawiamy w cieniu okrutne stronicie wojny. W tym  
podniosłym hymnie chwały i zwycięstw giną jęki  
i cierpienia męczenników, ginie płacz milionów ofiar,  
krzywdy, których odkupić niepodobna.

Oddając należną cześć odwadze i poświęceniu, nie  
zapominajmy jednakże o tem, że z bohaterami powróci-  
ła z pola walki czereda szakali, tchórzów i szalbierzy,  
którzy dziś razem z nimi święcą niezasłużony triumf i  
korzystają z zasług tych, co polegli w okrutnych bojach.

Oddając hołd i uznanie cnocie i bohaterstwu,  
obowiązkiem jednocześnie jest piętnować występki  
i przejawy zwyrodnienia, popełniane w poczuciu bez-  
karności przed prawem podczas trwania wojny. Pa-  
miętajmy, że bohaterów prawdziwych, poświęcających  
się dla lepszej przyszłości, los nie szczydził i pozostało  
ich przy życiu mało, a przez to między tymi, co po-  
wrócili, zwiększył się procent okrutników, gwałcicieli  
i szalbierzy, którzy staną do pracy wraz z nami dla  
lepszego jutra. Zamykając oczy na ich występłą prze-  
szłość, będziemy odpowiedzialni za los nowych poko-  
leń, które powołane są do nowej budowy, a które wzo-  
rować się będą na cnocie rzekomych bohaterów.

Jeżeli hymny na cześć zwycięzców mają być  
przykładem i kształcić nowe pokolenia, czyż nie  
wskazaniem jest z jednakową siłą piętnować czyny,  
hańbiące szakali wojny.



Niech święcone dziś triumfy będą nietylko triumfem zwycięzców, ale triumfem prawdy i sprawiedliwości przez uczczenie pamięci niewinnych ofiar, złożonych na ołtarzu lepszej przyszłości.

Wojna okrutna i bezwzględna dla wroga, względem swoich, pomimo rygoru wojennego i dyscypliny, wskutek rozluźnienia węzłów społecznych, jest pobłażliwa, z czego zawsze korzystają natury podłe i nikczemne. Okrucieństwo, kradzież, swawola, spekulacja święcą tam swoje triumfy i zaledwie w nadzwyczajnych wypadkach bywają postawione pod pręgierz opinii publicznej i karane.

Po wojnach powstają miljonowe fortuny, nędzarze stają się milionerami. Podczas wojny giną bez wieści spokojni obywatele z rąk niewykrytych rozbójników, albo przez osobistą zemstę okrutników. Któż o tem nie wie, kto nie był tego świadkiem?

Niech więc nie unikną hańby ci, którzy przypasali miecze, aby dogodzić swoim występnyim instynktom, krzywdzić i hańbić bezbronne ofiary. A takich był legjon, i z tego haniebnego legjonu większość pozostała nietknięta i dziś jest między nami.

Piętnowanie publiczne uzdrowi społeczeństwa i podniesie zasługi prawdziwych bohaterów, którzy polegli za świętą sprawę lepszej przyszłości.

Takie dążenie do uzdrowienia opinii społecznej staje się tem niezbędniejsze, że poziom moralności po wojnie obniżył się w przerażający sposób. Przeszłości popełniane przez oddzielne jednostki i grupy znajdowały bardzo często usprawiedliwienie i tolerowane były nietylko przez opinię społeczną, ale nawet przez władze, które w zrozumieniu w swej bezsilności nie mogły stosować należytych środków dla zwalczania objawów zwyrodnienia.

Jeżeli czyny nadużyć i okrucieństwa mogą być

poniekąd usprawiedliwione podczas zapamiętałej walki na śmierć i życie, w chwili uniesienia, na linii ognia, to na tyłach armji, zdala od szału wojennego, popełniane przez ludzi nie narażonych na niebezpieczeństwa, sytych, działających spokojnie i na chłodno, w przeświadczeniu swojej bezkarności, są dowodem zwyrodnienia i braku kultury.

Wiele pisano o okrucieństwach, popełnianych podczas wojny przez narody, stojące na niższym stopniu rozwoju kultury. Całe legendy krążą o wyszukanych znęcaniach się nad jeńcami przez Węgrów, Turków i zezwierzęcone tłumy bolszewickie. Skromne wiadomości dochodzą nas o tem, co się działo w wojskach tych narodów, które szczycą się wyższą kulturą, uważają się za heroldów wzniosłych haseł sprawiedliwości, poczucia honoru i obowiązku, i dziś, po skończonej wojnie światowej roszczą sobie prawo do przewodniczenia innym narodom, uważając je za niższe od siebie rasowo i kulturalnie.

Najbogatszą może literaturą, opisującą nadużycia i okrucieństwa nieprzyjaciół podczas trwania wojny, jest literatura angielska. O tem, co się działo w wojskach angielskich i w krajach przez nie okupowanych, z jakich jednostek składała się ta naprędce sformowana armja, nie tylko my, ale i świat cały mało jest dotąd poinformowany.

Tupet, czelność, a nawet arogancja imponująca w wielu wypadkach w życiu prywatnym popłaca często więcej jeszcze na szerokiej arenie światowej. Manewr uciekającego rzezimieszka, który woła: „łapcie złodzieja“, szeroko dziś jest stosowany i w życiu publicznem, niestety, z wielkiem powodzeniem. Nikt może więcej, niż my, Polacy, nie odczuwa tej smutnej prawdy tak często i tak dotkliwie.



# I

## W TURKIESTANIE

W styczniu 1918 roku zawarłem w Baku umowę z przedstawicielami Centralnego Komitetu Zreformowanego Prawosławnego Synodu na zorganizowanie fabrykacji świec kościelnych z wosku ziemnego („ozokierytu”).

Do Lipca trwały przedwstępne przygotowania w Baku i Astrachani i zakupywanie surowego materiału, którego dostarczały kopalnie na wyspie Czelekienie, położonej na morzu Kaspijskim u brzegów Persji.

Ukończywszy techniczne instalacje fabryki w Baku, i mając już przystąpić do fabrykacji, w miesiącu lipcu otrzymałem wiadomość, że zakupiony przez nas wosk ziemny został w drodze, przy transportowaniu z wyspy Czelekienu do Baku, zarekwirowany przez władze bolszewickie w Krasnowodzku w składach Towarzystwa Żeglugi „Kaukaz i Merkury”.

Krasnowodzk jest to miasto portowe, położone u brzegów morza Kaspijskiego w Zakaspijskim Okręgu Turkiestanu.

Zaniepokojony, zawiadomiłem o tem telefonicznie Centralny Komitet Synodu i wkrótce, w ostatnich dniach lipca, przyjechał do Baku członek Komitetu,

Protojerej Wadow, który przywiózł od władz moskiewskich rozporządzenie uwolnienia od rekwizycji wosku, jako towaru, będącego własnością „Koope-ratywy Wierzących”, dosłownie po rosyjsku „Koopie-ratiwa Wierujuszczich”.

Były to początki gospodarki bolszewickiej, i takie nadzwyczajne dziwołagi były jeszcze niekiedy praktykowane ze względów taktycznych. Liczono się jeszcze z prawosławiem.

Postanowiliśmy więc, otrzymawszy takie przy-chylne rozporządzenie, niezwłocznie jechać do Krasnowodzka, aby uwolnić towar od rekwizycji.

Wyjazd z Baku, w którym rezydował wówczas przysłany z Moskwy pełnomocny komisarz na Kraj Zakaukaski Szaumian, był wzbroniony.

Otrzymawszy z wielkimi trudnościami pozwole-nie na wyjazd, wyjechałem dnia 31 lipca z Baku na statku „Korniłow”, w towarzystwie Wadowa i handlo-wego przedstawiciela Synodu, szwajcarskiego oby-wa-tela R. Stumpa, do Krasnowodzka.

Przypuszczaliśmy, wyjeżdżając, że cała podróż nasza potrwa zaledwie kilka dni, gdyż droga z Baku do Krasnowodzka trwa 18 godzin, a statki między Baku i Krasnowodzkiem kursowały codziennie. Stump i Wadow zabrali klucze od swojego mieszkania, a ja nie pożegnałem się nawet ze swoją rodziną, uważając podróż za zwykłą przejażdżkę, jaką często w in-teresach odbywałem.

Portowe miasto Krasnowodzka liczy zaledwie pa-rę tysięcy mieszkańców, przeważnie urzędników i ro-botników kolejowych. Jest to początkowa stacja Środ-kowo-Azjatyckiej Dr. Żel., prowadzącej wzdłuż granic Persji przez bezludne stopy Turkiestanu do Buchary i dalej do Taszkientu. Położone jest ono na skalistem



brzegu morza, pozbawione słodkiej wody i roślinności i otoczone amfiteatrem skał alabastrowych.

Pobył w niem w letnie upalne miesiące jest prawdziwą męczarnią. Po godzinie 12-iej w południe życie w mieście zamiera, sklepy są pozamykane; ulice są pokryte grubą warstwą mialkiego jak puder, szaro-żółtawego pyłu, który przy każdym stąpieniu unosi się kłębamii w najcichszą pogodę. Ponieważ całe lato bywa bezdżdżyste, mury domów rozpalają się podczas dnia od promieni słonecznych i temperatura mieszkań w nocy jest wyższa od temperatury zewnętrznej. Do mieszkania wchodzi się z wrażeniem, jakby się wchodziło do pieca chlebowego.

Po przyjeździe do Krasnowodzka, około godz. 4-iej popoł. udaliśmy się do prezesa t. zw. „Komitetu Wykonawczego“, niejakięgo Kuhna, którego znałem przedtem osobiście jako funkcjonariusza Dr. Żel.

Jak się okazało, przyjechaliśmy w chwili zwrotu politycznego w Zakaspijskim Kraju. Przed paru dniami zabity został komisarz Frołow i w Aschabadzie utworzył się nowy rząd rewolucyjny, który nosił oficjalny tytuł „Staczecznyj Komitet“, a którego przedstawicielem na miasto Krasnowodzka był właśnie „towariszcz“ Kuhn.

Powinszowawszy zaszczytneęgo stanowiska p. Kuhnowi, zawiadomiłem go o celu naszego przyjazdu. Otrzymałem obietnicę załatwienia naszej sprawy dnia następnego, i udaliśmy się na spoczynek do hotelu, w którym spędziliśmy bezsenną, duszną noc.

Na drugi dzień Protojerej Wadow zachorował na krwawą dysenterję i w obawie gorszych następstw, nie będąc w stanie przenosić upału, odjechał statkiem do Astrachani, pozostawiając nam potrzebne dokumenty i prosząc, abyśmy załatwili sprawę bez niego.

Przez dwa dni następne wyczekiwaliśmy w biurze Komitetu na towarzysza Kuhna, który zjawiał się na białym koniu, otoczony przyboczną strażą, zeskaکیwał z rumaka, ginął w zamkniętym gabinecie, i po chwili wychodząc w temże otoczeniu, dosiadał znów rumaka i znikał nam z oczu.

W biurze Komitetu poradzono nam, abyśmy nie tracili czasu napróżno, oczekując na audjencję, ale udali się do centralnej władzy w Aschabadzie, która jedynie ma prawo zdjęcia sekwestru, i bez pozwolenia której p. Kuhn, pomimo że obiecał, nic dla nas nie będzie mógł uczynić. Postanowiliśmy więc jechać 2-go sierpnia o godz. 4-ej pp.

Wyjechaliśmy z Krasnowodzka, i na drugi dzień w południe przybyliśmy do Aschabadu.

Miasto Aschabad zbudowane jest w odległości kilkunastu kilometrów od granicy Persji, pośród bezludnej pustyni. Otaczają je bezwodne, wypalone od słońca stepy, w których koczują zimową porą plemiona turkmeńskie. Ludność Aschabadu, oprócz niewielkiej ilości kupców Ormian i Turkmenów, składa się przeważnie z urzędników, funkcjonariuszy i robotników kolejowych. W nim mieści się główny zarząd Zakaspijskiej Dr. Żel. Za carskich czasów w nim koncentrowały się naczelne cywilne i wojskowe władze Zakaspijskiego Okręgu i stał liczny garnizon wojska.

Miasto to było mi dobrze znane, bywałem w niem często przedtem w sprawach przemysłowo-handlowych, jako dyrektor kopalni naftowo-ozokierytowych na wyspie Czelekienie, następnie nawet jako przedstawiciel władzy, ponieważ za rządów Kiereńskiego mianowany zostałem Komisarzem Przemysłowego Regionu Zakaspijskiego Okręgu.

Podróż z Krasnowodzka do Aschabadu w letnich miesiącach odbywa się w wagonach o zamkniętych



szczelnie podwójnych oknach, podczas podzwrotnikowego upału, dla zapobieżenia przedostawania się do wagonu gryzącego, miałkiego pyłu, który cały czas w ciągu podróży unosi się z rozpalonej powierzchni stepu, osiada na ubraniu i ciele i przenika we wszystkie szczeliny, dostając się nawet do szczelnie zamkniętych walizek.

Zakurzeni i zmęczeni upałem i podróżą, postanowiliśmy po przybyciu do Aschabadu o 4-ej godz. popoł. resztę dnia poświęcić na odpoczynek i przyprowadzenie siebie i naszych rzeczy do porządku, a dopiero na drugi dzień rozpocząć odpowiednie starania w naszej sprawie.

Zatrzymaliśmy się w śródmieściu, w znanym mi najstarszym i najprzystojniejszym hotelu. Od komisjонера hotelowego, który okazał się Polakiem, byłym szeregowcem wojsk rosyjskich, dowiedziałem się, że w Aschabadzie od kilku dni utworzył się nowy rząd, złożony przeważnie z kolejarzy, na którego czele stoi komisarz, maszynista dr. żel., niejaki Funtikow.

Na drugi dzień rano pojechałem do gmachu, gdzie rezydował Komitet, aby poprosić o audjencję u komisarza Funtikowa, zostawiwszy Stumpa w hotelu. Funtikow przyjął mnie przychylnie, wysłuchał o co mi chodzi, ale, jak zauważyłem, widocznie nie zdawał sobie narazie sprawy, jak to należy formalnie załatwić, jakie i komu wydać odpowiednie zarządzenia. Obiecał więc wyznaczyć jednego z członków Komitetu dla załatwienia formalności tegoż dnia popołudniu. Ucieszony powodzeniem powróciłem do hotelu i w najlepszych humorach zasiedliśmy ze Stumpem do obiadu, na zewnętrznej galerji hotelu, wychodzącej na ogródek.

Dzień był nadzwyczaj upalny. Cisza panowała taka, że liście na drzewach akacji zwieszały się nie-

ruchomo. Hotel był prawie pusty. Mieszkało w nim kilku zaledwie pasażerów, oczekujących na otwarciu przerwanej komunikacji z Bucharą i Taszkientem.

Wspominając dziś wszystkie te przygody, jakie mnie od tego dnia spotkały, nie mogę przemilczeć drobnego epizodu, który powinienem być uważać za złowrogą przepowiednię dalszych moich losów.

Podczas obiadu na środek ogródka spadły dwa gołębie i poczęły zbierać rozsypane okruchy. Placyk naokoło był pusty i nie widzieliśmy prócz nich żadnego żywego stworzenia. Gołębie zachowywały się spokojnie, wyszukując ziarna z właściwą im zwinnością i wdziękiem, gdy wtem przyczajony niepostrzeżenie kot wykonał nadzwyczajny skok i porwał w naszych oczach jednego z gołębi. Było to tak nagłe i nieoczekiwane, że w pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, co się właściwie stało. Czarny trzepoczący skrzydłami gołąb wraz z czarnym, trzymającym go w swym pysku kotem tworzyli jakby jedną całość jakiegoś nieznanego, skrzydlatego potwora.

Rzuciliśmy się na ratunek ofiary. Na wszczęty przez nas hałas wybiegł służący z kijem, jednakże drapieżnik, choć w strachu o własną skórę, nie wypuszczał z pyska ofiary, która trzepocząc skrzydłami, utrudniała mu ucieczkę. Pomimo naszej pogoni, ryzykując wpaść pod razy kijów, przemknął się zwinnie mimo nas, wpadł przez małe okienko do piwnicy i zniknął w labiryncie korytarzy piwnicznych, unosząc swoją zdobycz.

Polując często na Kaukazie, bywałem świadkiem dowodów śmiałości i zręczności różnego rodzaju drapieżników, ale ten zuchwały napad wśród białego dnia, na otwartym placu, wykonany z taką nadzwyczajną zręcznością i śmiałością, o kilka kroków od nas, wpra-



wił nas w zdumienie i zarazem wywarł przygnębiające wrażenie.

Drobny ten pozornie epizod wywarł na mnie dziwnie przygnębiający wpływ. Nie dokończywszy obiadu, postanowiłem wypocząć, i prosiłem Stumpa, aby pojechał beze mnie do Komitetu, a wrznie gdyby zaszła potrzeba mojej obecności, zavezwał mnie przez telefon.

W kilkanaście minut po jego odjeździe zavezwa-  
no mnie do telefonu, przez który Stump jakimś wyraźnie zmienionym, przyciszonym głosem wzywał mnie, abym natychmiast przyjechał. Wyjechałem niezwłocznie i zastałem Stumpa w dużej poczekalni, przez którą przebiegali w różnych kierunkach „towarzysze”, stojącego pośrodku ze zmienioną twarzą i wypiekami na policzkach. Nie zdążyłem, podszedłszy do niego, zapytać, jak stoi sprawa, kiedy usłyszałem wymówione szeptem słowa: „Jestem aresztowany”.

Będąc otrzaskanym z rozmaitemi niespodziankami za rządów rewolucyjnych, pomimo całego tragizmu w głosie Stumpa, ani na chwilę nie wziętem tego na serjo, będąc przekonany, że potrafię bez trudności wyjaśnić nieporozumienie. Przyszło mi na myśl, że przyczyną podejrzenia i aresztowania był zewnętrzny wygląd Stumpa, wygolonego cudzoziemca, w sportowym ubraniu, typ w Aschabadzie rzadki i zwracający uwagę.

Niezwłocznie udałem się do następnego pokoju, prosząc o zameldowanie mnie prezesowi Komitetu Funtikowowi. Pomimo nalegania z mojej strony i oświadczenia, że chcę się widzieć w sprawie niecierpiącej zwłoki, powiedziano mi, że Funtikow przyjąć mnie nie może, ponieważ rozmawia z angielskim oficerem. O obecności Anglików w Aschabadzie usłyszałem wtedy pierwszy raz, nie zdając sobie sprawy, jaką oni

odgrywają rolę w Aschabadzie i o czym mogą konferować z Prezesem Komitetu. Powróciłem do Stumpa i postanowiliśmy czekać na wyjście z gabinetu Funtikowa, aby osobiście z nim wyjaśnić sprawę.

Po jakimś czasie podszedł do nas jakiś „towarzysz”, mianujący się komisarzem milicji, i oświadczył, że ma polecenie zrobić u nas rewizję w hotelu. Natychmiast chętnie udaliśmy się z nim piechotą. U wyjścia z gmachu przyłączyło się do nas jeszcze dwóch „towarzyszy”, z których jeden, jak się okazało, był członkiem, a drugi funkcjonariuszem Komitetu. Rewizja w hotelu trwała zaledwie parę minut ze względu na skromną zawartość naszych walizek, ponieważ wybierając się w drogę zaledwie na kilka dni, wzięliśmy z sobą jedynie po parę sztuk bielizny i podrózne przybory toaletowe. Podczas rewizji staraliśmy się objaśnić cel naszego przybycia do Aschabadu, przedstawiliśmy kwity na wosk ziemny, przechowywany w składach Towarzystwa Żeglugi „Kaukaz i Merkury”, pełnomocnictwa Prawosławnego Synodu i paszporty nasze, wydane na imię szwajcarskiego i polskiego obywatela.

Dowody te zachwiały widocznie w rewidentach podejrzenie co do naszej politycznej nieprawomyślności, albowiem, po krótkiej naradzie między sobą, pozostawili nas w spokoju, opuścili nasz numer i prosili, abyśmy przybyli za godzinę do gmachu Komitetu dla ostatecznego wyjaśnienia nieporozumienia.

Uważając incydent za zlikwidowany, spokojni o swój los, udaliśmy się po upływie godziny do Komitetu. Po przybyciu na miejsce komisarz milicji, który dokonywał rewizji w hotelu, poprosił nas uprzejmie, abyśmy się z nim udali do jego biura. Szliśmy swobodnie we trzech przez ulicę Aschabadu, prowadząc rozmowę w żartobliwym tonie, uważając całe



zajście za nieporozumienie, które się już wyjaśniło i które może nawet przyśpieszy załatwienie sprawy, dla której przybyliśmy do Aschabadu. U wejścia do gmachu komisarz milicji, który przedstawił się nam jako Makarenko, poprosił nas, abyśmy poczekali na niego, gdyż musi na chwilę odejść. Wszedłszy do pokoju zastaliśmy tam cztery nieznanym osobom, należące, jak można było zauważyć z ubioru i zachowania się do klasy inteligentnej. Spoglądaliśmy na siebie z ciekawością i z zainteresowaniem. Jak się później okazało, byli to przyszli towarzysze naszej niedoli: szwedzki obywatel Turmuren, z zawodu masażysta i zarazem funkcjonariusz towarzystwa Braci Nobel w Baku, Wagner, niemiecki poddany, student medycyny, funkcjonariusz niemieckiego Czerwonego Krzyża, Kowenko, były rosyjski oficer awiacji, ranny na dżwińskim froncie, udający się na posadę do Banku Międzynarodowego w Bucharze i Smutny, były podporucznik armji austriackiej, jeniec wojenny, wzięty do niewoli przez wojska rosyjskie. Makarenko zjawił się wkrótce i oświadczył nam wszystkim niespodziewanie, iż na żądanie władz angielskich jesteśmy aresztowani.

O egzystencji angielskich władz w Aschabadzie nic dotąd nie wiedzieliśmy, niepodobna było zrozumieć, jaki stosunek mógł egzystować między władzą kulturalnych Anglików, a rządem pomocnika maszynisty Funtikowa. Każdy z nas z radością witałby władze angielskie w tym dzikim kraju, reprezentujące ład i sprawiedliwość pośród chaosu i bezprawia. Byliśmy więc mocno przekonani, iż wystawiony powód naszego aresztowania był zmyślony, w celu uniknięcia tłumaczenia i usprawiedliwiania się z popełnionego nad nami gwałtu. Przychodziło mi na myśl, że padliśmy ofiarą jakiejś fałszywej denuncjacji, nie tra-

ciłem jednak i teraz jeszcze nadziei, że cała sprawa wyjaśni się wkrótce. Rachowałem na to, że mam w Aschabadzie w różnych sferach wielu znajomych, na których mogłem się powołać i na których pomoc miałem prawo liczyć.

Po wysłuchaniu oświadczenia Makarenki o naszym aresztowaniu pozostawaliśmy w pokoju niezamkniętym bez konwoju. Znając miasto i mając znajomych wśród miejscowej wpływowej ludności turkmeńskiej, mogłem bez ryzyka opuścić gmach milicji i szukać bezpiecznego schronienia. Nie zrobiłem tego jedynie ze względu na towarzysza podróży Stumpa, który bez mnie straciłby głowę i gotów był narazić się na większe niebezpieczeństwo.

Koło godz. 6-ej wieczorem wyruszyliśmy wraz z czterema nowymi znajomymi, bez konwoju, w towarzystwie jedynie komisarza Makarenki, na miasto, w nadziei, że zatrzymają nas do jutra w odpowiednim przyzwoitem pomieszczeniu dla sprawdzenia dokumentów i wysłuchania naszych wyjaśnień. Upewniła mnie w tym przypuszczeniu ta okoliczność, że kierowaliśmy się nie w stronę więzienia, lecz w stronę dworca kolejowego. Przechodząc przez salę poczekalni 2-ej klasy zaproponowaliśmy uprzejmie komisarzowi by zjadł z nami kolację, na co on chętnie się zgodził. Zasiadliśmy wspólnie przy stole. Makarenko podczas kolacji wyrażał nam współczucie i zwał całą winę za nasze aresztowanie na władze angielskie, przytem zawiadomił nas, że w Aschabadzie przebywają przebrani po cywilnemu oficerowie armji angielskiej, która stoi na granicy Persji.

Pomimo całej, jak się nam zdawało, szczerości Makarenki, nie potrafił on jednakże nas przekonać o udziale Anglików w naszym aresztowaniu, gdyż sama myśl o współdziałaniu angielskich władz z grupą



samozwańców i warchołów politycznych z pomocnikiem maszynisty Funtikowym na czele wydawała się nam absurdem.

Podczas kolacji podeszło do mnie kilku znajomych chanów turkmeńskich i kiedy im powiedziałem, że jestem aresztowany, najprzód uważali to za żart, a później wyrazili swoje oburzenie. Uspokoilem ich, obiecując, że jutro zobaczymy się w hotelu. Niestety, nie przewidywałem dalszych losów, których smutną przepowiednią było niezwykle spotkanie się z czarnym drapieźnikiem.

Z dworca skierowaliśmy się na nieznaną mi ulicę wzdłuż plantu kolei i niezadługo zatrzymaliśmy się przed niewielkim parterowym budynkiem, przeznaczonym dawniej na dyżury dla kolejowych konduktorów.

Pierwsze wrażenie było dodatnie, nie do więzienia nas przecież zamykają! Krótka jednakże była nasza radość, u wejścia zastaliśmy wartę z „wolnych towarzyszy“, uzbrojoną w karabiny, nagany i inne narzędzia śmierci. Po wejściu do wnętrza znaleźliśmy się w obszernej kordegardzie, pośrodku której stał duży stół i ławy, na nich zaś siedziała straż w najróżnorodniejszych pozach, kostjumach i uzbrojeniach.

Ten typ więzień prowizorycznych, urządzanych stale w oddalonych punktach miast, należał do najniebezpieczniejszych w owych czasach. Przeznaczony on był dla najcięższych przestępców politycznych i zamknięcie w nim oznaczało, że los więźniów był już zdecydowany.

Po zamknięciu za nami drzwi przez wartę, komisarz Makarenko nagle zmienił ton i rozkazał nam natychmiast oddać wszystkie pieniądze i kosztowności pod groźbą surowej kary i rozebrania nas do naga. Pierwszy raz dopiero od momentu aresztowania zrozumiałem, że sprawa przyjmuje zatrważający obrót.

Odebranie przez komisarza rewolucyjnego, który lada chwila mógł zginąć, lub wyjechać niewiadomo dokąd, kosztowności i pieniędzy, wobec nieznanymi, wypadkowo reprezentujących straż towarzyszy, rozstrzygało nasz los. Zrozumiałem, że od chwili pozbawienia nas pieniędzy i kosztowności stawaliśmy się samo przez się już przestępcami. Myśl ta jak błyskawica przebiegła mi przez głowę. Trzeba było natychmiast znaleźć jakąś radę, zdobyć się na wysiłek, aby nie dać zapaść fatalnej klamce. Trudność położenia polegała jednak na tem, że nie znaleźliśmy się, byliśmy, że tak powiem, każdy z innej wsi. Nie wiedziałem, z kim mam do czynienia, oprócz naturalnie jednego Stumpa, na którego w podobnym wypadku także liczyć nie mogłem. O zorganizowaniu protestu i oporu nie mogło być mowy wobec niepewności, kim są i jak się zachowają nieznanymi, a nawet sam Stump, który nigdy w podobnych opałach się nie znajdował. Całe więc moje doświadczenie i energja, które mnie otrzaskanego w życiu z niemniej krytycznymi sytuacjami niejednokrotnie ratowały, były sparaliżowane.

Widząc gotowość wszystkich do opróżniania swoich kieszeni dobrowolnie, chcąc choć odwlec ostatni moment, aby obmyśleć plan działania, zwróciłem się do Makarenki z uwagą, że niema na stole papieru i atramentu, które będą potrzebne przy wydawaniu kwitów. Makarenko, zmierzwszy mnie szyderycznym wzrokiem, odpowiedział, że kwity będą wydane po przeliczeniu gotówki i odebraniu kosztowności.

Mój protest sprawił ten skutek przynajmniej, że pieniądze oddawane przez każdego z nas były liczone i układane oddzielnie, w oczekiwaniu, jakby się zdawało, pokwitowań. Ja posiadałem przy sobie około półtora tysiąca rubli, lecz postanowiłem ich nie oddawać, zrećnie natychmiast ukrywszy. Zanim zdąży-



łem się porozumieć ze Stumpem, ten ostentacyjnie wyciągnął z tylnej kieszeni spodni pięćdziesiąt pięć tysięcy rubli i imponującym gestem wręczył je Makarence.

Obserwowałem w tej chwili twarz Makarenki i poczułem, że los mój i Stumpa od tego momentu został zdecydowany. Właściciele pięćdziesięciu pięciu tysięcy rubli, które znalazły się w kieszeni komisarza, nie mogli od tej chwili liczyć na uniewinnienie.

Oddawano pieniądze pokolei. Ostatnia kolej była moja; wyjąłem z bocznej kieszeni dwadzieścia pięć rubli, oświadczywszy, że więcej nie posiadam i dołączyłem je do ogólnej sumy przeszłe siedemdziesięciu tysięcy, odebranych od nas wszystkich.

Trudno było przypuścić, że człowiek w podróży może posiadać tak małą sumę jaką przedstawiłem, należało mnie więc zrewidować. Makarenko jednak zadowolił się mojem oświadczeniem i pozostawił mnie w spokoju. Fakt ten przekonał mnie ostatecznie, że mamy do czynienia z bandytą samozwańcem, działającym w tym wypadku na własną rękę pod płaszczykiem władzy. Oszołomiony tak wielkim nieoczekiwanym połowem, chciał on uniknąć wszelkich komplikacji i czując, że we mnie może znaleźć opór, zrezygnował z reszty zdobyczy.

Czekałem na ostatni moment ceremonji wydawania kwitów, nie spuszczać oka z Makarenki, który widocznie unikał mego wzroku. Powstawszy z ławy, zgarnął drżącymi rękami pieniądze i oświadczył, że z powodu spóźnionej pory kwity będą wydane jutro. Twarz jego i ruchy wykazywały silne podniecenie, widocznem było, że pragnie jak najrychlej znaleźć się poza obrębem więzienia, aby być pewnym tak obfitej i łatwej zdobyczy.. Może obawiał się, że nadejdzie jaki inny dygnitarz komitetu i on będzie zmuszony po-

dzielić się z nim swoim łupem. Tak mu było śpieszno, że zapomniał odebrać kosztowności, pozostawiając nam zegarki, pierścionki i inne drobiazgi.

Nastąpiła ceremonia odprowadzania nas do cel, Czterech nowych naszych znajomych wprowadzono do obszernej celi, drzwiami, wychodzącymi na kordegardę, mnie ze Stumpem poprowadzono przez korytarz i zamknięto w ciemnej, podłużnej celi, w rogu budynku. Oswajając się z ciemnością, poczęliśmy pomacku szukać tapczanów, aby usiadłszy, wypocząć i zebrać myśli po tych nieoczekiwanych przejściach. Przekonaliśmy się jednak, że zamknięto nas w czterech gołych ścianach, bez żadnego sprzętu, pod nogami tylko czuliśmy jakieś twarde przedmioty i papiery, co dowodziło, że cela była przedtem zamieszkała i nieuprzątnięta. Przy świetle zapalek odrzuciliśmy grubsze śmiecie w kąt i wyciągnęliśmy się na podłodze, postanowiwszy czuwać całą noc. Muszę wspomnieć, że wyszliśmy z domu w lekkich, letnich kostjumach, nie mieliśmy więc możliwości nawet z własnych ubrań zaimprovizować podparcia pod głowę.

Pomimo tego, że po wszystkim co zaszło, przekonanie moje o prędkim, pomyślnem rozwiązaniu naszego losu zostało zachwiane, starałem się, jak mogłem, uspokoić Stumpa, który uważał się już za straconego i wypowiadał coraz straszniejsze przypuszczenia. Pozostawszy sam z myślami obok chrapiącego na całe więzienie Stumpa, który wreszcie ze znużenia usnął, starałem się na chłodno zdać sobie sprawę z położenia. Rozumiałem, że z rewolucyjnego więzienia, tam, gdzie los więźniów zależy od wypadku, albo, co gorsza, od osobistych względów bezpośredniej władzy, są tylko dwie drogi: na wolność, albo na tamten świat. Jakkolwiek okoliczności, towarzyszące naszemu aresztowaniu: rozkaz, pochodzący niewiadomo



od kogo, odmowa wysłuchania zeznań, grabież pieniędzy, it.d., wskazywały, że idziemy raczej w tym drugim kierunku, nie mogłem jednak uwierzyć, aby odważono się zlikwidować tak śmiało Stumpa, szwajcarskiego obywatela, i mnie, człowieka powszechnie w tym kraju znanego, posiadającego szerokie stosunki i znajomości, i któremu żadnej winy zarzucić nie było można. Jednocześnie pocieszałem się, że jeżeli za carskich rządów, będąc rzeczywiście winnym, potrafiłem kilkakrotnie wydobyć się z sytuacji, zagrażającej mi karą śmierci, to teraz, będąc niewinnym, potrafię się przecież usprawiedliwić.

Rozumiałem jednakże, że najważniejszym zadaniem w całej tej sprawie było znaleźć wątek, odgadnąć, jaka była bezpośrednia przyczyna naszego areztowania, kto powziął tak nagle tę myśl po moim rannem widzeniu się z Funtikowym, lecz wobec rozwiązania tej zagadki byłem całkowicie bezradny. Funtikow, bezwątpienia, chociaż przedtem nie znał mnie osobiście, słyszał jednakże o mnie, choćby z rozporządzenia o mianowaniu mnie przez rząd Kiereńskiego komisarzem Przemysłowego Rejonu Zakaspijskiego Okręgu, które było rozesłane w swoim czasie do wszystkich instytucyj, opublikowane i wydrukowane we wszystkich gazetach. Decydując się na taki krok, musiał być do tego przez kogoś zniewolony, ale przez kogo? Myśl moja pracowała przez całą noc, to dodając mi energii, to malując beznadziejność wszelkich wysiłków wobec tej niewidzialnej siły, która rozporządzała w tak niespodziewany i okrutny sposób moim losem. Zmęczony i wyczerpany myślami, leżałem na podłodze, nie będąc w stanie zasnąć.

Pierwsze promienie świtu, przedostawszy się przez okno, zamiast wlać w nas otuchę, powiększyły grozę położenia. Ujrzałem na ścianach celi ślady

krwi, która pochodziła widocznie z obfitych strumieni kaleczonego ciała, a obok rysy, najwidoczniej od ostrzy bagnatów. Brudna podłoga w różnych miejscach była zakrwawiona, w kącie leżały nagromadzone ogryzki chleba, papiery, potłuczone butelki i brudne zakrwawione kawały łachmanów. Opanowało mnie uczucie jakiejś niemocy i pierwszy raz poczułem, że jestem najzupełniej bezsilny, i że dzieje się coś takiego, co uchodzi z pod mojej orientacji, że losem moim kieruje jakaś niewidzialna siła, z którą walczyć nie mam sposobu, gdyż nie wiem, skąd się przybliża. Ani na chwilę jednak nie pomyślałem o Anglikach.

Rozpoczął się dzień. Siedząc na podłodze, czekaliśmy, co on nam przyniesie, w nadziei, że w tem położeniu długo pozostawać nie będziemy i bądź co bądź musi nastąpić jakiś nowy zwrot w naszym losie. Zaskrzypiał zamek i w drzwiach ukazał się z karabinem w ręku, uzbrojony od stóp do głowy dozorca. Wypuszczono nas na korytarz, gdzie umyliśmy się w wiadrze i zrobiliśmy prowizoryczną toaletę. Ponieważ nie naglono nas do powrotu, starałem się rozejrzeć w otoczeniu. Straż, składająca się z nowoprzybyłych, na zmianę nocnych towarzyszy, kolejarzy i dzikich, stepowych Turkmenów, okazała się dość łagodną. Wzbudziliśmy ogólne zainteresowanie, jako nowi, nieznanymi ludziami w Aschabadzie, szczególnie zaś zwracała uwagę moja osoba, widocznie ze względu na mój starszy wiek i zewnętrzną podstawę, jestem bowiem wysokiego wzrostu.

Szczerze i proste nasze opowiadanie o tem, co nas skłoniło do przyjazdu do Aschabadu, wzbudziło zaufanie straży. Byli to robotnicy kolejowi, nie zarażeni jeszcze bandytyzmem bolszewickim, który w owe czasy zaczął się dopiero szerzyć. Współczucie dla nas



oraz krytyka obecnego rządu wypowiedane były w rozmowie półsłówkami, widocznem było, że „towarzysze” wzajemnie sobie nie dowierzają i pozornie starają się zachować lojalność względem władzy i stosować przepisany rygor względem nas. Pozwolono spacerować nam w korytarzu i kordegardzie, z zastrzeżeniem, że w razie nadejścia Makarenki mamy natychmiast rozejść się do cel.

W południe zasiadliśmy do obiadu przy ogólnym stole. Obiad przyniesiono w kotle, ale dla każdego z nas były przygotowane łyżki i talerze. Do stołu, oprócz wyżej wymienionych, aresztowanych razem z nami osób, zasiadło jeszcze trzech więźniów, mieszkańców Aschabadu, byli to: Ormianin Arunow, miejscowy Turkmen Kulijew, robotnik kolejowy, tokarz Filonow. Od nich dopiero dowiedzieliśmy się, co się dzieje obecnie w Aschabadzie i w czyich rękach spoczywa dalszy nas los. Wyczerpujących informacji udzielił nam Arunow, znający doskonale stosunki aschabadzkie, jako stały mieszkaniec tego miasta. Z opowiadań jego dowiedzieliśmy się, że kilkanaście dni temu został zabity niejaki Frołow, prezes Komitetu Wykonawczego i zarazem konduktor dr. żel. Po zabiciu jego utworzył się nowy rząd pod nazwą: „Staczecznyj Komitet”. Maszynista Funtikow jest dla pozorów tylko prezesem komitetu wykonawczego, w rzeczywistości za jego plecami kierują wszystkiemi: Dorer, pomocnik radcy prawnego Zakasp. Dr. Żel., Tatarynow, kontroler tejże drogi i niejaki Orpel, Polak, naczelnik t. zw. „Kontrrazwiedki”. Rozpytując się dalej, dowiedziałem się, że jednym z komisarzy jest kapitan Karpiński, były naczelnik krasnowodzkiego powiatu. Najważniejszą jednak z zakomunikowanych nam wiadomości była ta, że Anglicy rzeczywiście stoją na granicy Persji. Oficerowie angielscy,

przebrani po cywilnemu, przebywają w Aschabadzie, i prowadzą pertraktacje z Dorerem i Tatarynowem, w sprawie zajęcia Aschabadu przez angielskie wojska, przyczem, aby uzyskać sympatję miejscowej ludności, rozdają grube sumy pieniężne. Dalej dowiedzieliśmy się, że wojsko i ludność rosyjska nie chce dopuścić Anglików do zawładnięcia Aschabadem i Bucharą, i z tego powodu na granicy Buchary toczą się walki. W Aschabadzie wojska niema, pomagają Anglikom tylko ochotnicy, przeważnie Ormianie. Wysłuchawszy historii naszego aresztowania, Arunow zapewnił nas, że areszt był skutkiem denuncjacji, i że szpiegiem angielskim, wskazującym niebezpiecznych jakoby dla Anglików ludzi, jest niejaki Sironians, syn właściciela hotelu, który za każdego wskazanego przestępcę pobiera wysokie wynagrodzenie od sztabu angielskiego.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, pogodziliśmy się z myślą, że los nasz może rzeczywiście zależeć od władz angielskich. To nas trochę uspokoiło. Nieprzyjemne natomiast wrażenie wywarła na nas wiadomość, że kilka dni temu z celi, którą zajmowaliśmy ze Stumpem, wywieziono w nocy siedem osób, i rozstrzelano bez śladu. Byli to: Maliboszko, Tejlin, Żytnikow, Batminow, Rudyj, Pietrosow i między nimi adwokat, radca prawny dr. żel., Rozanow. Skorzystawszy z wszystkich tych informacji, postanowiłem, nie tracąc czasu, przedsięwziąć odpowiednie kroki. Derera, Tatarynowa i Karpińskiego znałem osobiście. Pozwolę sobie o każdym z nich wspomnieć tu poszczególnie. Dorerów było dwóch w Aschabadzie, cbađwaj byli prawnikami i dodawali do swego nazwiska nieoficjalnie „graf”. Starszy, kaleka, kulawy, początkowo był pomocnikiem prokuratora i jednym z najwierniejszych sług carskich, następnie przeszedł do adwokatury, zrobił się „czerwonym” i po wygłoszeniu rewolucyj-



nej mowy został mianowany przez Kiereńskiego komisarzem na cały Kraj Zakaspijski. Nie orjentując się w położeniu, zaszedł za daleko na lewo, i, gdy chciał się zatrzymać, zaplątał się i został zabity przez tłum „za sabotaż” parę miesięcy temu, w Taszkencie, podczas wygłaszania jednej ze swoich kwiecistych mów. Młodszy brat jego zajmował stanowisko radcy prawnego w zarządzie dr. żel. w Aschabadzie. Miał on podobno za sobą przeszłość rewolucyjną. Znałem go osobiście, widziałem go na zjeździe w Taszkencie w roli trybuna rewolucyjnego, gdzie prezydował w „Radzie delegatów żołnierzy i robotników” wspólnie z niejakim Brojdą. Elegancki, wymuskany, z gołą szyją, w kołnierzyku a la bébé, wygłaszał piorunujące mowy rewolucyjne, które jak wszystkie w początkach ruchu rewolucyjnego były zbiorem ogólników i frazesów, obrachowane na rozkołysanie mas, zyskanie popularności i przeciwstawianie się wszystkiemu, co wyrażało jakąkolwiek władzę i porządek. Zrobił on na mnie wówczas wrażenie wyrachowanego karjerowicza rewolucyjnego, demagoga, nie zdającego sobie sprawy z tego, dokąd go zaprowadzą jego słowa.

Kapitan Karpiński, pochodzenia polskiego, jak sam o sobie mówił, był to typ bardzo rozpowszechniony w Rosji Polaka-karjerowicza. Mając na sobie piętno polskości, za carskich rządów z trudnością dobijał się stanowiska w administracji. Sprytny, układowy i przebiegły, umiał po wybuchu rewolucji, utrzymać się w dalszym ciągu na powierzchni, dzięki Dorerowi, który w nim odczuwał pokrewną naturę, i któremu był potrzebny. Raz nabrawszy rozpędu, trzymał się dalej na falach rewolucyjnych.

Tatarynow, kontroler dr. żel., mieszkający przedtem w Krasnowodzku, była to szara osobistość, która,

jak wielu innych, płynęła z prądem chwili, nie zdając sobie sprawy z położenia. Znałem go również i w początkach przewrotu; okazałem mu kiedyś usługę, pogodziwszy go podczas mojej bytności w Krasnowodzku z prezesem komitetu zorganizowanego początkowo po przewrocie Kiereńskiego.

Postanowiłem więc niezwłocznie zwrócić się do nich bezpośrednio. Arunowa odwiedzała codziennie mała siostra, która przynosiła mu obiad. Przez nią wysłałem listy do Tatarynowa, Dorera i Karpińskiego, dołączając do nich jeszcze listy do redaktora miejscowej gazety „Gołos Azji” i do Domu Polskiego. W listach tych opisałem szczegółowo cel mojego przybycia do Aschabadu ze Stumpem, nasze obecne położenie i prosiłem o jak najrychlejszą pomoc. Ani na chwilę nie wątpiłem, że listy moje odniosą pożądany skutek. Na drugi dzień dowiedziałem się, że w nowym rządzie pełni jakieś obowiązki niejaki pan Pietrażycki, były prokurator. Powodując się dźwiękiem tego znane go nazwiska napisałem również do niego list. Cztery dni oczekiwałem na odpowiedź napróżno. Na piąty dzień zjawił się do więzienia Makarenko, wywołał mnie i pokazał mi list, pisany przeze mnie do Pietrażyckiego, przyczem oświadczył, że prokurator odesłał mu list, wyrażając jednocześnie naganę za to, że więźniowie są źle strzeżeni i wysyłają listy drogą prywatną. Jednocześnie Makarenko zakomunikował, że otrzymał polecenie wymierzenia mnie oraz straży kary dyscyplinarnej.

Byłem oszołomiony. W liście do Pietrażyckiego nie szczędziłem Makarenki, opisując mu scenę obrabowania nas z pieniędzy i niewydania kwitów. Czekałem w milczeniu na to, co nastąpi dalej, ale więcej jeszcze niepokoiła mnie myśl, jaka kara wymierzona będzie niewinnej straży. Makarenko okazał się



jednakże wspaniałomyślniejszym od prokuratora i oświadczył, że przebacza mi winę, ale zarazem ostrzega, żeby zaniechać wszelkich skarg, bo one jemu nic nie zaszkodzą, a mnie narażą na wielkie przykrości.

Pomimo łaskawego obejścia się ze mną nie byłem w stanie zdobyć się na podziękowanie za wspaniałomyślność. Wysłuchałem wyroku w milczeniu, nie powiedziawszy nic na swoje usprawiedliwienie. Zrobiwszy odpowiednie napomnienie straży, aby stosowała ścisły rygor, Makarenko opuścił więzienie. To była jedyna odpowiedź, jaką na moje listy otrzymałem.

Położenie stawało się beznadziejne. Jedyne człowiek, który przyszedł mnie odwiedzić przez ten czas, był komisjoner z hotelu, w którym zatrzymaliśmy się. Dowiedziawszy się o naszym smutnym losie, przyniósł nam nasze walizki, pomimo protestu właściciela hotelu. Jak się później okazało, angielskie władze miały wpływ na przekupionych przez nich członków rządu i tak steroryzowały ludność, że każdy lękał się najmniejszego pozoru, aby nie być aresztowanym i wysłanym z Aschabadu niewiedomo dokąd, na rozkaz angielskich oficerów. Ci zaś, nie znając ani języka, ani ludzi, ani warunków miejscowych, działali naoslep, kierując się wskazówkami różnych, będących u nich na żołdzie miejscowych szantażystów, pobierających za każdego wskazanego przez nich niebezpiecznego jakoby pod względem politycznym przestępcę sowite wynagrodzenie.

Straciwszy nadzieję na pomoc z zewnątrz i na rozpatrzenie naszej sprawy przez władze miejscowe, zrezygnowaliśmy z dalszych kroków w tym kierunku i pogodziliśmy się z myślą, że los nasz zależy od władz angielskich. Myśl ta bynajmniej nas nie niepokoiła.

Oczekiwaliśmy bowiem od tych władz sprawiedliwego i rzeczowego rozpatrzenia naszej sprawy, po którym musiało nastąpić nasze uwolnienie. Stump władał doskonale językiem angielskim, długo bowiem przebywał w Anglii, mieliśmy więc możliwość porozumiewania się bez tłumacza.

Rygor więzienny nie był uciążliwy. Wartownicy odnosili się do nas z życzliwością i z zaufaniem, pozwalając nam w ciągu dnia swobodnie spacerować po dziedzińcu i korytarzu. Karmiono nas, jak na owe głodne czasy, obficie. Z dnia na dzień oczekiwaliśmy wezwania w celu zbadania nas przez władze angielskie. Dziesiątego sierpnia rano uprzedzono mnie i Stumpa, że udamy się na śledztwo. O godz. 1-ej po poł., pod zbrojną eskortą poprowadzono nas do jakiegoś leżącego w pobliżu budynku. W obszernym pokoju zastaliśmy sympatycznej powierzchowności staruszką, który oświadczył nam, że ma przeprowadzić badanie z polecenia Centralnego Komitetu. Wyjaniliśmy na rowo jak najszczegółowiej przyczyny i cel naszego przybycia do Aschabadu, przedstawiliśmy nasze paszporty i dokumenty w nadziei, że nareszcie nastąpi moment naszego uwolnienia. Inkwirent nasz, który, jak się okazało, był za carskich rządów urzędnikiem przy sądzie wojennym w Aschabadzie, obeznany był z procedurą zapisywania zeznań i sumiennie wszystko notował. Wykonywał to jednak z jakąś dziwną apatią i widocznem było, że cały ten proces nic go nie obchodzi. Nie zadawał nam ze swej strony żadnych pytań i na wszystko potakiwał głową.

Po skończonem zeznaniu, podpisawszy się pod sporządzonym protokołem, zapytałem go, czy po tem wszystkiem, co od nas usłyszał, przekonał się o naszej niewinności i czy możemy rachować na jego przychylną opinię. Złożywszy papiery do teczki i zapaliwszy pa-



pierosa, którym go poczęstowałem, odrzekł z pewnem zakłopotaniem, jakby usprawiedliwiając się:

— Ja, osobiście, ani zaszkodzić, ani pomóc panom nie mogę, wypełniam jedynie formalność, którą mi nakazano, los panów zależy od władz angielskich, które czytać tego, co ja tu napisałem, nie będą. Anglicy zażądali od naszych władz, aby wydały panów, lecz w jakim celu, tego nie wiem.

W oczach jego malowała się taka niekłamana życzliwość i współczucie, że trudno było powątpiewać o prawdziwości jego słów. Pożegnaliśmy się uściśnięciem rąk i wróciliśmy przygnębieni tym nowym zawodem do więzienia.

Powlokły się długie dni oczekiwania na interwencję władz angielskich, w której pokładaliśmy całą nadzieję. Na drugi dzień przyprowadzono jeszcze jednego więźnia. Był nim Poznańczyk, internowany w Aschabadzie na początku wojny przez władze rosyjskie. Zajmował on tam dosyć znaczne, jak na owe czasy, stanowisko, był mianowany prezesem jakiejś kasy czy banku współdzielczego. On również, jak i my, nie umiał sobie wytłumaczyć powodu swego aresztowania. Był lojalnym obywatelem, zamieszkującym w Aschabadzie od czasu wybuchu wojny i nie poczuwał się do żadnej winy.

Szesnastego sierpnia popołudniu zjawił się Makarenko. Zachowanie się jego było nacechowane jakąś nadzwyczajną życzliwością, która odrazu wydała nam się niezmiernie podejrzaną. Dopytywał się o nasze zdrowie, ubolewał nad naszym losem, dając jednocześnie do zrozumienia, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Porozumiewszy się ze wszystkimi, odwołał dwóch z nas, Kowenkę i Smutnego, i pod wielkim sekretem w formie ostrzeżenia zakomunikował, że lada dzień możemy być narażeni na wymordowa-

nie nas przez powracających z frontu żołnierzy, dzięki bliskości naszego więzienia od dworca. Na obronę straży liczyć nie można, ponieważ jest nieliczna i nie ma dyscypliny. Komunikując o tem, wyraził się, że jedyny sposób ocalenia byłoby przeniesienie nas do centralnego więzienia, leżącego zdala od linii kolejowej i dobrze strzeżonego.

Trzeba było coś zdecydować. Jedyłą osobą, do której mogliśmy się zwrócić o pomoc i ratunek, był sam Makarenko. Porozumieliśmy się między sobą i, nie mogąc go prosić o pomoc otwarcie wobec straży, poleciliśmy tym dwóm, których obdarzył zaufaniem, wejść z nim w układy. Za skuteczenie naszej przeprowadzki przyrzekliśmy wynagrodzić go sowicie, proponując w dobrej wierze, aby niezwłocznie z sum, znajdujących się u niego w depozycie, wynagrodził siebie, według własnego uznania. Makarenko przyrzekł nam swoją pomoc i od wynagrodzenia się nie odmawiał, odrzekł jednak ze smutkiem, że z sum, które od nas odebrał, czerpać nie może, zaś przed przetranslokowaniem nas do głównego więzienia trzeba koniecznie dać łapówkę intendentowi, bez czego nic się nie da zrobić.

Hultaj ten widocznie podejrzewał, że posiadamy jeszcze gotówkę. Nie było czasu do namysłu, Z dnia na dzień oczekiwano powrotu rozbitych przez wojska tatarskie oddziałów angielsko-aschabadzkich. Zbraliśmy między sobą, co kto miał, nie pamiętam już jaką sumę, coś około dwóch tysięcy rubli i wręczyliśmy Makarence. Wziąwszy od nas pieniądze, pożegnał się z nami niezwłocznie, zapewniając, że się udaje wprost do intendenta i przyrzekł, że nazajutrz napewno będziemy już bezpieczni za murami centralnego więzienia.

Następny dzień przeszedł w trwożliwym oczeki-



waniu, Makarenko nie zjawił się, nastąpiła trwoźna noc, którą spędziłem bezsennie. Naprężony słuch wśród ciszy nocnej łowił oddalone dźwięki i szmery, podniecona wyobraźnia potęgowała je, upatrując w nich zbliżające się niebezpieczeństwo. Każdy dolatujący przez otwarte okno odgłos dalekich kroków zdawał się być krokiem kolumny żołnierzy, każdy donośniejszy głos ze strony uspiętego miasta, lub ze stepów, tonących w ciszy nocnej, zdawał się być krzykiem ofiary, wołającej o pomoc. Nad samem ranem, już kiedy brzask pierwszy oświecił okna, wyczerpany czuwaniem i nerwowem naprężeniem, wyciągnąłem się na podłodze i zasnąłem.

Ośmnastego sierpnia spotkaliśmy się wszyscy przy wspólnem śniadaniu. Zaniepokojeni nieobecnością Makarenki, wypowiedaliśmy różne przypuszczenia. Ktoś wyraził podejrzenie, że on zmyślił całą historję o grożącym nam niebezpieczeństwie, aby wyłudzić od nas resztę pieniędzy. Pomimo całego wstępu do tego człowieka nie byłem w stanie w to uwierzyć. Zdawało mi się, że na podobny podstęp mógł się chyba zdobyć jakiś wyrafinowany nikczemnik, z typów opisywanych w sensacyjnych romansach kryminalnych. Mając przykład jego pewnej, bądź co bądź, wspaniałomyślności w historii z moim listem, o mało nawet nie stanąłem w jego obronie. Niestety, nie przeczuwałem, że dzień ten miał stać się w mojej psychice przełomowym, że od tego dnia rzeczywistość poczęła przeczyć wszelkiej logice i rozumowaniu i, aby nie śnić na jawie, nie brać rzeczywistości za fantazję, zmuszony byłem uporczywie, aż do otrzeźwienia, powtarzać sobie głęboką przestrożę „nihil admirari”.

Tegoż dnia, w cichy upalny wieczór siedzieliśmy grupami, rozmawiając na dziedzińcu więziennym. Pozostawienie nas nadal w tymczasowem więzieniu,

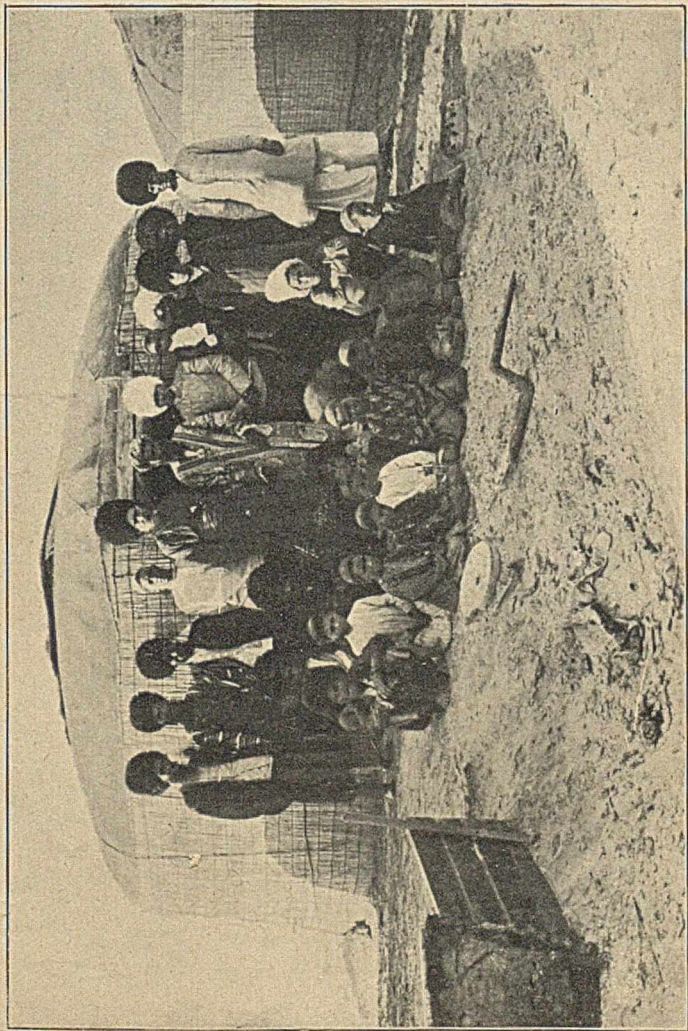
nieobecność Makarenki przez cały dzień wzbudzały w nas coraz większe niezapokojenie. Rozmowy się nie wiązały i czuliśmy, że każdy z nas ukrywa swoje myśli przed drugim, starając się nie okazywać zewnątrz trwożliwego nastroju. O godzinie 8-ej wieczorem, ukazała się w cieniu alei, prowadzącej z miasta, figura Makarenki, którą, pomimo zmroku, przeczuliśmy i poznaliśmy zdala odrazu. Okrążywszy go w dziedzińcu, weszliśmy razem z nim do kordegardy. Widocznem było, że był on mocno podniecony i czuć było od niego wódkę. Starając się być przesadnie uprzejmym, oświadczył nam, że nie potrzebujemy się dziś niczego obawiać, albowiem w nocy będziemy wywiezieni pociągiem na badanie przez władze angielskie, a po powrocie będą już gotowe cele w nowem więzieniu, dokąd nas przeprowadzą.

Pomimo całego usiłowania z jego strony, by nadać szczerzy i dobroduszny charakter swojemu przemówieniu, wyczuliśmy natychmiast fałsz i grożące nam nowe jakieś niespodziewane niebezpieczeństwo. Nie mogliśmy uwierzyć, ażeby władze angielskie więźniów, których nie widziały na oczy, wywoziły w step na jakąś odległą stacyjkę kolejową w nocy dla badania. Jednocześnie zdecydowaliśmy, że wyprowadzono nas na śmierć. W tem przekonaniu utwierdziła nas jeszcze ta okoliczność, że Makarenko namawiał nas, abyśmy nie brali z sobą żadnych rzeczy, gdyż jutro najdalej wrócimy.

Podły ten człowiek mógł nam wprost nie pozwolić zabrać z sobą naszych walizek, byliśmy przecież całkowicie w jego władzy, widocznie jednak zajęcza jego dusza, popełniwszy tyle podłości względem nas, nie miała już tym razem odwagi. Był to jeszcze początkujący bandyta, który nie zdążył nabrać rozpędu.

Nie było czasu do stracenia. Rozeszliśmy się





*Turkmeni Iomudzi przed kubitką w Turkieslanie*





szybko do cel, ażeby się naradzić. Postanowiliśmy zabrać rzeczy, by nie dać się jeszcze raz obłowić Makarence naszym kosztem; woleliśmy raczej, aby rzeczy nasze dostały się w ręce naszych egzekutorów, może uczciwszych od tego przebiegłego hultaja. Ja zdążyłem nieomal pociemku, przy świetle zapalek napisać kartkę do rodziny z pożegnaniem i wręczyłem ją przez okienko we drzwiach Arunowowi, z prośbą przesłania jej w razie możliwości do Baku.

Przeszła ciężka godzina oczekiwania. Milczeliśmy, zajęci każdy swemi myślami w przewidywaniu ostatecznego rozwiązania. Surowe ale zarazem współczujące twarze straży mówiły wyraźnie, że los nasz został bezpowrotnie zdecydowany.

— Nie wierzcie Makarence — szeptali, — wy tu już nie wróćcie, my wiemy, że w nocy wasze cele mają zająć inni.

Czekaliśmy. Około 10-ej wieczorem usłyszeliśmy miarowy krok zbrojnego oddziału. Była to t. zw. „wolna drużyna“, złożona z Ormian, pomiędzy którymi było zaledwie kilku Rosjan. Składała się ona z dwudziestu ludzi. Ormianie, według swego zwyczaju, byli poobwieszani bronią nakrzyż, przez plecy i koło bioder, obandażowani pasami, pełnemi nabojów, oprócz karabinów u boku każdego wisiał rewolwer dużego kalibru i błyszczące, kaukaskie kindżały. Po załatwieniu ceremonji przekazania nas nowoprzybyłej drużynie przez straż więzienną, bez żadnych dokumentów piśmiennych, dzika ta banda, policzywszy nas zaledwie palcami, okrążyła nas ze wszech stron, i pomaszerowaliśmy wśród ciemnej nocy, niosąc nasze walizki w rękę, w stronę plantu kolejowego.

Wyszedszy za miasto, skierowaliśmy się wzdłuż szyn. Noc była ciemna; nie znając drogi, potykaliśmy się często, natrafiając na nierówności i różne przesko-

dy. Żałowałem, że wziąłem ze sobą walizkę, przycho-  
dziło mi na myśl, aby ją rzucić, nie uczyniłem jednak  
tego, nie chcąc narazić się na jakieś podejrzenie i gwałt  
ze strony straży. Po pewnym czasie na szynach zary-  
sowała się jakaś ciemna sylwetka. Podeszliśmy bliżej  
i ujrzeliśmy pojedynczy wagon III-ej klasy, przycze-  
piony do lokomotywy, gotowej do drogi. Kazano nam  
wejść do wagonu, poczem drzemiący widocznie od  
dłuższego czasu maszynista zaczął energiczniej rozpa-  
lać kocioł, przygotowując się do drogi. Wewnątrz wa-  
gonu, przy słabym oświetleniu, zauważyliśmy dwie ja-  
kieś postacie, widocznie nowych więźniów, przypro-  
wadzonych do wagonu przed nami. Ponieważ miejsca  
było dosyć, rozmieściliśmy się po dwóch w każdej prze-  
grodzie, straż częściowo stanęła wzdłuż korytarza,  
częściowo umieściła się na wejściowych balkonach i ru-  
szyliśmy w stronę Buchary, t. j. w stronę frontu, na  
którym wojska angielskie walczyły z wojskami Tasz-  
kientu. Tak przed kilkunastu dniami, jak nam opowia-  
dał Arunow, wyprawiono na śmierć w step owych  
ośmiu nieszczęśliwców, ażeby zatrzeć ślady ich stra-  
cenia i nie dać możliwości odszukania ich ciał.

Przez cały czas jasno zdawałem sobie sprawę  
z położenia i doznawałem zarazem dziwnego uczucia  
spokoju. Pamiętałem niemal każdy szczegół od cza-  
su opuszczenia więzienia. Porachowałem ilość ludzi  
w oddziale, przypatrywałem się pokolei twarzy każ-  
dego z tych dobrowolnych oprawców, starających się  
nadać sobie wyraz surowości i dzikiej nienawiści. Zna-  
łem te typy dobrze, obserwując je podczas marcowej  
rzezi w Baku, i byłem przekonany, że jeżeli tym lu-  
dziom sędzono być naszymi egzekutorami, nie pole-  
gniemy od kul, ale w okrutny sposób będziemy pomor-  
dowani.

Upewnił mnie w tem przekonaniu zaraz na po-



czątku drogi konflikt z konwojem. Udałem się do umywalni, dokąd chciał też wejść ze mną jeden z konwojujących. Zaprotestowałem, chcąc zatrzasnąć drzwi za sobą. Wówczas żołnierz w jednej chwili rzucił się na mnie i przyłożył mi ostrze bagnetu do szyi. Schwyciłem rękami za bagnet, lecz borykając się, zostałem napewno przebity na miejscu, gdyby nie energiczna interwencja rosyjskiego żołnierza, który odtrącił Ormianina i stanął między mną a nim. Ocalenie swoje zawdzięczam nietylko współczuciu z powodu mojego losu, ile wybuchowi wrodzonej, rasowej nienawiści miejscowej rosyjskiej ludności do Ormian. Powróciwszy na miejsce, chciałem opowiedzieć o zajściu Stumpowi, posługując się francuskim językiem, ażeby nie być zrozumianym przez otoczenie. Wtedy młody uzbrojony Ormianin, widocznie dowódca oddziału, przyskoczył do mnie i, grożąc, zabronił mi rozmawiać w obcym dla niego języku. Trzeba było ustąpić.

Wyciągnęliśmy się na ławach w półmroku i zamilkliśmy. Początkowo opanowała mnie głucha rozpacz na myśl, że tak marnie, głupio, bez powodu mam zginąć dzięki jakiemuś nieporozumieniu, które pozostanie nazawsze nietylko dla mnie, ale i dla mojej rodziny zagadką. Powoli jednakże starałem się uspokoić i pogodzić z losem. Myśl moja popłynęła w innym kierunku. Myślałem, że śmierć moja jest kroplą w morzu, w porównaniu z cierpieniami milionów rannych i umierających na polach bitew. Przypomniałem sobie, iż kiedyś czytałem, że przed śmiercią staje przed oczami umierającego całe jego przeszłe życie, i myśl moja mimowoli przeniosła się do stron rodzinnych. Starałem się przedstawić sobie w wyobraźni nowe warunki życia w zmartwychwstałej Polsce. Myślałem też, że nie umieram tak nieszczęśliwy, jak wie-

le młodych i pełnych sił ofiar, które poległy, nie doczekawszy się zmartwychwstania Ojczyzny. Gdybym był w kraju, może, nie doczekawszy się dnia dzisiejszego, zginąłbym już oddawna na polu walki. Synowie moi powrócą do wolnej Polski i będą dla niej pracować. Aby nie upaść na duchu i zachować siłę woli, starałem się zapomnieć o rzeczywistości, oddałem się marzeniom, stwarzałem w fantazji coraz to ponętniejsze obrazy i przy miarowym postukiwaniu wagonów, nie wiedząc kiedy, zasnąłem twardym snem.

Zbudzony zostałem przez konwój, który kolbą trącał mnie w nogę. Otworzyłem oczy. Wagon stał, więźniowie zbierali swoje rzeczy, straż nagliła do opuszczenia wagonów. Zdjąwszy z półki walizkę, skierowałem się ze Stumpem ku wyjściu.

Świtało. Nastawał chłodny stepowy poranek, który w tym kraju upałów jest najpiękniejszą porą dnia. Mimowoli przyszyły mi na pamięć opisy egzekucyj, które odbywają się zawsze o wschodzie słońca. Pomyślałem sobie, że zwyczaj ten praktykuje się dla spotęgowania okrucieństwa, bo czyż nie lżej umierać w mroku nocnym, nie widząc budzącej się do życia natury. Nie było jednak czasu na rozpamiętywanie. Naglony przez straż, zeskoczyłem ze stopni wagonu. Zatrzymaliśmy się przed małym, stacyjnym budynkiem przystanku Artyk, wybudowanym pośród pustyni, pozbawionym wszelkiego zadrzewienia. Na lewo rozciągał się bezbrzeżny do samego horyzontu step, z prawej strony, za stacyjnym budynkiem, widniał nędzny, bez drzew, z płaskimi dachami perski auł. Po wyjściu z wagonu zrobiliśmy okrążeni przez straż kilka kroków i stanęliśmy osłupieni widokiem, jaki się ukazał naszym oczom.

Za rogiem budynku stacyjnego stali w swoich malowniczych ubiorach sipaje hinduscy o brązowych



twarzach. A przed nimi, w szkockim uniformie, z obnażonemi kolanami, oficer angielski z trzcina w rękę. Uniformy te widziałem dotąd jedynie na ilustracjach; ujrawszy je na jawie, nie wiedziałem, czy mam wierzyć oczom swoim, czy to nie sen. A więc to prawda, nareszcie jesteśmy uratowani. Anglicy to nie bajka, dostaliśmy się nakoniec w ręce władz kulturalnego narodu, które potrafią nas obronić i skończą się nasze cierpienia.

Wrażenie przejścia od rezygnacji z życia do nowej żywej nadziei było tak nieoczekiwane i raptowne, że podcięło moje siły. Panując cały czas nad sobą, poczułem, że w tej chwili ze wzruszenia tracę to panowanie, nogi mi się uginają i doznaję jakiegoś ściskania w gardle. Jak przez mgłę patrzyłem na obraz, który ukazał się przed moimi oczami, nie wierząc jeszcze, iż to wszystko dzieje się na jawie. Elegancki oficer szkocki z trzcina w rękę zbliżył się parę kroków i przemówił w języku angielskim, zapytując, czy jest kto między nami, kto zna ten język. Odpowiedział mu najczystszy angielskim językiem z radosnym uśmiechem stojący obok mnie Stump. Oficer począł coś mówić urywanemi słowami, stojąc wyprostowany, jak przed frontem. Spojrzałem na Stumpa, aby wyrozumieć z jego twarzy treść przemowy, zanim on ją nam przetłumaczy, i ujrzałem na niej wyraz takiego przerażenia, że zdrętwiałem. Oficer zamilkł, Stump począł mówić przerywanym, ochrypniętym, zaledwie dostłyszalnym głosem. Usłyszeliśmy tłumaczenie przemowy, zwróconej do nas i dowiedzieliśmy się, że będziemy związani przez sipai i na sznurach poprowadzeni w step, z uprzedzeniem, że jeżeli ktokolwiek z nas będzie się opierał, lub rozmawiał, zostanie bez komendy zakłuty bagnetem przez prowadzącego nas sipaja.

Ośłupieliśmy. Jechaliśmy tu przygotowani na śmierć, nic więc gorszego, zdaje się, spotkać nas nie mogło, ale to okrutne moralne wstrząśnienie, którego doznaliśmy, tak raptownie przechodząc od nadziei uratowania się od śmierci do nowego wyroku, wtrąciło nas w okropny stan rozpacz i rozbiło fizycznie. Czulem, że siły mnie opuszczają, zachwiałem się. Na komendę sipaje podeszli do nas i poczęli brutalnie krępować nakrzyż nasze ręce długimi sznurami. Po skrępowaniu wszystkich, każdy z żołnierzy ujął drugi koniec sznura w rękę, trzymając bagnet, skierowany w stronę związanego więźnia, i ruszyliśmy w milczeniu, chwiejąc się na nogach, przed siebie.

Minąwszy budynek stacyjny, przechodziliśmy przez auł. Pomimo rannej pory z płaskich dachów saki, z półuchylonych drzwi, ze wszystkich szczelin murów widzieliśmy obserwujące nas zatrwożone i przerażone twarze dobroduszy Persów. W Persji, pomimo ciężkich kar, praktykowanych w stosunku do przestępców, związanie człowieka uważane jest za największe znecanie się i najstraszniejszą obelgę i upokorzenie. Na twarzach mieszkańców aułu malowała się zgroza i współczucie. Poczulem w sobie jakąś bezgraniczną pustkę, myśli moje uciekły gdzieś ode mnie, szedłem jak automat, pragnąc, aby jak najprędzej nastąpił koniec losu i uspokojenie się na zawsze.

Minęliśmy auł. W polu stały cztery perskie arby, czyli wysokie, dwukołowe wozy, podobne do naszych bied, do których kazano nam wsiąść, nie rozwiązując rąk, po dwóch do każdej. Z trudnością wdrapaliśmy się po wysokich kołach ze związanymi rękami i ruszyliśmy naprzód. Sipaje dosiedli koni i, jadąc obok, trzymali końce sznurów, które mieliśmy skrępowane ręce. Konwój składał się z dwudziestu konnych



i dziesięciu pieszych, na których czele maszerował oficer. W oddaleniu, w stepie, zarysował się wysoki murowany czworobok z powiewającym na szczycie jakimś sztandarem. Ujrawszy go, pomyślałem sobie, że będziemy nareszcie rozstrzelani, jak każe zwyczaj kulturalnych narodów, pod murem.

Pomyliłem się jednak, czworobok okazał się pogranicznym posterunkiem perskiej komory celnej, który, nie zatrzymując się, minęliśmy i skierowaliśmy się dalej w step. Wkroczyliśmy więc na teren spokojnego, neutralnego kraju, Persji.

## II

### W PERSJI

Nastawał upalny, stepowy dzień. Poczęło nam dokuczać pragnienie, potęgowane wewnętrznem, gorączkowem podnieceniem. Nikt się o nas nie troszczył, a w tych warunkach nikomu z nas nie przychodziło na myśl prosić o jakąś przysługę, musieliśmy cierpieć, oczekując z rezygnacją dalszego losu. Mając ręce przywiązane do arkanów, których końce trzymali konwojujący nas konni sipaje, z trudnością utrzymywaliśmy równowagę, stojąc w kołyszących się i podskakujących na wybojach i nierównościach drogi arbach. Zauważyłem, że jadąca w naszą stronę miejscowa ludność, spostrzegłszy zdala nasz oddział, szybko uciekała w step, zmuszając do pośpiechu konie i osły. Niektórzy zdala zawracali i ginęli nam z oczu, ukrywając się w pobliskich wąwozach.

Ujechawszy kilka kilometrów, poczęliśmy wjeżdżać na wzgórze, wskutek czego kazano nam wysiąść dla ulżenia koniom. Szedłem naprzód, prowadzony na arkanie. Chcąc w jednym miejscu na zawrocie skrócić sobie drogę, zboczyłem po przekątnej, sądząc, że konwojujący mnie sipaj podaży za mną. Nie



przeczuwałem skutków tego kroku; w jednej chwili poczułem silne szarpnięcie za sznur, sipaj przyskoczył i skierował ku mnie ostrze bagnetu. Jednocześnie, na jego gardłowy krzyk przyskoczył inny sipaj, widocznie starszy rangą, i trzcina, trzymana w rękę wymierzył mi w głowę parę razów. Coby się stało wówczas, gdybym miał wolne ręce, nie wiem, nie ręcę za siebie. Trzymany na arkanie, ze związanymi rękami, nie mogłem nawet zasłonić się od uderzeń. Pognany, jak zwierzę na zarznięcie, pochyliłem głowę, skręciłem na drogę i powlokłem się dalej. Świadkiem tej sceny był maszerujący obok oficer, który obojętnie przypatrywał się temu co zaszło. W tej chwili moralnie byłem już trupem, oczekiwałem z upragnieniem momentu, kiedy i ciało moje przestanie odczuwać cierpienia.

Wyjechawszy na równinę, wdrapaliśmy się znów na arby i ruszyliśmy dalej. Koło południa, w odległości paru kilometrów ukazała się roślinność. Były to ogrody, jak się później okazało, perskiej osady Mahmud-Abadu. Usłyszeliśmy nagle jakąś komendę, po której do jadącego na czele oddziału oficera przyskoczył pozostający w arjergardzie starszy sierżant. Oficer, wydawszy mu jakiś rozkaz, pocałował galopem naprzód i zniknął nam z oczu.

Znowu jakaś zagadka, znowu oczekiwanie czegoś nowego, czego przewidzieć nikt nie był w stanie. Naprężenie nerwów dochodziło do zenitu, droga poczęła się spuszczać z góry po łagodnej pochyłości i wkrótce wjechaliśmy w zadrzewioną ulicę miasteczka czy wsi, które w Persji bardzo mało zewnętrznie różnią się od siebie.

Wzdłuż ulicy, jak zwykle, ciągnęły się ułożone z nieciosanych białych kamieni mury, z poza których widniały owocowe drzewa, a między niemi wznosiły

się wysoko gałęzie olbrzymich włoskich orzechów. W równej linii z murami stały o płaskich dachach mieszkalne domy, wychodzące tyłami bez okien na ulicę. Ten typ zabudowywania miast i wsi w Persji robi na podróżniku przygnębiające wrażenie cementarzystka lub wymarłego pustkowia. Tym razem w wąskiej uliczce nie było śladu miejscowych mieszkańców. W głębokich wyjeżdżonych koleinach i wybojach jazda stawała się coraz uciążliwsza. Posuwaliśmy się krok za krokiem i sipaje zmuszeni byli zrećźnie manewrować, aby nie pościągać nas z arb, nie mogąc dla ciasnoty jechać z boku, lecz pozostając często ztyłu na długość arkanów. Dręczeni upałem i pragnieniem, chciwie chwytałyśmy orzeźwiający powiewy powietrza, płynące z ogrodów.

Wjechawszy w środek wsi, spostrześliśmy przed sobą w jednym z ogrodów grupę oficerów angielskich. Przy zbliżaniu się naszym oficerowie przeskoczyli przez niewysoki w tym miejscu mur i, zagroździwszy drogę, zatrzymali oddział. Patrzyliśmy, jak naradzali się chwilę między sobą, poczem wydobyli rewolwery i poczęli obchodzić arby, przyglądając się nam bacznie, jakby szukając czegoś, czy chcąc kogoś z nas wybrać, wreszcie ustawili się naprzeciw nas w groźnych postawach z rewolwerami, gotowemi do strzału. Zanim zdążyłem się zastanowić nad tem, co oznacza ten manewr i do czego mam się przygotować, zagadka została rozwiązana. Na murze ukazał się oficer z aparatem fotograficznym i począł pokolei każdą grupę fotografować. Tym razem mieliśmy więc służyć tylko do pozowania; chodziło, jak się okazało, o uwiecznienie bohaterskiego epizodu wyprawy wojennej z jej rycerskimi uczestnikami. Fotografje te prawdopodobnie dziś w dalekiej Anglii są upiększeniami gabinetu niejednego z tych bohaterów i kiedyś może



w oczach przyszłych pokoleń stanowić będą cenną pamiątkę rodzinną po walecznych przodkach.

Ze wojacy ci nie wstydzieli się pozować w ten sposób wobec nas bezbronnych i związanych, darowałem im, ale że im nie było wstyd przed samymi sobą, tego dotąd pojąć nie mogę.

Po skończeniu ceremonii fotografowania ruszyliśmy dalej. Za wsią, na wzgórzu widniał rozłożony prawidłowy obóz wojenny, widocznie od dłuższego czasu stale tu przebywający. Trudno go było określić lizebnie, ale, sądząc z liczby spotykanych oficerów i rozplanowania namiotów, musiał być znaczny. Był on widocznie końcowym punktem drogi, jaką wojska angielskie przemaszerowały przez Beludzystan z Indyj do granic Rosji, okrążając Afganistan.

Minąwszy obóz, zatrzymaliśmy się przed jednym z namiotów, ustawionym w dolnej części obozu. Kazano nam wysiąść. Konwojujący nas sierżant wprowadził nas do namiotu i, popychając, wyznaczył miejsca każdemu z nas. Czterech umieściło się obok siebie z jednej strony wejścia do namiotu, a trzech z drugiej; jednocześnie dwóch sipajów stanęło z bagnietami w pełnym uzbrojeniu na straży. Spragnieni wypoczynku, nawpół żywi, wyciągnęliśmy się na ziemi, poczuwszy ulgę choć w tem, że nam rozwiązano ręce. Niedługo jednak trwało nasze zadowolenie. Po chwili wpełzło na kolanach dwóch Hindusów, widocznie żołnierzy, ale bez uniformów wojskowych, ze sznurami, którzy skrępowali nam nogi, wiążąc nas po czterech, jednego do drugiego. Byłem już na wszystko nieczuły i gdyby nawet poczęto mnie wówczas ciągnąć na tym sznurze ze związanymi nogami po ziemi — nie zdziwiłbym się. Leżeliśmy związani pokotem na gołej ziemi, napróżno oczekując przybycia jakiegoś oficera, przedstawiciela wyższej władzy, z którym

moglibyśmy się rozmówić. Pozostawiono nas pod dozorem Hindusów, z którymi nie mieliśmy możności porozumiewania się. Po jakimś czasie zjawił się starszy, z jedną gwiazdką na ramieniu, Hinduś, t. zw. w wojskach kolonialnych Sułtan, który mówił łamanym angielskim językiem. Poprosiliśmy o wodę, którą nam przyniesiono, mogliśmy więc nareszcie zaspokoić pragnienie. Leżeliśmy związani, milcząc, nie będąc w stanie zdać sobie sprawy z położenia, w jakim znaleźliśmy się. To, co się działo z nami, podobnem było raczej do bajki z tysiąca i jednej nocy, do jakiegoś snu dręczącego, niż do rzeczywistości. Nieruchome figury uzbrojonych Hindusów u wejść do namiotu, ich brązowe twarze i wielkie połyskujące z pod zawoju oczy, utkwione w nas z jakimś uporczywym wyrazem, wzbudzały niepokój i nie pozwalały skupić myśli. Co nas czekało dalej, jeżeli stan obecny był tylko wstępem, na jakie udręczenia jeszcze będziemy skazani przez nowych naszych oprawców, o tem jedynie myśleliśmy wszyscy.

Leżąc wyciągnięty nieruchomo nawznak, zacząłem odczuwać ból od krępującego moje nogi powroza. Przyszedł mi na myśl nasz litościwy zwyczaj wiązania powrótami ze słomy wiezione na targ cielęta. Litowałem się zawsze nad ich losem, a w tej chwili, odczuwając ból od powroza, pozazdrościłem im.

O ulżeniu sobie nie mogło być mowy, wobec niepuszczających nas z oka Hindusów. Każdy ruch w kierunku nóg mógł być poczytany za chęć zdjęcia pęt i spowodować pokaleczenie, albo może nawet przebicie bagnetem.

Niektórzy z nas zmuszeni byli do opuszczenia namiotu, o czem zakomunikowano Sułtanowi, na którego opiece wyłącznie, jak się okazało, byliśmy pozostawieni. Po dość długiem oczekiwaniu weszło do na-



miotu dwóch uzbrojonych żołnierzy; wychodzącym rozwiązano nogi, ale natomiast związano ręce, poprowadzono za obóz w pole na sznurze pod konwojem i, nie rozwiązując rąk, przypędzono napowrót do namiotu. Ta procedura powtarzała się z każdym z nas. Za każdym razem przy opuszczaniu namiotu zmuszeni byliśmy załatwiać nasze potrzeby ze związanymi rękami, trzymani na sznurze przez konwój.

W południe wstawiono do namiotu kocioł napęczniony gęstą kleistą masą, wymieszaną z czerwonymi włóknami jakiegoś mięsiwa. Nie dano nam jednak ani łyżek, ani talerzy. Zewnętrzny wygląd tego jadła był tak wstrętny, że pomimo głodu nikt nie mógł się przezwyciężyć, aby go skosztować, pozostawiliśmy więc obiad nietknięty. Ciągłe jednak nie traciliśmy nadziei, że zjawi się nareszcie jakiś starszy oficer angielski, jakiś przedstawiciel władzy, choćby dla skontrolowania, co się z nami dzieje. Nie mogliśmy się pogodzić z myślą, że los nasz bez zeznań i wysłuchania naszych usprawiedliwień był już raz na zawsze zaocznie gdzieś zdecydowany.

Leżąc obok siebie ze Stumpem, robiliśmy szepciem przypuszczenia, że zostaliśmy wypadkowo przypłatanі do jakiejś szajki przestępców. Postanowiliśmy być ostrożni z towarzyszami naszej niedoli, nie wiedząc, kto oni są, i podejrzewając, że może oni odgrywają tu główną rolę. Przypuszczenie było tem prawdopodobniejsze, że wszyscy więźniowie znali się ze sobą, spędzali wspólnie czas w Aschabadzie i, jak mogliśmy wywnioskować z ich rozmów, niektórzy mieszkali nawet razem.

Jeden z nich, austriacki podporucznik, zaniemógł. Zażądaliśmy pomocy, naskutek czego zjawił się doktor Hindus i zabrał go z sobą. Mieliśmy nadzieję, że towarzysz nasz potrafi dowiedzieć się od doktora,

który mówił po niemiecku, jakichś szczegółów o naszym dalszym losie. Niestety, nadzieja okazała się płonną, doktor bowiem spełnił swój obowiązek, okazał doraźną pomoc, ale nie odpowiadał na pytania i odesłał pacjenta zpowrotem pod konwojem do namiotu. Dowiedzieliśmy się tylko, że w bliskości naszego namiotu spotkał on po drodze kilku oficerów angielskich, którzy spacerowali i stali grupami. Było to dowodem, że dawano nam manifestacyjnie do zrozumienia, iż los nasz nikogo tu nie obchodził i na żadne współczucie rachować nie możemy.

Minuty stawały się dla nas godzinami; nareszcie koło godziny 2-ej pp., usunąwszy wartę, u wejścia stanął oficer angielski w uniformie sztabu generalnego i począł nam się przyglądać badawczym wzrokiem. Najlepiej mówiący po angielsku Stump, zwrócił się do niego, tłumacząc, że widocznie jesteśmy ofiarami jakiegoś strasznego nieporozumienia i prosił o zbadanie nas i przejrzenie naszych dokumentów, dodając jednocześnie, że rodzony brat jego jest doktorem przy dworze szacha perskiego w Teheranie, co można w każdej chwili sprawdzić telegraficznie. Przyczem wyraził nadzieję, że tak kulturalni ludzie, jak Anglicy, nie pozwolą, aby obchodzono się z nami nadal w tak okrutny i upokarzający sposób. Anglik wysłuchał przemowy, przypatrując się dalej każdemu z nas, ze spokojną bez wyrazu twarzą i odpowiedział krótko: „All right — teraz niema kulturalnych ludzi, teraz tylko są wrogowie”. Na nasze oświadczenie, że bynajmniej nie uważamy się za wrogów i prosimy o zbadanie nas przez kompetentne władze, wygłosił sentencję: „Jako człowiek może żałuję was, ale jako Anglik rad jestem, że widzę was w tem położeniu i uprzedzam, że dalej będzie wam jeszcze gorzej”, poczem odwrócił się plecami i wyszedł z namiotu.



Zrozumieliśmy, że po tych odwiedzinach należy porzucić wszelką nadzieję uratowania się od zguby. Nie wiem, co odczuwali inni, ale ja chwilami miałem wrażenie, że tracę zmysły; nie było to wskutek strachu przed śmiercią, do której przecież byłem przygotowany od czasu wyjazdu z Aschabadu i zwykłem się już z myślą o niej, ale wskutek tego haniebnego upokorzenia i przeświadczenia o swojej niemocy wobec potwornej, bezprzykładnej zbrodni, jakiej staję się ofiarą. Pojąłem teraz to, co mi się zdawało kiedyś przesadą, że człowiek w rozpacz jest w stanie bić głową o ścianę, aby stłumić myśli. Czułem, że jestem zbłąkanym, zaszczutym psem, którego ciemny, brutalny tłum morduje za to jedynie, że posądza go o wściekliznę. Widziałem kiedyś taką scenę w swoim życiu i żywo stanęła mi ona przed oczami. Czyż mogłem kiedykolwiek uwierzyć, że istnieje taki kraj, w którym podobny los może spotkać niewinnego człowieka i to w obliczu władz.

Począłem myśleć o samobójstwie i obmyślać sposoby jego skutecznienia, zdając sobie sprawę, że wobec nieodstępującej nas ani na chwilę warty będzie ono trudne do wykonania. Nieraz w życiu stawałem śmiało wobec śmierci i teraz byłem w stanie spokojnie stanąć w jej obliczu, ale nie miałem już sił przenosić nadal tych moralnych tortur, jakie przeżywałem. Po odwiedzinach oficera zrozumiałem ostatecznie, że zgotowany jest nam okrutny koniec i należy go przyspieszyć, aby uniknąć cierpień moralnych.

Na twarzach wszystkich malowała się bezgraniczna rozpacz, wyrывały się słowa oburzenia, gniewu i pogardy, którymi napróżno starano się zagłuszyć przygnębiecie. Myśli moje wobec nieprzewyciężonej strasznej rzeczywistości błękały się jak w błędnym kole. Leżałem dość długo wpatrzony w skrawek nieba,

widniejący pomiędzy płótnem namiotu i figurą stojącego nieruchomo na warcie Hindusa. Po niejkiej chwili na jasnym tle zarysowała się sylwetka oficera. Po wejściu jego do namiotu odrazu poznałem w nim Persa i mimowoli, nie zdając sobie sprawy dlaczego poczułem jakąś otuchę. Mieszkając trzydzieści lat w Zakaukaskim Kraju, znałem Persów i instynktownie przeczuwałem, że zjawienie się przedstawiciela miejscowej ludności, której cechą jest łagodność i rycerskość względem cudzoziemców, przyniesie nam jakąś pociechę. Nie omyliłem się. Oficer Pers, wszedłszy do namiotu, powitał nas uprzejmie w angielskim języku, szczegółowo rozpytał się o każdego z nas. Po wysłuchaniu tego, co mu powiedział Stump, wyraził nam swoje ubolewanie i zarazem żal, że niestety na zmianę naszego losu wpłynąć nie jest w stanie, gdyż to zależy od generała i głównej komendy, ale że postara się ulżyć narazie naszemu położeniu i zapytał, jakie mamy potrzeby. To pierwsze obejście się z nami po ludzku, pierwsze życzliwe słowa rozrzewniły nas. Podziękowaliśmy mu za wyrażone współczucie i prosiliśmy o wstawienie się, aby przysłano nam, jeśli to możliwe, gorącej herbaty i lepsze pożywienie, gdyż tego, co nam przyniesiono na obiad, nie byliśmy w stanie jeść. „Dopóki tu panowie będziecie”, odpowiedział nam, „ja będę panów żywił. Dziś jeszcze przyślę swojego służącego, który przygotowuje herbatę i pilaw”. Wzruszeni jego uprzejmością podziękowaliśmy mu serdecznie.

W samej rzeczy, wkrótce po jego odejściu wpuszczono do namiotu jego służącego, dobrodusznej twarzy Persa, który wszedłszy i oddawszy nam uniżony ukłon, przedewszystkiem położył środkowy palec do ust, ostrzegając nas tem, abyśmy z nim nie



rozmawiali, poczem zakrzętnął się, rozdał nam tytoń i papierosy, wniósł gotujący się samowar, podał szklanki i talerze i postawił przed nami ogromną misę znakomicie wschodnim zwyczajem przyrządzonego pilawu. Zgłodniali i spragnieni, pokrzepiliśmy nasze siły. Podczas jedzenia poczciwy sługa, siedząc według swego zwyczaju w kucki, mimiką wyrażał nam swoje współczucie, wskazując na nasze związane nogi. Mówił on trochę po rosyjsku i, chcąc nas pocieszyć, zdążył szeptem, oglądając się trwożliwie poza siebie, uprzedzić nas, że jutro przyniesie nam znowu obiad i herbatę.

To przeświadczenie, że mamy obok kogoś życzliwego, wlało w nasze dusze jakąś nieokreśloną nadzieję. Była to słomka, rzucona tonącemu, iskierka, która chociaż przez chwilę rozpromieniła otaczające nas nieprzejrzone ciemności i dała nam odczuć, że jesteśmy ludzie i zasługujemy na ludzkie obejście. Mnie osobiście przyszło na myśl, że oficer Pers, być bardzo może, był kiedyś w Baku, słyszał o mnie, albo o moim szwagrze, znanym adwokacie, i że w ten sposób przez niego będę mógł zawiadomić moją rodzinę o swoim losie. Uchwyciwszy się tej myśli, począłem roić najśmielsze projekty w swojej fantazji i pod ich wrażeniem, podobnie jak w wagonie w podróży z Aschabadu, wyczerpany fizycznie, głęboko zasnąłem.

Ocknąłem się z bólu od sznura, krępującego mi nogi. W namiocie panował zupełny mrok, u wejść z obydwu stron stali na warcie z błyszczącymi bagnietami Hindusi w swoich malowniczych strojach. Twarze ich były nieruchome, ale szeroko otwarte oczy, połyskujące białkami, z jakimś uporczywym wyrazem patrzyły przed siebie. Zdawało się, że spokój ich jest pozorny, że stoją tak przyczajeni, aby lada chwila

spełnić na nas jakiś wyrok. Takie myśli, będąc wytworem trwożliwej wyobraźni, wywołanej rozpaczą: wością naszego położenia, zarazem mogły być najzupełniej logicznie usprawiedliwione. Bo jakież mogły być cel stawiania uzbrojonej warty wewnątrz namiotu, aby nie spuszczała z nas oka? Znajdowaliśmy się przecież pośród obozu wojennego, byliśmy po czterech związanych sznurami, o oporze więc i ucieczce nie mogło być mowy.

Rozumiałem, że nie wiedząc o tem, co nam wolno, a co jest nam wzbronione, najmniejszy nieodpowiedni ruch, czy gest wykonany bezwiednie, może nawet we śnie, może być poczytany za opór i stać się przyczyną napaści tych uzbrojonych surowych dozorców, z którymi niepodobna było porozumieć się. Leżeliśmy nieruchomo nawznak, dzieląc się swojemi spostrzeżeniami i myślami, które stawały się coraz bardziej ponure i dręczące. Nazewnątrz namiotu jaśniała pełnia. Białe południowe światło księżyca wdzierało się przez otwory namiotu i rzucało fantastyczne cienie, które pobudzały jeszcze wyobraźnię i powiększały grozę położenia. Umysł plątał się, trudno było uwierzyć chwilami, że to nie sen, a rzeczywistość, że to nie koniec, a początek czegoś jeszcze okropniejszego, co się ma stać niezadługo, może za chwilę. A stać się musi, bo chłodna rozważa wskazywała, że gdyby nad nami miało sprawować sąd sprawiedliwy, a więc przewidywać uniewinnienie, nie znęcanoby się w ten sposób i nie dręczono nas jak zwierzęta wiezione na rzeź. Wszak nawet szpiegów wojennych, schwytanych na froncie, sądzą sądem polowym, publicznie ich obwiniając i pozwalając im przytaczać dowody uniewinniające ich, a my wyjęci zostaliśmy z pod prawa, pozbawieni sądu i możliwości usprawiedliwienia się. Przemyślałem to wszystko spokojnie i na chłodno, widziałem jasno, że



klamka zapadła i należy porzucić nazawsze nadzieję wyratowania się z okropnego położenia. Do rozpaczyny doprowadzała mnie jednak nie myśl o samej śmierci, ale o jej bezmyślności i nikczemności. Zginąć w stepach Persji, będąc zaciągniętym na sznurze, jak zabłąkany, nikomu niepotrzebny pies, było dla mnie czemś tak okropnem, że myśląc o tem, doznawałem jakiegoś fizycznego bólu w mózgu i pocieszałem się, iż może stracę zmysły i nie będę odczuwał rzeczywistości, a z nią haniebnego upokorzenia.

Obóz jeszcze czuwał. Do uszu naszych dolatywał gwar obozowiska. Przez uchylone zasłony namiotu widniały płonące ogniska, naokoło których siedziały przykucnięte wschodnim zwyczajem grupy Hindusów, przygotowujących sobie wieczerzę. Od czasu do czasu słyhać było twarde urywane głosy— to porozumiewała się warta. Po niejakiś czasie zaostrzony słuch mój rozróżnił odgłos miękkich, jakby skradających się kroków koło samego namiotu i, zanim mogłem się nad tem zastanowić, stojący na warcie sipaj, wykonawszy ruch karabinem, odskoczył w bok i do namiotu wszedł Hindus w sandałach, okryty zwieszającą się przez ramię białą opończą. Nie rzekłszy ani słowa na powitanie, przykucnął w rogu namiotu i począł nam się badawczo przypatrywać; po chwili cicho wsunął się, zgięty pokornie, drugi Hindus i, postawiwszy jakieś naczynie i błyszczącą czarę, opuścił namiot.

Leżałem w środku, odgradzony od nowego przybysza przez dwóch sąsiadów. Podniosłem głowę, aby mu się bliżej przyjrzeć i wpatrzywszy się, poznałem w nim naszego władcę i opiekuna „Sułtana”.

Indusi niechętnie noszą uniformy europejskiego kroju, wojskowe mundury, do których nie są przyzwyczajeni, krępują ich. Żołnierze, a nawet oficerowie noszą je z konieczności, jedynie podczas pełnienia

obowiązków służbowych i w marszach, w obozach nacyjnychmiast je zdejmują, zastępując je kawałkami materji, któremi malowniczo owiażują sobie biodra i przerzucają je przez ramiona. Widocznie nasz „Sułtan” uważał swoją wieczorną wizytę za nieoficjalną i odwiedził nas bez oznak swojej władzy.

Miałem możność przyjrzenia mu się bliżej. Wyraz twarzy jego nie wzbudzał ani sympatji, ani zaufania; ruchliwa, poorana zmarszczkami fizjognomja, pomimo młodego wieku, który cechowały elastyczne ruchy, zdradzała gwałtowny charakter. Była to twarz człowieka, po którym wszystkiego można się było spodziewać.

Przyjrzawszy się każdemu z nas z osobna, począł on łamanym angielskim językiem zadawać nam pytania: kto my jesteśmy? skąd nas przyprowadzono i za co nas aresztowano? Przedewszystkiem zapytał, czy są między nami Niemcy. Było ich trzech. Wagner, który naturalnie z tytułował się odrazu doktorem i dwaj spotkani przez nas w wagonie jeńcy rosyjscy, wzięci do niewoli z początku wojny, Kostur i Walter. Wskazano mu ich. Przypatrywał im się z widocznym zainteresowaniem się; po chwili z jakąś napuszoną surowością wyrzekł: „Niemcy są silni, ale Anglicy ich pobijają”. Naturalnie, że nikomu nie przychodziło do głowy przeczyć. Kowenko, który mówił po angielsku, objaśnił mu, iż jest oficerem rosyjskiej armji i został nagrodzony orderem za waleczność. Informacje te Sułtan przyjął obojętnie, powtórzywszy kilka razy jakby z lekceważeniem: „Ruski oficer, ruski oficer”. Trudniejsza sprawa była z nami. O Polakach, Szwedach i Szwajcarach nie miał on żadnego wyobrażenia. Irytował się, nie mogąc zrozumieć, kto właściwie my jesteśmy i nie zdając sobie widocznie sprawy, w jakim stosunku stoimy do Anglików i prowadzonej wojny:



Kiedy Stump, chcąc mu określić narodowość szwajcarską, użył wyrażenia „suisse francais“, zaprzeczył temu pogardliwym ruchem głowy i zaprzestał nas indagować. W czasie rozmowy popijał on dość często ze stojącego obok dzbana i coraz silniej czuć było od niego zapach wódki. W miarę podniecenia począł on przemawiać do nas coraz to groźniejszym i surowszym tonem i wkońcu, wysłuchawszy naszych opowiadań, oświadczył nam, że wszystko to co mówiliśmy jest kłamstwem, w które generał i oficerowie nie wierzą, że między nami są wielcy przestępcy, których czeka bardzo ciężka kara.

Nastało głuche milczenie, on zaś, obrzuciwszy nas nieprzychylnym wzrokiem, wstał i, wybelkotawszy na pożegnanie jakieś niezrozumiałe pogróżki, wyszedł, chwiejąc się na nogach.

Pozostaliśmy znów na opiece nie spuszczałej z nas oka straży. Leżeliśmy nieruchomo nawznak, nie mając odwagi dzielić się z sobą myślami. Panowała cisza, obóz był pogrążony we śnie. Czułem coraz dotkliwiej ból od krępującego nogi powroza; nie mogłem spać. Następowwała chłodna noc. Leżałem z zamkniętymi oczyma, słuch mój łowił mimowoli oddalone szmery. Po niejakiem czasie do uszu moich zaczęło dolatywać kasłanie, zrazu pojedyncze, z różnych stron obozu, jakby sygnały odpowiadające sobie, następnie stawało się coraz częstsze i coraz silniejsze, zlewając się w jakiś urywany bolesny chór. Kasłało dziesiątki ludzi ze wszystkich stron, cały obóz zdawał się być wielką zimową owczarnią; mimowoli i ja począłem kasłać. Podniosłem się, aby zdać sobie sprawę, czy to nie halucynacja, czy podobieństwo, aby tylu ludzi, prawie cały garnizon kasłał bezustannie i przekonałem się, że tak było w rzeczywistości. Delikatny organizm Hindusów, przywykły do łagodnego klimatu

Indyj, nie przenosi klimatów obcych krajów i większość z nich, wyjeżdżająca poza granice Indyj, skazana jest na gruźlicę i śmierć. Czytałem o tem kiedyś, uprzytomniłem to sobie i teraz zrozumiałem. Poczuliem litość nad tymi chorymi wojakami i, podniósłszy się, siedziałem chwilę nieruchomo. W tej chwili zakasłał Indus, stojący na warcie; spojrzałem na jego młodą, prawie dziecinną twarz, którą oświecał blask księżycy, i ze smutkiem pokiwałem głową. Jakaż radość poczułem, kiedy spostrzegłem, że on mnie rozumiał; zakaszał jeszcze raz, pokazując dłonią na piersi, przyczem oczy jego wyraziły taki bezgraniczny smutek, że nie trzeba było słów, aby zrozumieć, iż była to niema skarga, skierowana ku mnie.

Kto mieszkał dłuższy czas na Wschodzie, wie, jak często wyraz oczu zastępuje tam najwymowniejsze słowa; odpowiedziałem mu wzrokiem i odpowiednim skinieniem głowy. Zrozumieliśmy się; patrzałem dalej w jego smutne oczy i starałem się, wskazawszy na związane nogi, dać mu do zrozumienia, że i ja cierpię, na co otrzymałem potakujące skinienie głowy. Nie wahałem się więcej, nachyliłem się i począłem rozluźniać swoje pęta, aby ulżyć sobie bólu; poczułem w tej chwili, że jesteśmy bliscy sobie przyjaciele, spojrzałem na drugiego wartownika i ujrzałem, że i on uśmiecha się dobrotliwie i, przyłożywszy rękę do twarzy zachęca mnie do spania. Jak mogłem i umiałem, tak wyraziłem im podziękowanie i swoją radość, przyłożyłem więc wschodnim zwyczajem rękę do czoła i nachyliłem głowę.

Ta niema scena wzruszyła mnie do głębi. A więc w tem dzikim, nieznanem otoczeniu są też ludzie, którym nieobce są ludzkie uczucia, którzy odczuwają naszą niedolę i radzi byliby nam okazać pomoc. Leżałem długo, nie spuszczać oka z młodego Indusa,



który stał nadal w nieruchomej pozie wartownika i, od czasu do czasu rzucając w moją stronę życzliwe spojrzenia, szeptał coś niezrozumiale, może słowa pociechy. O, jakże żałowałem wówczas, że nie może on zrozumieć mojej mowy.

Na drugi dzień, skoro świt, namiot nasz otoczyły grupy ciekawych, które przykucnąwszy naokoło, przyglądały się nam przez uchylone z dwóch stron płótna namiotu. Potrochu śmielsi, korzystając widocznie z nieobecności starszego nadzoru, wkraczali do namiotu i łamanym językiem zadawali nam pytania, z których mogliśmy jedynie zrozumieć, iż interesują się, do jakiej należymy narodowości i czy są między nami żołnierze. Zauważyłem, że ze szczególną uwagą przyglądali się Niemcom, których darzyli widocznymi objawami sympatji; niektórzy z nich kilka razy powtarzali słowa „džermen gut“. Wytworzyła się atmosfera wzajemnego zainteresowania, co nas trochę pokrzepiło na duchu. Musieliśmy pokolei legitymować się, kto jesteśmy. Dowiedziawszy się, że jestem inżynierem, jeden z nich wyjął zegarek z kieszeni, prosząc widocznie, aby go naprawić. Słowo inżynier w angielskim języku stosowane jest do każdego mechanika i technika. Nie wiedziałem, jak im tłumaczyć, że zegarków nie umiem naprawiać, nie chcąc jednocześnie odmawiać zrobienia usługi. Wziąłem zegarek do ręki, mając przy sobie scyzoryk z rozmaitemi drobnymi przyrządami, otworzyłem kopertę i, znając się trochę na mechanizmie zegarków, przekonałem się, że sprężyna jest w porządku, tylko trochę obluźwana, umocowałem więc ją; mała usługa ta zaskarbiła mi względy otoczenia.

Po niejakej chwili przyniesiono drugi zegarek. Byłem w kłopotcie, jak wybrnąć z tej sytuacji. Nie mogłem odmawiać, skoro jeden już naprawiłem, przypadek jednakże wyręczył mnie w tym razie, drugi zega-

rek bowiem okazał się w zupełnie dobrym stanie, był tylko widocznie zanieczyszczony. Po przedmuchianiu go i poruszeniu w kilku miejscach kółek zaczął chodzić.

Oddałem go uradowanemu właścicielowi, ale w tejże chwili z za jego pleców na moje utrapienie wyłonił się trzeci właściciel zegarka. Byłem w rozpacz, lecz nagle przyszła mi do głowy zbawienna myśl: obejrawszy zegarek, poprosiłem Stumpa, aby wytłumaczył jego właścicielowi, że do naprawienia zegarka potrzebne są instrumenty, których nie posiadam i że wogóle bez odpowiednich przyrządów naprawiać zegarków niepodobna. Dano mi pokój. Cała ta scena rozweseliła nas trochę w naszym ciężkim i smutnym położeniu. Reperacja zegarków bądź co bądź posłużyła do pewnego zbliżenia się, drobna ta wypadkowa usługa wzbudziła pewną wdzięczność, zobaczono w nas życzliwych i przystępnych Europejczyków, nie zachowujących się względem nich z wyniosłością i pogardą, do jakich przywykli w obcowaniu z Anglikami. Niedługo jednak trwała ta nasza idylla, dano znać widocznie, że starszyzna już wstała i goście nasi opuścili namiot.

Niewyspani, nieumyjni, oczekiwaliśmy, co nam nowego przyniesie zbliżający się dzień. Procedura wyprawiania nas ze związanymi rękami za obóz stawała się coraz przykrzejszą. Po każdym zwróceniu się w tym celu do pilnującego nas wartownika ten odwracał się i komunikował o tem widocznie komuś starszemu od siebie. Czasem dopiero po kilku minutach zjawiało się dwóch uzbrojonych sipajów, którzy musieli przywdziewać dla nas wojskowe uniformy, następowało rozwiązywanie nóg i związywanie rąk, poczem każdy z nas maszerował w pole trzymany na arkanie. Pomimo upokorzenia, jakiego doznawaliśmy, czuliśmy jesz-



cze, że dokuczamy tym konwojującym nas żołnierzom, którzy spełniali ten obowiązek z widoczną niechęcią i obrzydzeniem.

Z radością powitaliśmy poczciwego sługę Persa, który przyniósł nam samowar i śniadanie. Podczas tego, kiedy on zaczął ustawiać szklanki i talerze, wszedł „Sułtan” i, groźnie na niego krzyknąwszy w niezrozumiałym dla nas języku, kopnął go, a następnie drukiem kopnięciem nogi wyrzucił z namiotu.

Pers, nie wstając z ziemi, począł mu pokornie coś tłumaczyć, Sułtan, grożąc mu początkowo trzciną, widocznie zmiękł, bo pozwolił mu wejść na nowo do namiotu i usługiwać nam. Poczciwy Pers wrócił z tak uradowaną twarzą, jakby go spotkało największe szczęście, krzątał się, nalewał herbatę, powtarzając: „karaszo czaj, karaszo czaj”. Staraliśmy się wedle możliwości wyrazić mu swoją wdzięczność.

Koło godziny 10-ej rano u wejścia do namiotu ujrzeliśmy jakąś nawpół zgiętą figurę Europejczyka, którego szerniała twarz pokryta była kurzem. Stanąwszy u wejścia do namiotu, nowoprzybyły rozglądał się wokoło i po chwili poznaliśmy w nim Poznańczyka, z którym razem przebywaliśmy w więzieniu w Aschabadzie. Okazało się, że na drugi dzień po naszym wyjeździe wyprawiono go tą samą drogą do stacji Artyk i następnie, przywiązawszy do nieosiodłanego konia, ze związanymi rękami przywleczono do obozu. Wszedł on, ledwo trzymając się na nogach i wyczerpany, wyciągnął się na ziemi, powiększając naszą kompanję. Od niego dowiedzieliśmy się, że oficerowie angielscy, otwarcie już, w uniformach wojskowych spacerują po Aschabadzie i że na ulicach rozlepione jest wezwanie, podpisane przez angielskiego generała Malesona, wzywające rząd i ludność do wydania wszystkich podejrzanych i niebezpiecznych ludzi, po których wydaniu

rząd Funtikowa ma otrzymać od władz angielskich czterdzieści milionów rubli.

Dla tych, którzy mogliby być zdziwieni taką wielką hojnością generała Malesona, potrzebne jest wyjaśnienie. W Persji, w której przebywały wojska angielskie, w owe czasy, papierowe pieniądze rosyjskie można było kupować na wagę. Działo się to wskutek tego, że cała armja rosyjska, która walczyła na tureckim froncie i maszerowała bez ceremonji przez Persję, otrzymywała pieniądze papierowe. Nagromadziła się ich tam kolosalna ilość. Po zlikwidowaniu frontu Anglicy, którzy teraz rozporządzali w Persji jak u siebie w domu, zabronili wywozić rosyjskie papiery poza granice Persji, skupując je za bezcen od miejscowej ludności, dla której one nie miały już najmniejszej wartości. W Teheranie na bazarze leżały całe worki napełnione rosyjskimi banknotami papierowymi. Ten podarunek angielskich władz nie przedstawiał więc dla nich tak wielkiej wartości, jakby pozornie się zdawało.

Usłyszawszy o tem wszystkim, poczęliśmy wspólnie obsądzać nasze położenie, starając się przewidzieć, co nas dalej może spotkać. Z opowiadań naszych towarzyszy niedoli wywnioskowałem, że byli to ludzie, tak jak my ze Stumpem, zupełnie niewinni, których podejrzewać o jakieś przestępstwo o charakterze politycznym było niepodobieństwem. Były to, zwyczajnie na owe czasy, typy wykolejonych inteligentów, zaskoczonych przez rewolucję w Aschabadzie, których jedyną troską było zdobycie sobie kawałka chleba. Jeżeli można było kogoś podejrzewać o jakąś akcję polityczną, to chyba Wagnera, który niedawno przybył z Niemiec, jako delegat niemieckiego Czerwonego Krzyża, miał on jednakże zupełnie legalne mandaty i pozwolenie na przebywanie w Aschabadzie. Podejrzewanie nas wszystkich wspólnie o szpiegostwo było widocznym



absurdem, bo przede wszystkim, jeżeli byliśmy szpiegami, to na czyją korzyść? stanowiliśmy zbiór ludzi różnych narodowości (Polak, Szwed, Rosjanin, Szwajcar, Niemiec) zupełnie sobie obcych, pochodzących z różnych stron, którzy wypadkowo poznali się dopiero po swoim uwięzieniu. Na to aby powziąć podobne podejrzenie, trzeba było, albo bezgranicznej głupoty, albo celowej złej woli. Nie do pomyślenia było również posądzanie nas o bolszewizm.

Przyszliliśmy do przekonania, że wydani zostaliśmy na żądanie władz angielskich przez rząd Funtikowa, aby w ten sposób zadośćuczynić żądaniom tych władz i zapewnić im pozornie bezpieczeństwo przy zajęciu Aschabadu. Wybór padł na nas, jako na ludzi obcych i nieznanych w Aschabadzie, za którymi narazie nikt się nie mógł ująć.

Aschabad jest tak małym miastem, że wszyscy w nim, jeżeli nie są spokrewnieni, to przynajmniej znają się od dzieciństwa. Wydanie kogokolwiek z pośród swoich naraziłoby oprawców na protesty, a może nawet na zemstę rodziny, trzeba więc było znaleźć jakieś ofiary bezbronne. Wybrano nas. Naturalnie, że agent angielskich władz, wspomniany Sironianc, odgrywał tu także ważną rolę.

Zastanowiwszy się nad naszym położeniem, przyszliliśmy do bardzo smutnego przekonania, że jesteśmy wprost kupieni, za wielką sumę, dzięki czemu staliśmy się niezmiernie cennym towarem. Przyznać nam brak winy znaczyłoby to samo, co przyznać się do lekkomyślnego wyrzucenia pieniędzy. Prawdopodobnie poszły już o nas do wyższych władz raporty z wiadomością, że wyłowiono ważne osobistości, które stały na przeszkodzie do zajęcia Aschabadu przez władze angielskie. Nie rozumieliśmy jednak, na zasadzie jakich praw działali Anglicy, chwytając i więząc niebezpiecz-

nych z ich punktu widzenia ludzi na terenie Rosji i przede wszystkim neutralnej Persji. Postępowanie z nami dowodziło, że chcą nas zlikwidować, nie dając możliwości nawet usprawiedliwienia się. Byliśmy na terenie Persji, z łatwością więc można było przesłać telegraficzne zapytanie do Teheranu, kto jest Stump, gdzie brat jego był doktorem przy dworze szacha perskiego, również do Baku dla sprawdzenia mojej osobistości, do angielskiego konsula, na którego powołałem się i który znał mnie osobiście od wielu lat. Nie chciano uczynić tego, pomimo naszej prośby, jak gdybyśmy byli już rzeczywiście osądzonymi przestępcami. Widocznie chodziło tu nie o wyjaśnienie tego, kto jesteśmy, ale wprost o posiadanie nas w swojej władzy, jako realnych dowodów swej energicznej działalności, w postaci, że się tak wyrażę, towaru na pokaz.

Było to jedyne rozumne z naszej strony tłumaczenie naszego uwięzienia. Rozumieliśmy, że w tym wypadku nie mogliśmy rachować na oswobodzenie nas, ze względu choćby na kompromitację, jakaby musiała spotkać winowajców tej nierozumnej i przestępnej samowoli. Staliśmy wobec zagadki, co myślą z nami dalej począć i jaki los nam zgotują? Czy zdecydują się zlikwidować nas pocichu, aby „schować końce w wdę”.

Okolo godz. 2-iej pp. sługa Persa przyniósł nam znowu obiecany obiad i herbatę. Twarz jego nacechowana była smutkiem i jakąś tajemniczością. Z wielkimi ostrożnościami zakomunikował nam, że dziś w nocy będziemy wysłani z obozu i że w tym celu Anglicy kupili dla nas na bazarze osiem ubrań perskich, w które postanowiono nas przebrać. — Ja chciałem z wami jechać, aby wam usługiwać — dodał, — ale mój pan zabronił mi, ponieważ w drodze żołnierze mogą i mnie zabić.—Obiad nam nie smako-



wał oczywiście po tej wiadomości, oczekiwaliśmy z trwogą zbliżającego się wieczoru. Przed zachodem słońca odwiedził nas oficer Pers i potwierdził wiadomość zakomunikowaną nam przez jego służącego.

Po zachodzie słońca wszedł do namiotu Sułtan z Hindusem, który rzucił na ziemię przyniesiony węzeł; po jego rozwiązaniu ujrzeliśmy perskie ubrania, noszone przez najbiedniejszą klasę ludności tego kraju. Kostjum taki składa się z krótkich spodni granatowego koloru, ściąganych sznurem w pasie, krótkiej do pasa koszuli i pstrego chałatu typu szlafroków. Cały ten kostjum nie posiada ani jednego guzika ani kieszeni, poły do chałatu przewiązuje się pasem. Wszystko to zrobione było z najgorszego gatunku cienkiej bawelnianej materji. Zamiast nakrycia głów przygotowane były długie kawałki białej tkaniny, które miały zastępować wschodnie zawoje. Zamiast obuwia, które nam odebrano, musieliśmy włożyć krótkie perskie skarpetki i skórzane łapcie, z rzemykami, podobne do tych jakie noszą nasi włościanie. Kazano nam się rozebrać do naga, nie pozwalając zachować przy sobie nawet chustki do nosa, poczem rozkazano przebrać się w przyniesione kostjumy. Rozkaz ten wydany był przez Sułtana głosem surowym, naśladującym wojskową komendę. Jakkolwiek byliśmy o tem wszystkiem uprzedzeni przez poczciwego Persa, jednak do ostatniej chwili nie wierzyliśmy w możliwość tego, co się stało.

Co przeżywaliśmy w tej chwili, nie będę opisywał. Upokorzenie, rozpacz, gniew, którego niepodobna nawet było okazywać wobec niewinnego, nie rozumiejącego nas otoczenia, odbierały nam przytomność. Była to już nie kara, ale celowe i wyrafinowane znęcanie się nad nami. Rozwiązano nam nogi, wstaliśmy więc i poczęliśmy przywdziewać te maskaradowe kostjumy. Kupione bez miary, nie pasowały one na nas, jedne

były za krótkie, drugie za wąskie, nie zwracaliśmy jednak na to uwagi, uważając je za chwilowe t. j. śmiertelne. Jednemu z nas, który miał krzyżyk na gołym ciele, kazano go zdjąć, aby nie pozostało nic, co mogło świadczyć o jego europejskim pochodzeniu.

Wobec ciasnoty w namiocie pozwolono nam ubierać się na dworze. Ubranie, które przypadkowo mi się dostało, było karykaturalnie krótkie, spodnie sięgały zaledwie do kolan, koszula była długości kamizelki. Ubrawszy się i włożywszy chałat, nie mogłem dać sobie rady z zawiązaniem zawoju na głowie, do czego potrzeba pewnej wprawy. Widząc moją bezradność, zbliżył się do mnie młody Indus, w którym poznałem nocnego wartownika i począł obwiązywać mi głowę. Podczas tej czynności, korzystając widocznie, że jest tak blisko mnie, iż nikt go nie usłyszy, podniósł rękę w górę, wskazując na niebo i powtórzył kilka razy: „Inglisch no gut, inglisch szejtan“, miałem wrażenie, że widzę łzę w jego oczach.

Spojrząwszy po przebraniu się na siebie, poczuliśmy straszne, poniżające upokorzenie. Była to rzeczywiście szatańska myśl, aby w ten sposób znęcać się nad bezbronnymi. Wstyd nam było spojrzeć sobie w oczy. Poprzebierani przed śmiercią w te cudaczne kostjумы, czuliśmy, że stajemy się pośmiewiskiem w oczach widzów. Jedynie wrodzonym szlachetnym uczuciom Indusów zawdzięczaliśmy, że z nas nie sztydono i że przeciwnie nawet dawano nam wymownie odczuć, że wzbudzamy w nich współczucie.

Otoczeni zbrojną wartą, staliśmy koło namiotu w oczekiwaniu dalszych naszych losów. Zapadł zmrok. Dostrzegliśmy jakiś ruch w obozie, jakieś migające światełka latarek, snujące się w różnych kierunkach.

W letniem niedopasowanym ubraniu, nawpół obnażony, począłem odczuwać chłód. Zauważył to stojący



opodał mój opiekun z pierwszej nocy młody Indus i przyniósł mi z namiotu zostawiony przeze mnie pled. Wahałem się, czy go wziąć, by nie narazić na przykrość mego opiekuna, ale widząc, że straż nie protestuje, wziąłem pled i ukryłem pod chałatem. Miałem już i tak zabronione przedmioty przy sobie, zegarek, który schowałem starannie w pasie, kawałek ołówka i papieru, które wsunąłem w fałdy zawoju na głowie.

Ściemniało się już, kiedy przed nami ukazała się grupa oficerów angielskich, którym oświetlano drogę latarniami. Twarzy ich nie widzieliśmy, poznaliśmy tylko stojącego na przodzie. Był to ten sam, który nas odwiedził pierwszego dnia i obiecał, że dalszy nasz los będzie gorszy. Stojąc w odległości kilkunastu kroków, oficer oświadczył, że wyruszymy w dalszą drogę pod eskortą złożoną z samych Indusów bez oficera, kierunku wszakże naszej podróży nie wymieniano. Władza nad nami poruczona została Sułtanowi, któremu obowiązani jesteśmy bezgraniczne posłuszeństwo, on ma prawo postąpić z nami według swego uznania, jak podczas wojny. Jeżeli kto z nas będzie się opierał, albo próbował uciekać, będzie na miejscu zabity. Pojedziemy ze związanymi rękami, prowadzeni na arkanach, siedząc po dwóch na każdym osle. Wszystko nam już było jedno, nie słuchaliśmy nawet jego przemowy, która była tylko nowym dowodem udręczeń i naigrawań się. Bezczelny cynizm brzmiał w słowach tego oficera, kiedy groził nam zamordowaniem za chęć ucieczki, nam, ledwo żywym, związanym powrozami, trzymanym na arkanach i otoczonym przez uzbrojony oddział. Bo i gdzież mogliśmy uciekać w obcym dla nas kraju? w step, pomiędzy ludność, której języka nie znaliśmy i która steroryzowana była przez wojska europejskich najeźdźców?

Przyprowadzono małe perskie osiołki, na których

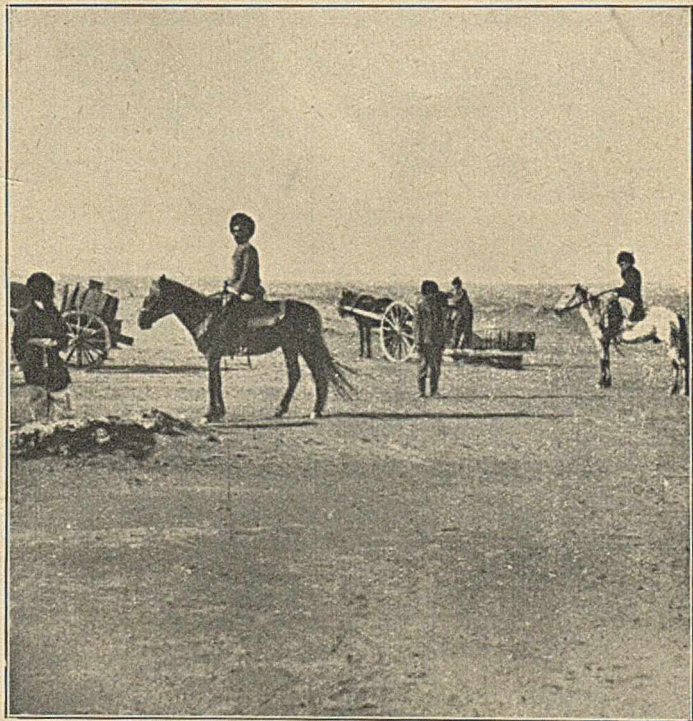
grzbiecie umieszczone były t. zw. pałany, płaskie, szerokie, czworokątne, wypchane słomą siedzenia, do których z obydwóch boków zwykle przywiązuje się kosze z owocami. Pałany te przez wierzch przymocowane były sznurami i siedzieć na nich było wprost męczarnią, zwykle odbywają na nich podróże wieśniacy dostarczający jarzyn, podjawszy w górę kolana i spuściwszy nogi z przodu przed koszami.

Jak już wspomniałem, między nami był oficer Kowenko ranny w nogę; nie mógł on zginać nogi w biodrze i przytem otworzyła mu się niezagojona rana. Ujrzawszy pałany, oświadczył on oficerowi, że nie jest w stanie tak podróżować, gdyż jest kaleką. Wzbudziło to pewną konsternację, ale bynajmniej nie wpłynęło na dalsze jego losy. Przyprawiono wielbłąda i ulokowano na nim rannego w ten sposób, że leżał on z napół wyciągniętą nogą. Pomimo kalectwa przewidywano widocznie, że i on może uciekać, bo wzięto go także na arkan. Omówienie sposobu transportowania Kowenki, przyprowadzenie wielbłąda, usadowienie na nim rannego, trwało dość długo. Po załatwieniu tego wszystkiego przyprowadzono osły, na które naładowano nas po dwóch na każdego. Ja usadowiłem się za Stumpem z tyłu, i mały osiołek aż uginał się pod nami, poczuwszy na sobie ciężar jedenastu pudów, poczem ruszyliśmy w drogę.

Jadący naprzód sipaj prowadził na sznurze osła, dwóch konnych po bokach trzymało końce sznurów, krępujących nasze ręce i niezależnie od tego byliśmy konwojowani przez oddział uzbrojonej konnicy. W ciemności zauważyliśmy, że przyłączyła się do nas jakaś karawana wielbłądów, którą również otaczała konnica. Byli to, jak później dowiedzieliśmy się, chorzy i umierający Indusi, których odsyłano do Indyj.

Noc była ciemna, księżyc jeszcze nie wszedł. Dro-





*Turkmeni u zbiornika deszczowej wody w bezwodnym, piaszczystym stepie*





ga z obozu prowadziła wdół po pochyłości. Czulem, jak biedny oślina natęzał swoje siły, aby podolać ciężarowi. Wiedziałem, że te stworzenia w Persji są bardzo silne i wytrzymałe, ładują na nie nieraz do piętnastu pudów, często podziwiałem ich siłę, ale nieprzyzwyczajony do takiej podróży, miałem ciągle wrażenie, że to małe, nikłe napozór stworzenie lada krok upadnie pod naszym ciężarem.

Pogoda była cicha. Wkrótce okrążyły nas tumany kurzu, wśród którego z trudnością można było oddychać i otwierać oczy. Kurz, podnoszony przez naszą karawanę, towarzyszył nam i stawał się coraz gęstszy, coraz dokuczliwszy. Wyciągnęliśmy się wzdłuż drogi długim sznurem, wskutek czego straciliśmy się zupełnie z oczu. Binokle moje pokryły się grubą warstwą lepkiego pyłu i nie byłem w stanie nic rozróżnić. Jechaliśmy w milczeniu, słyhać było tylko tupot kopyt końskich i głuchy monotony dźwięk gongów, wiszących u szyi wielbłądów. Małe osiołki, idące t. zw. skróttem, t. j. stawiające jednocześnie z prawa i z lewa obie nogi, podążały żwawo za końmi. Z trudnością mieściliśmy się ze Stumpem na osiołku. Żeby nie zsunąć się wtył, musiałem go objąć w pół i w ten sposób jechaliśmy w milczeniu.

Po wschodzie księżycy nieprzejrzana ciemność zmieniła się w szarą mgławicę kurzu, która tamowała oddech, wypełniając nos, usta i uszy. Od czasu do czasu odczuwaliśmy pociągnięcia arkanów od naszych rąk. Po ujechaniu kilkunastu kilometrów droga się zmieniła, grunt stał się twardszy, kurz się zmniejszył, mogliśmy rozróżnić figury jeźdźców i orjentować się mniej więcej przy blasku księżycy w okolicy. Zbliżyliśmy się do dużego aułu perskiego. Stump, który siedział na przodzie, ujrzał zdala zadrzewienie ogrodów i chcąc dać mi znać o tem, uściśnęła mnie znacząco za

rękę, którą go obejmowałem. Ocknąłem się z zamyślenia, które było dalekie od rzeczywistości i natężyłem uwagę, zrozumiałwszy, że mam się przygotować do czegoś nieoczekiwanego. Jednocześnie prawie rozległ się rozdzierający krzyk, w którym nie można było zrozumieć słów i zauważyłem, że przed nami odłączyła się od karawany jakaś postać ludzka, która pobiegła w step. Za nią na koniu gonił jeździec, smagając ją raz po raz długim harapem. Postać padała na ziemię, kłębiła się, potem zrywając się, zasłaniała od uderzeń, wznosząc ręce ku górze, jeździec obalał ją znowu, przeskakiwał przez nią na koniu, smagając ją bez litości. Nieludzki, rozdzierający krzyk ofiary, blade oświetlenie księżycy wytwarzało jakąś fantastyczną wizję, jakąś scenę z Apokalipsy. Przypuszczając, że uściśnienie Stumpa było ostrzeżeniem, zdrętwiałem. Błysnęła mi myśl, że w ten sposób oddział inscenizuje ucieczkę więźnia, że ofiarą jest jeden z nas, jadących na przodzie, i że wszyscy skazani jesteśmy na podobną śmierć. Nareszcie jeździec, pozostawiwszy swoją ofiarę, leżącą nieruchomo na ziemi, zawrócił konia i przyłączył się do karawany.

Podczas całej tej sceny ani na chwilę nie zatrzymaliśmy się w pochodzie. Co się stało z nieszczęśliwą ofiarą, kto nią był, nie zdawałem sobie sprawy. W tej chwili księżyc, step, cały krajobraz zlał się w moich oczach w jakąś jedną chaotyczną całość, jakby otchłań bezdenną, w którą się pogrążyłem. Nie czułem ani stąpania osła, ani bólu od węzłów pałanu. Tętent kopyt, dźwięk gongów połączył się w jedną odurzającą, wypełniającą mózg harmonję. W takim stanie przyjąłbym śmierć, nie odczuwając bólu i cierpień, nie czułem prawie ciała.

Minęliśmy auł położony z lewej strony drogi, jego ogrody i pola warzywne, t. zw. po persku „bachcze”.



Koło północy zbliżyliśmy się do niewielkiego wąwozu, po którego obu stronach widniały kamieniste wzgórza. U wejścia do niego usłyszeliśmy komendę, wskutek której zatrzymaliśmy się. Sipaje pozeskakiwali z koni, nam kazano zsiąść i ustawiono nas na pewnej odległości od siebie w tym porządku, w jakim jechaliśmy. Naprzeciw każdej naszej pary stanęło po trzech konwojujących nas sipajów. Sułtan, zeszedłszy z konia, obszedł nas wszystkich i rozkazał nam pokolei usiąść. Siedliśmy na wystających kamieniach wąwozu w oczekiwaniu. Po odejściu Sułtana, który powrócił na czoło kolumny, konwojujący nas sipaje przykucnęli przed nami i wyjąwszy małe metalowe fajeczki na krótkich cybuszkach, spokojnie poczęli je nabijać tytuniem. Zrozumielśmy, że tym razem jest to chwila odpoczynku. Nie wiem, jak inni, ale ja tego nie pragnąłem. To ciągle oczekiwanie śmierci stawało się męczarnią nie do zniesienia. Pozostawanie we władzy ludzi, z którymi niepodobna się było porozumieć, którzy patrzyli na nas, jak na nieme zwierzęta, doprowadzało mnie do rozpacz.

Siedzący koło nas sipaje poczęli nam się przypatrywać i coś do nas przemawiać łamanym językiem. Stump, znając język angielski, starał się coś uchwycić i wyrozumieć z ich słów, ja zaś, słysząc często powtarzające się słowo, „dżermen, dżermen“, domyśliłem się, że chodzi im o dowiedzenie się, czy jesteśmy Niemcami i, przypomniawszy sobie scenę w namiocie, radziłem Stumpowi, aby nie zaprzeczał temu, bo i cóż nam mogło w tych warunkach pomóc, czy zaszkodzić. Pokiwaliśmy więc potakująco głowami i zdziwieni zostaliśmy niepomniernie, że żołnierze armji angielskiej odpowiedzieli, „dżemen gut, dżemen gut“. Zachowaliśmy naturalnie zupełny spokój, nie dając znać po sobie, że rozumiemy ich słowa i jesteśmy im radzi, mogło to bo-

wiem być wyuczone i obrachowane na to, aby nas spro-  
wokować.

Usłyszeliśmy, że sąsiednia para prowadziła również podobne rozmowy ze swoją trójką sipajów. Ośmieleni tak przyjaznym zachowaniem się konwoju, próbowaliśmy porozumieć się między sobą urywanymi słowami. Teraz dopiero dowiedziałem się, że tratowany i smagany harapem człowiek, był to Pers, przewodnik karawany. Zbity i pokaleczony został za to, iż idąc na przodzie i mijając ogród warzywny, zerwał melon. Skatowanie go przez Sułtana nie pochodziło jednak bynajmniej z poczucia obowiązku obrony cudzej własności, ponieważ, jak przekonał się z dalszej podróży, oddział po drodze rabował otwarcie mienie miejscowej ludności, lecz było to naśladownictwo wyższej władzy, obchodzącej się zawsze z pogardą i okrucieństwem z niższą rasą. Widziałem podczas dalszej drogi tego nieszczęśliwca, którego twarz przedstawiała jeden siniak i pokryta była strupami zakrzepłych ran. Dawszy wypocząć koniom i osłom, ruszyliśmy dalej wawozem, po przebyciu którego rozpostarła się przed nami obszerna dolina. Zdążaliśmy na południe w stronę widniejącego zdala pasma gór. Poczęło świtać. Dziwnym może się zdawać, że nawet w naszym położeniu zarysowujący się na horyzoncie brzask dnia dodawał jakiejś otuchy, promienie światła stawały się jakby promieniami nieokreślonej nadziei. Budząca się ze snu natura budziła zarazem pragnienie życia i zniwalała cenić każdą jego chwilę, pozwalając zapomnieć o tem co nas czeka. Pośród tej doliny, spalonej od słońca, zatrzymaliśmy się na wypoczynek. Kazano nam zsiąść z osłów. Kowenkę zdjęto z wielbłąda i ustawwszy nas wszystkich razem, okrążono konwojem. Jak się okazało, za nami szły osły, objuczone prowiantem i namiotami. Rozbito namioty i do jednego



z nich nas wprowadzono. Spojrzałem na zegarek — była godzina 6 rano, byliśmy więc w podróży 10 godzin. Po takiej drodze i bezsennie spędzonej nocy byliśmy nawpół żywi, wyciągnęliśmy się więc na ziemi, podesałwszy wełniane dery, które nam dano.

Twarze nasze wyglądały okropnie, skóra pokryta była skorupą z kurzu, którą bezwiednie rozmazywaliśmy, dotykając rękami, usta obramowane były czarną obwódką, nos i uszy zapełnione kurzem, o myciu nie mogło być mowy z braku wody. Poczuliśmy dzielić się swojemi wrażeniami z przebytej nocy. W drodze wszyscy odnieśli wrażenie, że prości żołnierze odnoszą się do nas z życzliwością i współczuciem, lękają się jednak przejawiać je wobec Sułtana, którego się obawiają. Co myśli z nami począć Sułtan, było zagadką i dla nich i dla nas. Wszystkich nas dręczyła myśl, że szukano odpowiedniego, niedostępnego dla oka miejsca, aby z nami skończyć i zakopać.

Załatwiwszy swoje służbowe obowiązki, dotyczące się urzędzenia obozowiska, wszedł do naszego namiotu Sułtan. Wślad za nim przyniesiono derki i dywaniki, które rozesłano w rogu, u wejścia do namiotu, domyśliliśmy się więc, że mamy z nim razem przepędzać czas. Zauważyliśmy też, że Sułtan ma jakiś chorobliwy wygląd i wypieki na twarzy. Siadłszy sposobem wschodnim, począł on silnie kaszlać, chwytając się za piersi, jak człowiek chory na płuca. Forsowna podróż, chłód nocny i niewyspanie widocznie pogorszyły jego stan. Doktor Wagner zbadał puls i znalazłszy podniesioną temperaturę, zaproponował mu zrobienie kompresu rozgrzewającego. Sułtan wzdragał się jakiś czas, pod wpływem jednak naszych nalegań wyraził zgodę. Przyniesiono wodę, płótno, zrobiono mu kompres, obwiązano w wełniany koc i nakryto derą. Widocznie zrobiło mu się lepiej, bo wkrótce przestał

kaszlać i głęboko zasnął. Podczas jego snu przyniesiono nam obiad, składający się z gotowanego ryżu w tak małej ilości, żeśmy pozostali zupełnie głodni. Niepodobna było żądać czegoś w naszym położeniu, wszystko było robione z nami celowo, widocznie miało instrukcję, aby nas trzymać o głodzie.

Po kilku godzinach snu Sułtan się obudził. Zauważyliśmy, że czuje się dobrze i jest zadowolony. Patrzył na nas życzliwszym wzrokiem i wybąkał podziękowanie, wyczuliśmy w nim jakąś zmianę. Zaczął jeszcze raz wypytywać się o nasze losy szczegółowo i tym razem, zdawało się, że wierzył w prawdę naszych opowiadań. Słuchając nas, zamyślał się od czasu do czasu, jakby zastanawiając się nad czymś. Przez obcowanie z nim w ciągu kilku godzin zbliżyliśmy się do niego i zauważyliśmy, że zachowanie się jego względem nas zmieniło się na lepsze. Stał się weselszy, rozmowniejszy i powtarzał od czasu do czasu „wszystko będzie dobrze”.

Ledwo zdążyliśmy przespać się parę godzin po skromnym obiedzie, gdy o 5-ej pp. kazano już nam wstać i siadać znów na osły. Ustawivszy się w porządku takim, jak poprzednio, ruszyliśmy w drogę, kierując się na południe w kierunku widniejącego zdalea pasma gór, które pod nazwaniem Chezar-Medżid ciągną się wzdłuż granicy Persji i Turkiestanu z północo-zachodu na południo-wschód. Przy dziennym świetle mogliśmy się przyjrzeć eskortującym nas sipajom. Przeważnie byli to o sympatycznym, prawie dzieciennym wyrazie twarzy młodzi Hindusi. Na ładnych australijskich koniach, w umundurowaniu i zawojach wyglądali malowniczo, tylko zapadłe, połykające oczy zdradzały jakiś smutek i wycieńczenie.

Z żalem żegnałem ostatnie promienie zachodzącego słońca. Znowu zbliżała się ponura noc, która nie-



wiadomo co miała nam przynieść w darze. Zapadł już dobry zmierzch, gdy zauważyłem wśród spokojnie i miarowo poruszającej się karawany jakiś ruch. Jeden z jeźdźców, widocznie Sułtan, przegalopował mimo nas na tył karawany. Wydawano jakieś rozkazy, porozumiewano się, wszystko to naturalnie w niezrozumiałym dla nas języku. Po chwili ujrzałem część karawany, w której były wielbłądy, oddzielającą się od nas i kierującą się dalej, szerokim gościńcem, po którym dotąd jechaliśmy, my zaś z Sułtanem i eskortą sipajów zboczyliśmy na prawo wprost ku ciemnym sylwetkom wzgórz. Smutny, zacichający odgłos gongów oddalającej się karawany wielbłądów dolatywał do nas zdala, jakby na pożegnanie. Oddzielenia się naszego oddziału od całej karawany nie można było tłumaczyć inaczej, jak chęcią pozbycia się niepotrzebnych świadków. Zboczyliśmy z drogi, kierując się w górskie wąwozy, szukając widocznie dogodnego miejsca dla zatarcia śladów przy spełnieniu nad nami wyroku. Przebrani w perskie kostjumy, nie bylibyśmy nigdy rozpoznani nawet wówczas, gdyby nas ktokolwiek odszukał.

Poczęliśmy wjeżdżać na wzgórze i wkrótce zagłębiliśmy się w ciemny wąwóz, który prowadził w kierunku pasma gór. Musieliśmy zwolnić kroku. Osiołki nasze z widocznym wysiłkiem dźwigały swój ciężar pod górę. Z wąwozu wydostaliśmy się na ścieżkę, wijącą się po pochyłości wzgórze. Pomimo ciemności łatwo było zorientować się, iż posuwamy się nie drogą, ale jakąś górską ścieżyną, dostępną jedynie dla pojedynczych pieszych i konnych podróżników. Spostrzegłem, że trzymający nas na arkanie sipaje nie jechali już obok nas, ale pozostawali wtyle, jadąc gęsiego, jeden za drugim. Z prawej strony wyczuwałem ściany wzgórze, z lewej próżnię, w którą od czasu do

czasu staczały się kamyki z pod kopyt naszych osłów i koni sipajów.

Ścieżka, po której jechaliśmy, stawała się coraz bardziej stroma. Coraz częściej spotykaliśmy po drodze jakieś przeszkody, o które osiołek nasz potykał się. Pocziwe, mądre to zwierzę pochyliło zupełnie nadół głowę, widocznie wypatrując i obwąchując drogę, i stąpało z wielką ostrożnością. Wyczekiwałem z upragnieniem pojawienia się księżyca, ażeby zorjentować się w położeniu, niestety światło jego nie przyniosło mi pociechy. Ujrawszy ścieżkę, po której wspinaliśmy się, zdecydowałem, że lepiej było tę drogę przebywać wśród ciemności, albo z zamkniętymi oczyma, aby nie widzieć niebezpieczeństwa, na jakie byliśmy narażeni.

Był to typ górskiej ścieżki, wijącej się po pochyłości góry i pokrytej warstwą drobnych, ostrych kamyków ze zwietrzałych skał. Posuwając się takimi ścieżkami, nawet pieszo, należy stąpać z wielką uwagą i ostrożnością, próbując, czy stopa się nie osunie. W wąskich miejscach takie osunięcie grozi stoczeniem się w przepaść. Podróżując w Dagiestanie, widziałem ten typ ścieżek i byłem kilkakrotnie świadkiem nieszczęśliwych wypadków. Wspinać się po nich mogą jedynie albo wychowane w górach niepłochliwe i pewne w nogach konie, albo ostrożne i wytrzymałe osły. Ścieżka, po której posuwaliśmy się, prowadziła miejscami coraz wyżej, wiła się ślimakiem po pochyłości jednego wzgórza i przerzucając się na następne, wspinała się w prostym kierunku. Kierowaliśmy się widocznie ku przełęczy, którą chwilami traciliśmy z oczu, zapuszczając się w jakiś wąwóz, wynurzając się zaś z niego, znowu mieliśmy przed oczyma jej wysokie szczyty.

Im wchodziliśmy wyżej, tem dróżka stawała



się węższą i niebezpieczniejszą. W jednym miejscu spuściliśmy się na porośniętą karłowatą roślinnością dolinę, która widocznie była połączeniem z głównym pasmem gór. Z przodu kolumny dobiegła nas komenda „stanać”. Zmęczone konie i osły stanęły nieruchomo opuściwszy głowy. Po chwili usłyszeliśmy jakieś wołanie, lecz zaledwie ruszyliśmy kilkanaście kroków, znów nas zatrzymano. Powtarzało się to kilka razy. Ja ze Stumpem jechaliśmy ostatni, nie mogliśmy się więc zorientować, co się dzieje na przodzie. Dowiedzieliśmy się o tem dopiero wówczas, kiedy osioł nasz stanął, nie chcąc iść dalej. Okazało się, że, aby się przedostać na pochyłość wysokiej, piętrzącej się przed nami góry, trzeba było przebyć wąwóz, przecinający dolinę. Przez wąwóz ten przerzucona była kładka ułożona z kilku okrągłaków miejscowego dębu, zwanego „karagaczem”, pokryta zwierzchu cienkimi gałęziami i zasypana ziemią jedynie. Szerokość kładki była taka, że zaledwie dwóch przechodniów mogło się na niej z trudnością wyminąć. Długość jej wynosiła około dwóch metrów. Rozumie się, że o poręczach przy tej konstrukcji nie mogło być mowy. Spotykałem takie kładki w górach kaukaskich; aby przejść przez nie, poza niebezpieczeństwem, grożącym od załamania się, lub rozsunięcia okrągłaków, zagrażał także upadek, wywołany zawrotem głowy. Napotkawszy taki most na swojej drodze, nieprzywykłe widocznie do podobnej przeprawy zwierzęta odmówiły posłuszeństwa, nie chcąc ryzykować. Sipaje zeszli z koni i przeprowadzili je, trzymając za uzdy, nas jednakże zmuszono przebyć most, nie schodząc z osłów, które trzeba było ciągnąć za sznur i poganiać. Nasz osiołek był w największym niebezpieczeństwie, ponieważ poprzednicy jego, w warstwie ziemi, pokrywającej kładkę porobili zagłębienia, mógł on zatem trafić

nogą w szczelinę między okrągłakami i runąć z nami w przepaść. Osioł namyślał się parę chwil, opuścił chrapy do samej ziemi, nastawił uszy i wolniutko, naprężając swoje stalowe nóżki, przeszedł ostrożnie na drugą stronę. Emocji, którą przeżywaliśmy, znalazłszy się na środku kładki, opisać nie jestem w stanie, pomimo tego, że i dziś jeszcze odczuwam ją przy wspomnieniu o tej przeprawie. Podobno jeden tylko wielbłąd z Kowenką przeszedł, nie zatrzymując się, trzymając głowę jak zwykle wysoko, jakby pogardzając niebezpieczeństwem, którego prawdopodobnie nie rozumiał.

Przedostawszy się na drugą stronę, zwróciliśmy się na lewo i poczęliśmy wspinać się po wydeptanej dróżce, wijącej się po pochyłości wysokiej góry. Z prawej strony piętrzył się nad nami wysoki szczyt ze zwieszającymi się wystającymi odłamkami skał, z lewej strony widniała niedosięgła dla oka głębia, której ostre występy oświetlał księżyc. Dróżka ta była tak wąska, że upadek osła lub jego potknięcie się zagrozało i nam i jemu stoczeniem się w przepaść. Ażeby zrozumieć spotęgowane wrażenie niebezpieczeństwa, trzeba pamiętać, że trzymani byliśmy na arkanach. Nietylko upadek naszego osła, ale każdego trzymającego arkan sipaja pociągał za sobą ściągnięcie nas i osła w przepaść. Co chwila, wskutek jakiegoś zatrzymywania się, odległość między nami i trzymającym arkan sipajem przedłużała się i zmuszeni byliśmy wyciągać ręce w kierunku trzymającego arkan, aby nie być ściągniętymi z siedzenia. Sipaje, czując zagrożające im niebezpieczeństwo, po pewnym czasie zsiadli z koni i poczęli je prowadzić za uzdy, nas jednak w dalszym ciągu zmuszono jechać na osłach. W niektórych miejscach droga była zawałona przez wielkie kamienie, które widocznie niedawno



stoczyły się ze szczytu. Nasz osiołek zmuszony był wdrapywać się na nie i następnie zeskakiwać. W ten sposób posuwaliśmy się po wijącej się nad urwiskiem drodze, spotykając coraz to nowe przeszkody i niebezpieczeństwa. Dokąd prowadziła nas ta droga, jak długo będziemy jeszcze wspinać się po niej, niepodobna było przewidzieć.

Jasna, południowa księżycowa noc pozwalała mi widzieć całą naszą kolumnę. Przy wspinaniu się po pochyłości, śledziłem za Sułtanem, jadącym na czele karawany. W pewnym momencie spostrzegłem, że sylwetka jego i następnych jeźdźców zniknęła mi nagle z oczu. Zrazu przypuszczałem, że w tym miejscu spuszcza się po pochyłości na dno przepaści, której brzegiem posuwaliśmy się. Zbliżywszy się jednak do miejsca, w którym znikli jadący na przodzie jeźdźcy, ujrzałem, że ścieżka skręca pod prostym kątem na prawo, prowadząc dalej wzdłuż prawie prostopadłej skalistej góry. Płaszczyzna skrzyżowania była tak mała, że osioł nasz zatrzymał się, aby się namyśleć, jak go przebyć. Prowadzący go na sznurze sipaj był już za skrzyżowaniem i nie mógł zobaczyć, co się dzieje za rogami. Nie widząc zwierzęcia, począł szarpać je za sznur i ciągnąć do siebie. Tym razem niewiele brakowało do tego, byśmy byli ściągnięci w przepaść. Rozumne zwierzę, przechyliwszy grzbiet ku ścianie, pozwoliło się przeciągnąć i w ten sposób dostaliśmy się za skrzyżowanie na ścieżkę.

Wkrótce znaleźliśmy się na łagodnej pochyłości, wysokie szczyty znikły nam z przed oczu, droga poczęła się rozszerzać i niebawem zmieniła się w niewielką dolinę, w głębi której dojrzelśmy kontury zadrzewienia, wskazujące na obecność zamieszkanego aułu. Biedne, zmęczone zwierzęta z trudnością przebierały nogami, trzeba było dać im odpocząć. Zatrzy-

maliliśmy się. Ustawiono nas na wzgórzu pod skalistą ścianą i pozwolono nam zsiąść, osłów pognano nadół, w dolinę, na trawę, a konie karmiono, trzymając uzdy w rękach.

W aule, jak zwykle na wschodzie nocną porą, panowała głucha cisza. Część sipajów stanęła naprzeciwko nas, część zaś nieco opodal, pałac fajeczki, pilnowała szukających lepszej trawy koni. Począłem drzemać, oparłszy się plecami o skałę, gdy w tem niespodziewanie rozległ się głuchy tętent jakiejś konnicy i szcęk oręża. Nastąpiła ogólna panika. Ze wszystkich stron odezwały się jakieś dzikie okrzyki. Najbliżej nas stojący sipaje rzucili się w naszym kierunku, przygotowując broń do strzału. Struchleliśmy, nie wiedząc, co to ma oznaczać. Można było przypuszczać, że na nasz oddział ktoś napada i, że my, przede wszystkim, sądząc z zachowania się sipajów, padniemy ofiarą. Na szczęście okazało się, że przestрах ten wywołało stado rozbieganych osłów, które spłoszył widocznie któryś z żołnierzy, oddaliwszy się w głąb doliny. Żelazne ośle pęta brzękiem swym naśladowały metaliczny dźwięk uderzającej o siebie broni. Szczęściem było dla nas, że całe to zajście wyjaśniło się, zanim nasz konwój począł działać energicznie.

Po krótkim, zakłóconym tym wypadkiem wypoczynku, ruszyliśmy dalej. Charakter miejscowości, przez którą posuwaliśmy się, zmienił się. Zamiast dzikich krajobrazów i obnażonych, pozbawionych roślinności skał spotykaliśmy wzgórza, porośnięte karłowatą roślinnością, doliny pokryte miękką trawą, co wskazywało na bliskość wody. Droga stawała się szerszą i wygodniejszą. Była godzina pierwsza po północy, kiedy dosięgliśmy obszernego płaskowzgórza i oczom naszym ukazały się wysokie drzewa ogrodów i szare mury aułu. Zatrzymano się i kazano nam zejść z osłów.



Ujrawszy płaszczyznę, czując pod nogami równy miękki grunt, zapomnieliśmy o całym naszym niešťczesnym połozeniu i mimowoli jakaś radość i otucha w nas wstąpiła. Rozesłaliśmy nasze dery we wskazanem nam miejscu pod rozłożystem drzewem i legliśmy, by wypocząć. Trudno było uwierzyć, że my i biedne osły wytrzymywaliśmy taką podróż od 5-ej południu, czyli w przeciągu 8 godzin prawie bez odpoczynku.

W tem miejscu chciałbym wyjaśnić pytanie, które może powstać w myśli każdego czytelnika, nieobznajmionego z bytem ludności Wschodu, a w danym wypadku Persji. Jak sobie wytłumaczyć, że tak niebezpieczna i trudna do przebycia droga mogła prowadzić do siedziby ludzkiej? Jest to łatwem do zrozumienia dla tych, którzy wiedzą, że pasma gór zamieszkuje zwykle ludność niespokojna, wojownicza, trudniąca się poczęści grabieżą i będąca postrachem dla mieszkańców doliny, prowadzących spokojny tryb życia i zajmujących się jedynie rolnictwem. Miejsca osiedlenia w górach wybierane są zawsze na niedostępnych i dzikich płaskowzgórzach, do których dostęp jest utrudniony, a to ze względu na łatwiejszą w potrzebie obronę. Znana jest historia bohatera Kaukazu Szamila, który dziesiątki lat opierał się potędze Rosji, dzięki niedostępności swojego orlego gniazda w górach Dagiestanu.

Pasma gór Chezar-Medźid, które przebywaliśmy, zamieszkałe są przez wojownicze plemię perskich Kurdów-Safaranlu. W obecnych czasach prowadzą oni tryb życia spokojny. Z wojowniczości ich pozostały tylko tradycje. Bądź co bądź stanowią oni zawsze element niespokojny i mniej od innych uległy względem każdej władzy. Zewnętrzny swoim wy-

gładem, wzrostem i wysmukłością postawy plemię to różni się od okolicznych mieszkańców dolin.

W Azji egzystuje kilka plemion Kurdów, zamieszkujących górzyste płaskowzgórza i wszędzie różnią się one typem od otaczających je mieszkańców, pomimo wspólności pochodzenia i religji, i wszędzie cechą ich jest odwaga i wojowniczość.

Słyszałem kiedyś taką legendę o pochodzeniu tych plemion.

W zamierzchłych czasach panował w Persji surowy władca, który pewnego razu ciężko zachorował. Nadworni znachorzy orzekli, że nie są w stanie uratować go od śmierci, aż dopiero zjawił się jakiś nieznan, z obcego kraju, znachor, który zdecydował, że chory może się uratować, jeżeli w ciągu miesiąca będzie się kąpał we krwi zdrowych, młodych chłopców, którzy nie przekroczyli 18 lat. Natychmiast wydano odpowiedni rozkaz i z całej Persji dostarczono do dworu najzdrowszych i najdorodniejszych młodzieńców, z których krwi przyrządzano przepisane wanny. Lekarstwo okazało się w samej rzeczy skuteczne, po miesiącu władca wyzdrowiał, obdarował hojnie obcego znachora i używał dalej życia i rozkoszy. Nie wiedział on jednak o tem, że ulubieniec jego, pierwszy minister, który spełniał jego rozkazy, będąc człowiekiem wielkiej szlachetności i dobroci, nie mordował niewinnych ofiar, ale ukrywał przyprowadzanych młodzieńców w podziemiach swego ogrodu, wanny zaś przygotowywał ze krwi swoich własnych baranów. Po wyzdrowieniu władcy ukrywać młodzieńców nadal było niepodobna, gdyż z łatwością mogłoby się to wydać i on sam przypłaciłby życiem nieposłuszeństwo i zdradę. Postanowił więc wyprawić ich pewnej nocy, z wielkimi ostrożnościami, w niedostępne góry. aby tam przebywali aż do śmierci władcy, wzięwszy



od nich przyrzeczenie, że nie będą się ukazywać w dolinach i zapomną o swoich rodzinach.

Uratowani młodzieńcy dotrzykali przyrzeczenia danego swemu wybawcy i zachowali tajemnicę. Po wielu latach dopiero, dowiedziawszy się o śmierci władcy, poczeli pojawiać się w dolinach, uprowadzając na żony najdorodniejsze dziewczęta z okolicy. W niedostępnych górach pobudowali „sakle” (chaty) i osiedlili się tam na zawsze.

Wschodnie to podanie przypomina trochę legendę o założeniu Rzymu i porwaniu Sabineek.

Leżeliśmy na ziemi, dzieląc się szczegółami epizodów z niedawno przebytej drogi. Sipaje tymczasem, uwiązawszy konie, zebrali się w bliskości nas i rozłożyli ognisko, do którego nas zaprosili. Noc była chłodna i chętnie przyłączyliśmy się do ich kompanji. Sułtana nie było, dowiedzieliśmy się, że oddalił się, aby spotkać tę część karawany, która odłączyła się od nas i która powinna była niedaleko od miejsca, gdzieśmy się zatrzymali, przechodzić. Zapanował jakiś wspólny życzliwy nastrój. Grzeliliśmy się przy ognisku, częstowaliśmy się wzajemnie tytuniem i papierosami. Widocznie, że i żołnierze czuli ulgę po przebyciu tej piekielnej drogi, grożącej w przeciągu 8 godzin na każdym kroku niebezpieczeństwem. Przyniesiono z sąsiednich ogrodów melony, które bez ceremonji zrywano i częstowano nas niemi. Niestety, były one niedojrzałe i tak niesmaczne, że pomimo głodu i pragnienia nie mogłem ich jeść. Rozwiązano nam ręce, przysunęliśmy więc do ogniska nasze dery i leżeliśmy, wygrzewając się.

Miałem czas zastanowić się nad nowem położeniem i zachowaniem się naszego konwoju. Było to jasne, że gdyby chciano się nas pozbyć, to przebyta noc najbardziej się ku temu nadawała. Nie było nic ła-

twiejszego, jak zepchnąć nas z osłami razem w przepaść, której brzegami tyle czasu posuwaliśmy się. Nie można byłoby nawet obwiniać nikogo o śmierć naszą, gdyż w tych warunkach zawsze można było przypisać to przypadkowi. Jeżeli tego nie uczyniono, byliśmy ocaleni widocznie na dłuższy przeciąg czasu. Z drugiej strony należało przypuszczać, że zamiar pozbycia się nas egzystował, bo inaczej nie można było zrozumieć celu oddzielenia się naszego od karawany, na której spotkanie wyjechał teraz Sułtan, i która, jak się okazało, przybyła w jednym czasie z nami do miejsca, gdzie zatrzymaliśmy się, bezpieczną i wygodną drogą. Poczóż było więc narażać się na widoczne niebezpieczeństwo karkołomnej drogi po nocy? Myśl ta, przynosząc otuchę, jednocześnie kazała zastanowić się nad tem, co będzie dalej? Sułtan zapewne nie dostał wyraźnego rozkazu pomordowania nas, pozostawiono mu co do nas zupełną swobodę postępowania. W takim razie ocalenie zawdzięczamy jemu, musi on zatem mieć jeszcze jakiś nieznany nam plan dalszego postępowania.

Po powrocie Sułtana zdziwiliśmy się, że on, zwykle tak surowy i wymagający, tym razem, zobaczywszy, że siedzimy swobodnie przy ognisku, nie przeszkodził nam, ale, popatrzawszy zdaleka, położył się i zasnął. Zasnęliśmy i my. Niedługo niestety trwał nasz sen. Rozbudzono nas o świcie i ruszyliśmy dalej. Jakiś czas stroma droga prowadziła wdół, co było gorsze od wspinania się. Staraliśmy się wedle możliwości ulżyć naszemu osiołkowi, odchylając się wtył, aby nie upadł na przednie nogi. Jechaliśmy, zapierając dech przy każdym jego potknięciu się, zdając sobie sprawę, że przy upadku osła potoczymy się wdół przez jego głowę i nic nas wówczas nie uratuje. Wkrótce droga wyprowadziła nas znów na płaskowzgórze, sta-



ła się szersza i bardziej pozioma, a wkońcu zmieniła się w szeroki wąwóz, wzdłuż którego posuwaliśmy się po łagodnej pochyłości. Wysokie szczyty przełęczy pozostały za nami i wkrótce oczom naszym ukazała się oświetlona wschodzącym słońcem, rozległa dolina rzeki Atrek, ciągnąca się w prawo i w lewo od nas.

Droga, po której jechaliśmy, prowadziła wzdłuż wzgórza, będącego odnogą głównego pasma gór. Po-  
dążaliśmy na zachód w kierunku widniejących zdala aułów. Zwierzęta, poczuwszy bliskość ludzkich siedzib i bliskość wody, poczęły kroczyć raźniej, i my, wycieńczeni całonocną podróżą, z niecierpliwością oczekiwaliśmy, kiedy zatrzymamy się dla dłuższego odpoczynku. Minęliśmy kilka aułów, napróżno oczekując przy zbliżaniu się do nich, że się w nich zatrzymamy; Sułtan, nie oglądając się, jechał na przodzie, prowadząc oddział dalej.

Dopiero teraz poczułem skutki nocnej przeprawy. Siedząc za Stumpem niewygodnie, i ze spuszczone-  
mi nogami, pościarałem sobie skórę z lędźwi i pod kolanami o ostre kanty pałanu, wskutek czego odczuwałem dolegliwy ból przy każdym poruszeniu się. Każdy auł, do którego zbliżaliśmy się, witałem z nadzieją, że się nareszcie w nim zatrzymamy i, mijając go, z rezygnacją zaciskałem zęby.

Nareszcie zboczyliśmy z drogi i poczęliśmy przecinać łąkę, kierując się w stronę ogrodów, okalających jakiś większy auł. Zatrzymaliśmy się na polance, zdala od zabudowań, gdzie kazano nam zsiąść. Była godzina 8 rano. Pomimo tego, że nogi moje dosięgały prawie ziemi, z trudnością mogłem zsiąść z osła. Nieprzyzwyczajone do takiej pozycji nogi w przeciągu 15 godzin obrzękły i straciły elastyczność. Chcąc zmienić pozycję i wyprostować się, poczułem ból w całym ciele. Nawpół zgięty doszedłem do

wskazanego nam na odpoczynek miejsca, aby wyciągnąć się i przybrać powoli poziomą pozę. Ustawiono namioty, w których rozłożyliśmy się. W pewnej odległości rozłożyli obóz sipaje, poprzywiązywano konie i zakrzątnięto się koło przygotowania posiłku.

Żołnierze, Hindusi, przygotowują dla siebie jedzenie osobno, zbierając się grupami po kilku dokoła ogniska, ponieważ jedzą oni tylko według swego gustu przyrządzone potrawy. My od 2-ej godziny popołudniu ubiegłego dnia nic w ustach nie mieliśmy i, jak wspomniałem, wyruszyliśmy nawpół głodni. Jakkolwiek najwięcej odczuwaliśmy zmęczenie, głód także dawał nam się we znaki. Tym razem doświadczyliśmy niespodziewanej troskliwości, przyniesiono nam bowiem dzban kumysu, obfite śniadanie ze smacznie przyrządzonego ryżu i miejscowego chleba w rodzaju placków, t. zw. w Persji czureku. Wiele danych było na to, że cała ta prowizja była wprost bez ceremonii zarekwirowana u mieszkańców aułu. Rozdzieliliśmy wszystko, jak dzieci, na równe części i pochłonęliśmy w mgnieniu oka. Tutaj głód pierwszy raz zachwiał wzajemne do siebie zaufanie, lękano się, aby ktoś nie zjadł więcej i nie skrzywdził sąsiada. Najważniejszym jednakże było to, że pozwolono nam się umyć w pobliskim strumieniu, co nas orzeźwiło i wpłynęło na powrót energii.

Widocznie jednak Anglicy w tych stronach nie czuli się zupełnie spokojnie, gdyż po śniadaniu oddział nasz został zaalarmowany. Rzucono się do koni, przygotowano broń i kilku jeźdźców pocwałowało wpoprzek łąki, w stronę wzgórza, z którego niedawno spuściliśmy się. Skończyło się jednak tylko na alarmie, wywołanym niewiadomo przez kogo. Wprawdzie w okolicy Teheranu z wojskami angielskimi prowadziły partyzancką wojnę wojska Kuczuk-Chana,



w tych stronach jednakże o zbrojnych oddziałach nie było słycać, bardzo więc być może, że i tym razem niebezpieczeństwo powstało w wyobraźni tych nieprzywykłych do wojowania żołnierzy, którzy wystraszeni zostali na przełęczy przez stado rozbieganych osłów.

Po śniadaniu zasnąłszy snem kamiennym. Obudziwszy się, z niepokojem oczekiwałem dalszej podróży. W poranionych miejscach odczuwałem ostry dokuczliwy ból przy każdym poruszeniu się, ze spodni moich pozostały tylko strzępy, słaby materiał poprzecierał się i popękały one na szwach wskutek niedopasowania. Nie było jednakże rady. Kiedy o 6-ej popoł. przyprowadzono osły, trzeba było zwlec się z rozesłanej dery, która wydawała się teraz puchem łabędzim i, zacisnąwszy zęby, wgramolić się na osła.

Byłem obznajmiony dostatecznie z konną jazdą, odbywałem konno dalekie podróże i dosiadałem bez obawy najniespokojniejszego konia, lecz tym razem, podszedłszy do naszego małego osła, nie byłem w stanie wsiąść na niego bez pomocy i dopiero, widząc moją bezradność, jeden z sipajów dopomógł mi do wsiadania. Usiadłszy, starałem się nie ruszać z miejsca, aby złagodzić ból, który odczuwałem.

Jeżeli ja, przyzwyczajony do niewygód podróży na Wschodzie, nawykły do konnej jazdy, czułem się zupełnie wyczerpany po tej okropnej 15-stogodzinnej drodze, to cóż odczuwali ci, co pierwszy raz odbywali drogę wierzchem na zastępującym siodło perskim pałanie. Do tego czasu można było jeszcze określić nas jako podróżnych, jadących na osłach, od tej chwili byliśmy już nie jadącymi, ale literalnie wleczonymi.

Starając sobie ulżyć w bólu, unosiłem się cały czas na rękach, opierając się na grzbiecie osła. Mieliśmy ostatnie wzgórze, przecinające dolinę i podą-

żaliśmy na południe. Nie obchodziła mnie już ani okolica, ani krajobrazy spotykane, nie widziałem nic, oczekiwałem tylko momentu, kiedy znów się zatrzymamy i starałem się przewidzieć, czy będę w stanie wytrzymać w tem położeniu do chwili odpoczynku. Widocznie ze zmęczenia i ogólnego zdenerwowania poczęłem odczuwać chłód, otuliłem się zatem pledem, który wyciągnąłem z pod siebie, wskutek czego siedzenie na pałanie stało się jeszcze dokuczliwsze.

O zmroku ukazały się wysokie zabudowania; widocznem było, że podjeżdżaliśmy już nie do zwykłego wiejskiego aułu, ale do miasteczka. Wśród nocnej ciszy zadźwięczały na twardym gruncie końskie kopyta i echo ich poczęło się rozlegać w cichych, opustoszałych ulicach uśpionego miasta.

Jak dobrze byłoby tu wypocząć!

Zaledwie o tem pomyślałem, gdy naraz usłyszałem jakiś dziki okrzyk. Był to głos Sułtana, który przemknął galopem na koniec oddziału. Rozległa się niezrozumiała dla mnie komenda, po której wszyscy sipaje dobyli pałaszy. Jeden z nich podskoczył do mnie, zerwał mi pled z ramion, szarpnąwszy tak silnie, iż o mało nie spadłem z osła i machnął pałaszem nad moją głowę. Sipaje, trzymający arkany od naszych rąk, naciągnęli je tak mocno, że ręce nasze musiały wyciągnąć się w ich kierunku. Tym razem niepokój graniczył z ciekawością. Wśród nocnej ciszy zawróciliśmy na lewo i wkroczyliśmy w szeroką ulicę miasteczka. Posuwaliśmy się otoczeni przez sipajów z dobytymi pałaszami, jadących w wojennym ordynku środkiem szerokiej pustej ulicy, po której bokach widniały drzewa ogrodów, okolonych wysokimi murami.

W końcu ulicy skręciliśmy na prawo w cieniłą aleję, wysadzaną rozłożystymi platanami, które przypominają charakterem swojego rozgałęzienia nasze



nadwiślańskie topole i posuwaliśmy się dalej jak w ciemnym tunelu. Wynurzywszy się z alei, wyjechaliśmy na wzgórze, skąd ujrzelśmy przed sobą rozległą dolinę. Byliśmy więc już poza granicami miasta.

Zatrzymano nas, kazano nam zsiąść z osłów i brutalnie pospychano nas do głębokiego rowu obok drogi, rozkazując położyć się. Część konwoju z końmi i osłami pozostała na drodze nad naszymi głowami, część zaś z Sułtanem na czele odjechała zpowrotem. Leżąc w rowie, robiliśmy najróżnorodniejsze przypuszczenia, co ma oznaczać ta nowa niespodzianka, co mogło spowodować tak nagłą zmianę w zachowaniu się Sułtana i sipajów, do których poczuliśmy już pewne zaufanie, dzięki ich życzliwemu odnoszeniu się do nas podczas ostatniego przejazdu. Ja osobiście uważałem za bezużyteczne wyteżać w tym kierunku myśl swoją po przebyciu tego, co nas już spotkało w ciągu tych czterech dni. Lepiej było nic nie przewidywać i spodziewać się jak najgorszego losu.

Po upływie mniej więcej pół godziny kazano nam znów wsiąść na osły, poczem ruszyliśmy zpowrotem ciemną aleją w stronę miasta. Minęliśmy je i wyjechaliśmy na przeciwległy jego kraniec. Tuż pod murem ostatniego ogrodu ujrzelśmy namioty obozu, rozłożonego widocznie przez oddziały wojsk angielskich. Okrążywszy namioty, znaleźliśmy się z drugiej strony obozu. Kiedy po zejściu z osła, w oczekiwaniu dalszej komendy, ledwo trzymając się na nogach, chciałem usiąść na kłodzie, pilnujący mnie sipaj zamierzył się na mnie kolbą.

Niedługo tym razem czekaliśmy na nową niespodziankę. Poprowadzono nas wszystkich pod wysoki mur i kazano położyć się nawznak. Wobec tego, że nie rozumieliśmy języka, bez ceremonji szturchano siedzących w piersi.

Począł kropić deszcz. Leżeliśmy pokotem na mokrej ziemi. Przed naszymi oczami poczęto rozciągać jakąś długą linkę i umocowywać ją na słupkach, poczem przyprawdzono konie i poprzywiązywano je do linki w ten sposób, że byliśmy zasłonięci od strony obozu przez konie, głowy zaś nasze opierały się o wysoki mur. Było to już coś nowego, do tej chwili lokowano nas, bądź co bądź, w namiotach, zacząłem się więc nad tem zastanawiać. Widocznem było, że coś się dla nas przygotowuje. Patrzyłem na głowę ładnego siwka, który chrupał jęczmień prawie u nóg moich i nie zwracał wcale na mnie uwagi. Leżałem ostatni z brzegu, mając wszystkich swych towarzyszków po lewej stronie. Nagle posłyszałem jakiś brzęk i w ciemności z lewej strony zarysowała się sylwetka wysokiej postaci, w płaszczu sięgającym jej do stóp, której wzrost na tle nocnem wyolbrzymiał się dzięki śpiczastemu, wysoko podniesionemu kapturowi. Kaptur ten nachylał się, trwał jakiś czas nachylony, poczem podnosił się i posuwał się dalej wzdłuż naszych nóg w moją stronę. Jednocześnie słychać było jakieś pobrzękiwanie, które ja z początku przypisywałem końskiemu wędzidłom. Patrząc na tę postać, przyszły mi na myśl wizerunki, spotykane w sensacyjnych powieściach, opisujące średniowiecznych katów i tajemnice inkwizycji. Wyobraźnia moja niewiele odbiegła tym razem od rzeczywistości. Wysoka postać, której twarzy z powodu zmroku i kaptura niepodobna było rozróżnić, zbliżyła się do leżącego obok mnie Stumpa i ujrzałem, jak oddzieliwszy jeden łańcuch, poczęła nakładać na ręce Stumpa żelazne ośle pęta. Osłupiałem, miałem wrażenie, że to sen. Operacja nakładania pęt, zastępujących kajdany, Stumpowi trwała dość długo, dzięki temu, że Stump był to mężczyzna silnie zbudowany, o grubej kości i małe kłamry pęt,



obrachowane na osłe pęciny, nie mogły się zatrzasnąć na jego rękach. Zniecierpliwiony oprawca, nie mogąc sobie inaczej poradzić, siłą zatrzasnął sprężynę na jego rękę i podszedł do mnie. Jak się okazało, miał on pomocnika, którego w mroku, za kolosalną jego figurą, nie spostrzegłem. Schwycono mnie za ręce i nałożono osłe pęta, które pozwalały rozsuwać od siebie dłonie nie więcej jak na jedną stopę. Po dokonaniu tej operacji, końcem sznura, do którego byli pokolei wszyscy do siebie związani, prawą moją nogę przywiązano na krzyż do prawej nogi Stumpa. Skończywszy tę robotę, obie postacie w milczeniu oddaliły się i zniknęły w ciemności.

Nie mogliśmy się ruszać. Każde poruszenie sprawiało ból w nodze i sobie i sąsiadowi, to były już prawdziwe tortury. Zanim zastanowiłem się nad tem, jak sobie ulżyć i w jakiej pozycji trzymać ręce, ujrzałem z prawej strony z boku nową postać z wyciągniętymi nade mną rękami, nie mogłem się już podnieść, aby zobaczyć co się dalej dzieje. Po chwili poczęto rozwijać na nas ciężki, gruby brezent. Wyciągnięte nade mną dłonie uchwyciły jego koniec, podniosły w górę i całym ciężarem opuściły na mnie. Okazało się, że to samo działo się z drugiej strony i w ten sposób wszyscy zostaliśmy przywaleni jednym, tamującym oddech, ciężkiem przykryciem. Był to już wspólny grób. Położenie w jakim znalazłem się, przekraczało wszystkie przypuszczenia. Widocznie ci dzicy ludzie postanowili nas zamęczyć. Stokroć lżej byłoby nam, gdybyśmy się rozbili o skały, spadając w przepaść!

Ażeby móc oddychać, podniosłem okute ręce i trzymałem je nad sobą, unosząc brezent. Nie mówiliśmy nic do siebie, bo i cóż mogliśmy mówić, nie będąc w stanie nawet uścisnąć sobie rąk na pożegnanie,

mając je zakute. Wstrząśnienie moralne zagłuszało ból od ran. Widocznie jednak nawet w tym strasznym stanie chwilami drzemałem ze znużenia, bo niekiedy zdawało mi się, że wszystko to jest snem i wówczas doznawałem jakiejś błogiej radości. W ciszy nocnej słyszałem wyraźnie od czasu do czasu głębokie szlochy w naszym wspólnym grobie, które potęgowały grozę położenia i doreszty niszczyły ostatki energii i panowania nad sobą.

Widocznie otaczały nas stepy, gdyż pierwszy raz od czasu naszej podróży dało się słyszeć przejmujące wycie i płacz szakali. Tchórzliwe te zwierzęta, upatrzwszy ofiarę, przy nawoływaniu się wydają głosy, naśladujące skomlenie, płacz dziecka, lub przeciągłe wycie. Wszystko to razem zlewa się w jakiś piekielny chór, który przeraża nieprzyzwyczajonych do tego podróżników. Inne zwierzęta, zbudzone wyciem szakali, w panice uciekają przed głodnym stadem tych nikczemnych, napadających zawsze w gromadzie drapieżników. Nocą podchodzą one do siedzib ludzkich, szukając padliny, albo rachując na łatwą zdobycz w postaci domowych zwierząt i ptaków. Okropne wrażenie przedłużającej się w nieskończoność nocy potęgowało wycie wstrętnych zwierząt, rozlegające się wśród nocnej ciszy od strony stepów i niekiedy zbliżające się aż do samych ogrodów miasta.

O świcie zdjęto z nas brezent, ciekawie się przyglądając każdemu pokolei. Może oczekiwano, iż nie wszyscy będą mogli przez całą noc oddychać pod tem ciężkiem nakryciem. Leżeliśmy skuci i związani. Wskutek bliskości koni obsiadały nasze twarze muchy, które z trudnością mogliśmy odganiać skutemi rękami.

Deszcz ustał. Ranek był pogodny. Koło godz. 7-ej rano zjawiło się dwóch Indusów, którzy poczęli



rozwiązywać nam nogi. Nowy, widocznie zastępujący Sultana opiekun nasz zbliżył się do nas i kazał nam wstać. Powlekliśmy się za nim pod eskortą. Idąc w odległości kilkudziesięciu kroków, zauważyłem angielskiego oficera, który przyglądał nam się uważnie i po przejściu naszym oddalił się.

Wprowadzono nas do namiotu, w którym natychmiast wyciągnęliśmy się na ziemi. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co się teraz z nami dzieje, wszelkie nadzieje i przypuszczenia co do poprawy losu zniknęły jak dym. Można usprawiedliwiać nawet zabójstwa, spowodowane nieporozumieniem, ale nigdy znęcanie się i stosowanie tortur, które przynosiliśmy. Tu już nie chodziło o zadosyćczynienie jakiejś sprawiedliwości, ale o wywarcie zemsty przez zamęczenie nas. Niepodobieństwem przecież było myśleć, że wszystko to, co nas spotyka, dzieje się przed rozpatrzeniem naszej winy, a więc przed jakimś sądem, który będzie dopiero rozstrzygał o naszym losie. Byliśmy przecież nie w rękę jakichś dzikich afrykańskich aborygenów, ale w rękę władz narodu, szcycącego się swoją kulturą i poszanowaniem u siebie wolności, musiano więc postępować z samowiedzą i zdawać sobie sprawę ze swoich postępków, chociażby wobec swojego własnego sumienia. Oddając na katowanie nas, ludzi innej kultury i języka, tym nawpół dzikim synom natury, widocznie musiano w nich wmówić, że jesteśmy zbrodniarzami ostatniej kategorii.

Im bardziej chcieliśmy wyjaśnić nasze położenie, tem więcej kwestja się wikłała. Pewnem było tylko to, że znajdujemy się w rękę ludzi, którzy mocni są robić z nami wszystko co im się podoba bez żadnej kontroli. Obraz, jaki przedstawialiśmy po tej nocy, leżąc w namiocie, zakuci w kajdany, był okropny. Na twarzach, szczerbiących od kurzu, widać było ślady

udręczeń moralnych, na niektórych zaschłe łyży nocne wyźłobiły brózdę. Moje nogi były prawie zupełnie nagie. Przed namiotem stanął na straży nieznany nam sipaj widocznie z nowego obozu, który z jakimś wyrazem przerażenia czy okrucieństwa wpatrywał się w nas.

Po pewnym czasie do namiotu wszedł oficer angielski i nieoczekiwanie pozdrowił nas słowem „dzień dobry”. Jakiś czas przypatrywał się nam badawczo i po pewnej chwili zapytał: „Na miłość Boską, kto panowie jesteście i za jakie przestępstwa jesteście tak karani”. Głos jego brzmiał spokojnie, lecz na twarzy malowało się nieklamane współczucie.

Opowiedziano mu, jak tylko można było najkrócej i najszczegółowiej, kolejno los każdego z nas. Wysłuchawszy spokojnie do końca opowiadań, odrzekł, jakby zakłopotany: „Jestem żołnierzem — moją rzeczą jest wojna. Jaka ma być dalsza rola moja w losie panów i dlaczego panowie się u mnie znaleźli, nie wiem, zapytam się telegraficznie, co mam dalej z panami począć i muszę spełnić co mi rozkażą. To co słyszę od panów jest nie do uwierzenia. Los panów jest okropny, ale na zmianę jego wpłynąć nie jestem w stanie. Do czasu otrzymania rozporządzenia, widząc panów w takim ciężkim położeniu, postaram się je złagodzić tem, czem mogę. Każę memu kucharzowi przygotować panom posiłek, który was pokrzepi i doda sił do przenoszenia tych ciężkich warunków, w jakich znaleźliście się”.

Nie wierzyliśmy sobie, że przed nami stoi angielski oficer, tak niepodobny do tych typów, które spotykaliśmy dotychczas. Ze wzruszeniem dziękowaliśmy mu za jego przychylność. Wrażenie było tak silne, że ja, przenosząc dotąd wszystko z zaciśniętymi zębami, poczułem jakąś wilgoć w oczach, bynajmniej nie ze



względów na nadzieję zmiany losu, ale przez wdzięczność za to, że potraktowano mnie znowu nareszcie jako człowieka.

Nie będę opisywał, z jaką chciwością łykailiśmy gorące kakao, jedliśmy omlety i ryż. Byliśmy już udęczeniami i głodem doprowadzeni do nawpół zwierzęcego stanu, którego zaspokojenie i nieodczuwanie fizycznego bólu samo przez się już przynosiło nam pociechę. Dokuczały nam bardzo okropne kajdany z oslich pęt, któremi trzeba było się nauczyć manipulować, aby załatwiać wszystkie czynności. Z początku było to połączone z wielkimi trudnościami, ale powoli nauczyliśmy się manewrować jedną tylko ręką, do której druga była jakby niepotrzebnie przyczepiona. Po posiłku sen pozwolił mi zapomnieć na czas jakiś o naszym losie i przenieść się w inne światy.

Miasto, do którego nas odstawiono, nosiło nazwę Kuczana. Było ono widocznie jednym z wielu etapów wojsk angielskich, maszerujących wzdłuż i wszerz po Persji. Położone ono jest nad rzeką Atrek. Obszerne ogrody, otoczone wysokimi i dobrze utrzymanymi murami, wskazywało, że miasto to jest zamieszkałe przez zamożną ludność. Z Kuczana prowadzi szeroki gości-niec na południe do Meszedu i północo-zachód, wyginiając się półkołem, przez Szyrwan do dużego handlowego miasta Astrabadu. Angielska ekspedycja zajmowała wszystkie najważniejsze punkty komunikacyjne, wybierając miejscowości, obfitujące w wodę i roślinność.

Zastanawiałem się nad tem, jak sobie wytłumaczyć nasz przyjazd do tego obozu, wobec tego, że wnosząc ze słów jego dowódcy, nie był on o tem powiadomiony i nie wiedział, jak ma dalej z nami postąpić. Widocznem było, że władze w Mahmud-Abedzie nie przypuszczały, że dojedziemy żywi do Kuczana, ocale-

nie więc życia naszego zawdzięczamy jedynie Sułtanowi. Zrobiwszy to przypuszczenie, doszedłem do wniosku, że pozorna srogość, brutalne zachowanie się przy wjeździe i zakucie nas w kajdany było upozorowaniem okrutnego obchodzenia się z nami podczas drogi wobec angielskiego oficera. Ten ostatni obszedł się wprawdzie z nami dobrze, lecz był on, jak sam mówił, tylko chwilowym naszym opiekunem i nie wiedział, co nas czeka dalej i w czyje ręce się teraz dostaniemy.

Z niepokojem oczekiwaliśmy na ponowne pojawienie się naszego nowego opiekuna, od którego chcieliśmy zasięgnąć wiadomości o dalszym naszym losie. Z przerażeniem myślałem o dalszej drodze, ze względu na rany, które mi dokuczały. Koło godz. 3-ej pp. zjawił się oficer i oświadczył nam, żebyśmy się przygotowywali do ciężkiej podróży, gdyż przed wieczorem jeszcze wyruszymy w drogę do Meszhedu i będziemy mieli do przebycia sto pięćdziesiąt kilometrów. — Nakarmię was dobrze na drogę, żebyście nabrali sił— dodał z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. Podziękowaliśmy mu, wyrażając swoją wdzięczność za jego troskliwość i zapytaliśmy go o nazwisko. Oficer nazywał się Forsajt. Przyniesiono nam suty obiad, po którym ułożyliśmy się do snu, aby nabrać sił do dalszej podróży. Przed odjazdem kapitan Forsajt odwiedził nas jeszcze raz, częstował papierosami i dość długo z nami rozmawiał. Między innymi zakomunikował nam, że sam będzie nas konwojował i że będziemy mieli bardzo ciężką drogę, ponieważ według rozkazu musimy przebyć sto pięćdziesiąt kilometrów w ciągu dwóch nocy. Pośpiech ten i ponowna jazda nocna były podejrzanym i zwróciły moją uwagę. W dalszej rozmowie oficer powiadomił nas, że jedzie na urlop do Indyj i że, jeżeli my, podobnie jak wszyscy



jeńcy wojenni, będziemy tam odstawieni, to on się postara, aby nas tam konwojować. Nie wierzyliśmy wówczas w możliwość takiej egzotycznej podróży, ale myśl o tem, że ten szlachetny żołnierz będzie nas teraz konwojował, wzbudzała w nas, pomimo zakucia w kajdany, jakąś otuchę. Czuliśmy, że jesteśmy traktowani jak ludzie, że powiedziano nam nareszcie po raz pierwszy dokąd się udajemy i że człowiek ten nie jest w stanie postąpić podstępnie i okrutnie.

24-go sierpnia o 5-ej pp. przyprowadzono ośm osłów. Forsajt, nie mogąc widocznie kazać nam zdjąć kajdan, ulżył nam przynajmniej tem, że jechaliśmy pojedynczo, każdy z nas na roslym, mocnym osle. Pociaszałem się tem, że jadąc sam jeden, potrafię wygodnie usadowić się i uniknąć dalszego ścierania skóry. Usiadłem więc jak mogłem najwygodniej na pałanie, podłożywszy pod siebie pled, przywiązano mi do ręki arkan i ruszyliśmy w drogę. Przed nami pędzono stado osłów, objuczonych prowizją i namiotami. Każdego z osłów, na których siedzieliśmy, prowadził jak i poprzednio na sznurze konny uzbrojony sipaj, drugi zaś jechał obok i trzymał arkan od rąk każdego z nas. Całą tę kawalkadę otaczał konny oddział, z boku którego jechał Forsajt.

Wyjchawszy z Kuczana, musieliśmy przebywać strumyki i rowy napełnione wodą, co wywoływało ciągłe zamieszanie i niecierpliwość straży. Trzeba wiedzieć, że według zwyczaju oficer, dowódca oddziału, wydawszy komendę „kwik marsz” (szybkim marszem) jedzie naprzód i nie troszczy się o to, co się za nim dzieje. Wszyscy obowiązani są jechać z równym pośpiechem, a tymczasem osły przy przechodzeniu rowów poczęły się upierać, konie zaczęły się boćczyć i przeskakiwać na drugą stronę, co groziło nam pościganiami arkanami na ziemię. Niektórzy pozostawali

wtyle i musieli doganiać tych, którzy ich wyprzedzili, aby zachować początkowy porządek karawany. Przy nagłych skokach osłów trudno było utrzymać równowagę, zwłaszcza mając skute ręce. Podczas jednej takiej przeprawy spadły mi binokle, lecz o zatrzymaniu się i odszukaniu ich nie mogło być mowy. Strata ta dotknęła mnie bardzo, gdyż od tej pory widziałem przedmioty na odległość we mgle, zaś o czytaniu nie było co myśleć. Pocieszałem się, że może mi już wogóle nigdy nie będą potrzebne.

Wyjechawszy na szeroki gościniec, otoczeni zostaliśmy takimi kłębami kurzu, że wszystko znikło nam z oczu. Idące przed nami stado objuczonych osłów i my sami podnosiliśmy kłęby, które dzięki cichej, bezwietrznej pogodzie ciągnęły się za nami nieodstępnie. Niepodobna było oddychać nosem, który zapychał się kurzem i mimowoli trzeba było otwierać usta i łykać pył gardłem. Zastłaniałem jak mogłem usta skutemi rękami i jechałem zmrużywszy oczy. W jakich warunkach posuwaliśmy się, niech świadczy fakt, że Turmuren spadł z osła wskutek tego, że konwojujący go sipaj, nie orientując się, oddalił się zbyt nio i ściągnął go na ziemię. Muszę dodać, że upadek jego ani na chwilę nie zatrzymał naszego pochodu, maszerowaliśmy wciąż dalej. Turmurena podniesiono i musiał on dopędzać karawanę.

Koło północy cichy zachodni powiew począł odganiać trochę kłęby kurzu w lewą stronę. Obróciwszy wzrok na prawo, ujrzałem Forsajta na białym koniu, jadącego z boku gościńca. Jechał on jakiś czas, przypatrując się mnie uważnie i po pewnej chwili zbliżył się, poczęstował mnie papierosem i rozpoczął ze mną rozmowę w języku francuskim, którym władał swobodnie. Opowiedziałem mu szczegółowo, jakim sposobem znaleźliśmy się ze Stumpem w obecnym poło-



zeniu. Rozmowa nasza dotyczyła wyłącznie mojego losu. Delikatność wobec tego człowieka nie pozwoliła mi wyjawiać swojej opinii o władzy, której on był jednym z przedstawicieli, co zresztą byłoby bezcelowe, bo miał on przed sobą dowody jej okrucieństwa. Forsajt rozpytywał się o moją rodzinę, o niektóre szczegóły życia, chcąc widocznie dać mi dowód swego prawdziwego współczucia. Żegnając się, powiedział smutnym głosem: „To jest okropna pomyłka, panie Schmidt, ale niech pan pamięta, że Anglik, jeżeli nawet zrobi pomyłkę, to musi doprowadzić ją do końca”.

Zapamiętałem sobie te słowa, nie rozumiejąc jeszcze wówczas całej ich doniosłości, było to jednak znaczące ostrzeżenie, które ten szlachetny człowiek czuł się w obowiązku wypowiedzieć.

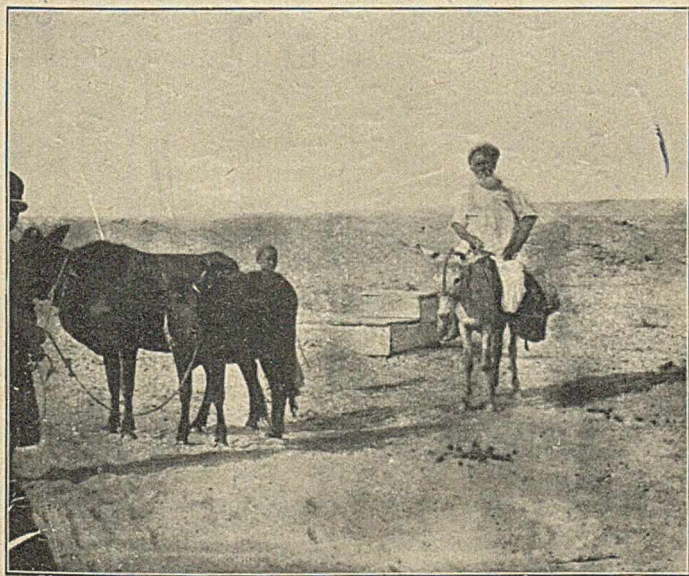
Niebawem zatrzymaliśmy się, aby dać wypocząć koniom i osłom. W mroku widniały jakieś mury niewielkiego aulu. Zsiedliśmy z osłów i posiadaliśmy przy drodze na kamieniach przydrożnych. Sipaje, widząc ludzkie obejście się z nami dowódcy, odnosili się do nas życzliwie. Przynoszono nam chleb i częstowano papierosami. Noc była chłodna. Zakryłem pledem moje obnażone nogi, ale to mało pomagało, Forsajt zdaleka przy świetle księżyca zauważył widocznie, że otulam się przed zimnem, przysłał mi bowiem swoją własną derę i następnie podszedłszy, oświadczył, że zostawia ją od tej chwili na mój wyłączny użytek.

Zachowałem tę derę do dziś dnia w poszanowaniu i pozostanie mi ona drogą pamiątką do końca życia. Być może, iż jej zawdzięczam to, że mogę dziś wspominać przeżyte okropne koleje. Już w Kuczanie czułem się niedobrze, a przeziębienie i zasłabnięcie w tych warunkach równało się śmierci.

Po godzinnym wypoczynku ruszyliśmy dalej. W miarę posuwania się naprzód coraz dotkliwiej odczuwałem ból w roztartych ranach. Strupy, które pozasychały podczas odpoczynku w Kuczanie, pościerały się w drodze, pled mój był we krwi. Przybierałem najrozmaitsze pozy, chcąc sobie ulżyć, mało to jednakże pomagało, gdyż skute ręce nie pozwalały mi na swobodę ruchów.

Od chwili pierwszego brzasku rachowałem minuty, kiedy ukaże się słońce, w nadziei, że zatrzymamy się na dłuższy odpoczynek i będę mógł zejść z osła i opatrzyć rany. Ból stawał się coraz dotkliwszy, widocznie wskutek zanieczyszczenia ran od kurzu. Od czasu do czasu pot kroplisty występował mi na czoło i czułem jakieś klucie, jakby szpilkami, w korzonkach włosów. Cierpiąłem długo w milczeniu, wkońcu mimowoli począłem wydawać dla ulżenia sobie jakieś gardłowe dźwięki. Trzymający mnie na arkanie starszy wiekiem Indus z natury zapewne był okrutnikiem, gdyż usłyszawszy moje jęki, zwrócił się do mnie z wykrzywioną twarzą i począł przedrzeźniać mój głos, powtarzając „kha, kha, kha”. Pociemniało mi w oczach, straciłem przytomność i zwałem się z osła na drogę. Kiedy przyszedłem do siebie, nade mną stał jakiś człowiek. Był to Pers, przewodnik osłów. Sipaj, nie zsiadając z konia i szarpiąc mnie za arkan, ze złością w twarzy naglił mnie do wstania i dalszej jazdy, ja jednakże nie byłem w stanie podnieść się. Postanowiłem raczej umrzeć w tem leżącym położeniu, niż wsiąść zpowrotem na osła i poddać się na nowo tym torturom, jakie znosiłem od kilku godzin. Niewiadomo, coby się stało dalej, gdyż Forsajt, jadący na przedzie oddziału, był już bardzo daleko i nie mógł widzieć tego, co się stało ze mną, sipaj zaś namyślał się, jak ma postąpić, nie zmienia-





*Turkmeni wiozący wodę na osły do aułu*





jąc groźnej postawy. Wyratował mnie poczciwy do-  
broduszny Pers, który, zobaczywszy moje za-  
krwawione ubranie, pokiwał głową i porozumiał się  
z Indusem, poczem przyprowadził swojego osła  
z miękko wysłanym pałanem i, ująwszy mnie w pól,  
posadził na nim, a sam siadł na mojego.

Chwilowa ulga w cierpieniu, wygodniejsze sio-  
dło i zmiana pozycji wróciły mi siły. Ruszyliśmy na-  
przód, doganiając karawanę, która nam zniknęła już  
z oczu. W odległości kilometra ujrzałem rozłożone  
namioty naszego oddziału, który zatrzymał się na  
dzienny odpoczynek. Zaniepokojeni towarzysze nie  
wiedzieli, co się ze mną stało i oczekiwali z niepokojem  
mojego przybycia.

Podjechawszy do miejsca odpoczynku, z trudno-  
ścią zsiadłem z osła. Siły mnie znów opuściły i, do-  
włókłszy się do namiotu, ponownie omdlałem. Słysza-  
łem, jak rozpytywano się mnie o to, co się ze mną  
działo, nie byłem jednakże w stanie otworzyć ust ani  
oczu. Przyniesiono wodę, która mnie orzeźwiła, leżałem  
jednak, nie będąc w stanie zmienić pozycji. Scenę tę  
widział Forsajt ze swego namiotu, który był ustawiony  
na wzgórzu naprzeciw naszego. Przysłał on niezwłocznie  
swojego kucharza, ze specjalnie dla mnie przy-  
rządzonym omletem i gorącym kakao. Nawpół przy-  
tomny drżącymi ustami wypilem kakao, które zdawało  
mi się nieziemskim nektarem. Zrobiło mi się gorąco,  
łyzy polały mi się z oczu i zasnąłem kamiennym snem.  
Obudziwszy się po kilku godzinach i uprzytomniwszy  
sobie położenie, czułem strach i rozpacz na myśl  
o dalszej podróży. Czułem, że nie będę w stanie dalej  
jechać, a niema sposobu zaradzić temu. Włosy sta-  
wały mi na głowie na myśl o drodze. Siedziałem za-  
patrzony przed siebie, obmyślając, co może dalej się  
stać ze mną. Forsajt po wypoczynku wyszedł ze swe-

go namiotu i, podszedłszy do mnie, zapytał, jak się czuję. Podziękowawszy mu za troskliwość, odpowiedziałem, że czuję się lepiej, ale jednocześnie wskazałem mu na krew i obnażone nogi.

„Pan się bardzo źle czuje” powiedział. „Pan tak dalej jechać nie będzie w stanie, ja panu dam swoją pościel i każę osiodłać najlepszego osła”. Nie pamiętam jak mu podziękowałem, bo wzruszenie nie pozwalało mi przemówić. Zresztą i bez słów szlachetny ten człowiek odczuł moje wzruszenie i na pożegnanie dodał jeszcze: „Ja sam dopilnuję, ażeby panu zrobiono dobre siedzenie”.

Po jego odejściu zbliżył się starszy sipaj i zdjął z rąk moich kajdany. Forsajt był już daleko, obejrzał się tylko i mogłem mu podziękować za ten nowy dówód współczucia jedynie oczami.

O 5-ej pp. wyruszyliśmy dalej. Widziałem, jak z namiotu Forsajta wynoszono przed wyjazdem poduszki i kołdry, z których urządzano siedzenie na osle pod osobistym dozorem Forsajta. Ponieważ nie byłem w stanie o własnych siłach wsiąść na osła, wsadzono mnie na niego. Siedziałem teraz na miękkich puchowych poduszkach i nie tylko nie doznawałem bólu, ale widocznie przez wspomnienie i przez porównanie z tem, co poprzednio przenosiłem w tej pozycji, doznawałem dziwnego uczucia rozkoszy. Przed wyruszeniem Forsajt podszedł do mnie i zapytał, czy wygodnie mi siedzieć? Z rozradowanej mojej twarzy wyczytał odpowiedź. Dziękowałem mu, rozumiejąc jednakże, że czynił to z wrodzonej dobroci i szlachetności i że banalne słowa podziękowań nie odpowiadały w tej chwili ani jego pobudkom, ani mojemu uczuciu.

Jechałem więc rozkuty na miękkich puchach. Zapomniałem o wszystkich przejściach, oddając się wrażeniom tych nowych nieoczekiwanych wygod. Byłem



w stanie już zastanawiać się znów nad nowem położeniem. Myśl moja na nowo pracowała nad rozwiązaniem zagadki, co nas czeka dalej i, jeżeli w wyobraźni swojej stawiałem jakieś pomyślniejsze horoskopy, to rozsiewały je i zniewalały mnie do coraz gorszych przypuszczeń, słowa usłyszane w Mahmud - Abadzie: „Dalej będzie wam jeszcze gorzej”. Nie mogło to być przecież powiedziane na wiatr, dla efektu tylko.

Podczas drogi Forsajt podjeżdżał kilka razy konno do mnie, częstował mnie papierosami i rozmawiał ze mną. Pochwaliłem pięknego jego wierzchowca, na którym, jak się okazało, przebył on drogę z Indyj i na nim miał zamiar powrócić. Jeszcze raz powtórzył, że chętnie się zgodzi, jeżeli główna komenda pozwoli mu na odprowadzenie nas do Indyj w razie gdyby nas tam posyłano.

W miarę zagłębiania się w step noce stawały się coraz chłodniejsze. Posuwaliśmy się dalej szerokim gościńcem w stronę Meszhedu. Nauczyliśmy się już oddychać w kłębach kurzu, który nas prześladował przez całą drogę. Od czasu do czasu trzeba było głęboko odkasływać i wypluwać czarny osad z gardła.

Zatrzymawszy się na krótko, jak w pierwszym etapie, koło północy podążyliśmy dalej i o 6-ej rano rozłożyliśmy się obozem w miejscowości, która, jak nas poinformowali żołnierze, nazywała się Kursaw. W tym przejeździe ucierpieli Stump i Turmuren, których w stanie omdlenia nawpół żywych dowieziono do miejsca. Zwaliło ich z nóg zimno i wycieńczenie. Stump oprócz tego cierpiał od zaciśniętych mocno ciasnych kajdanów, od których nabrzmiała mu ręka. Konstrukcja oslich pęt jest taka, że aby je zdjąć, trzeba przedtem zwęzić trochę klamrę, czego wobec nabrzmienia ręki już zrobić nie było można. Tym razem odpoczynek był ponury. Zatrzymaliśmy się w bez-

wodnym stepie, brakło nam więc wody do mycia i przygotowania posiłku. Pokrzepiliśmy się zato snem i nadzieją na lepszy los w Meszhedzie.

Pomimo mojego sceptyzmu, który przez wszystkich był krytykowany, orzeczono jednomyślnie, że w Meszhedzie oczekuje nas zmiana losu na lepsze. Argumentów przytaczano na to wiele. Najgłówniejszym był ten, iż tam, jak dowiedzieliśmy się, rezyduje sztab armji, której oddziały rozrzucone są po całej okolicy, będziemy więc mieć do czynienia z wykształconymi i kulturalnymi ludźmi. Następnie pokładano nadzieję w tem, że w Meszhedzie przebywa konsul rosyjski, z którym będziemy mogli się porozumieć i dać znać o sobie swoim rodzinom. Stump, niezależnie od tego, miał zupełnie usprawiedliwioną nadzieję, że będzie mógł porozumieć się telegraficznie z bratem swoim w Teheranie. Jednem słowem w miarę zbliżania się do Meszgedu panował coraz lepszy nastrój, któremu i ja starałem się poddać, chociaż w głębi duszy odczuwałem niepokój.

Jak zwykle koło 5-ej pp. wyruszyliśmy w drogę. Do Meszgedu pozostawało zaledwie kilkanaście kilometrów, spodziewaliśmy się więc, że przybędziemy tam za dnia. Wjechaliśmy już w aleję wysadzoną pięknymi drzewami, prowadzącą do miasta, kiedy kazano się nam zatrzymać. Okazało się, że przywieziono rozporządzenie, abyśmy do miasta przybyli w nocy. Musieliśmy więc przeczekać dzień pod miastem. Skręciliśmy w pole i, nie rozkładając namiotu, leżeliśmy na ziemi, w oczekiwaniu dalszej podróży. Dopiero po północy kazano nam wstać i jechać dalej. Manewr ten wydał mi się bardzo podejrzanym i ogarnął mnie jeszcze większy niepokój. Milczałem jednak wobec wygłaszanych przez towarzyszków podróży nadziei. Jadąc, spostrzegłem, że nie kierujemy się wprost do miasta,



ale je okrążamy z prawej strony. Minąwszy je, zawróciliśmy na lewo i przez obszerny plac skierowaliśmy się w wąską ulicę. Po pewnym czasie pod przednimi jeźdźcami zadudnił, przerzucony przez szeroki rów, most i poczęliśmy wjeżdżać pod sklepienie jakiejś bramy. Minąwszy bramę, znaleźliśmy się w czworoboku budynków przeznaczonych, jak można było sądzić po ostrym zapachu amonjaku, na stajnię. Przeprowadzono nas do stojącej pośrodku obszernego podwórza grupy oficerów, którzy kolejno wpatrywali się w każdego z nas, przybliżając latarki do naszych twarzy i, po dokonaniu tej lustracji, nie rzekłszy ani słowa i nie odpowiadając na nasze zapytania, oddalili się. Zauważyłem tylko, że zwrócono na mnie specjalną uwagę z tego powodu, że miałem nieskute ręce.

Staliśmy w ciemności, w oczekiwaniu tego, co miało dalej nastąpić. Opiekuna naszego, Forsajta, od czasu wjazdu do miasta straciliśmy z oczu. Po chwili zjawił się jakiś otyły Indus, w uniformie oficerskim, z trzcina w rękę i począł nas rozdzielać; poprowadzono nas osobno w różne strony, mnie ze Stumpem, Wagnera z Turmurenem, Smutnego i Kowenkę z Walterem i Poznańczyka z Kosturem, straciliśmy się więc z oczu i nie wiedzieliśmy jedni o drugich, co się z nami dzieje.

Podwórze, w którym znaleźliśmy się, przedstawiało pochyłość ze spadkiem w stronę bramy, przez którą wjechaliśmy. Mnie ze Stumpem poprowadzono w głąb pod górę i wskazano nam miejsce, w którym mamy się zatrzymać. Stały tam na chwiejących się nóżkach dwie ramy, zbite z okrągłaków, obciążnięte siatką ze sznurów. Zostaliśmy sami.

Usiadłem na tapczanie, który pochylił się pod moim ciężarem i począłem rozglądać się, chcąc przeniknąć panujący mrok. Trudno było cokolwiek dojrzeć, ostry, tamujący oddech zapach amonjaku wskazywał,

że jesteśmy w sąsiedztwie stajni. Po niedługiej chwili z ciemności wyłoniła się jakaś postać, podeszła do mnie i, schwyciwszy mnie brutalnie za ręce, założyła na nie kajdany. Byłem już nieczuły na wszystko. Wyciągnąwszy się i podłożywszy pod głowę skute ręce, leżałem jakiś czas, nie próbując odezwać się do Stumpa, który także milczał, siedząc na swoim tapczanie. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem martwym snem.

Obudziły mnie dopiekające promienie słoneczne. Leżałem nawznak i rój much obsiadał dokuczliwie wszystkie obnażone miejsca mego ciała. Podniósłszy się na tapczanie, rozejrzałem się dokoła i spostrzegłem wszystkich towarzyszy podróży. Byliśmy rozmieszczeni w czterech rogach obszernego podwórza; wszyscy siedzieli na swoich tapczanach, odległość jednak między nami była taka, że porozumiewać się mogliśmy tylko znakami. Po pewnym czasie przyniesiono namioty i ustawiono je nad nami, byliśmy więc, jak można było z tego przypuszczać, ulokowani tu na dłuższy przeciąg czasu. Dla zbadania czy wszystko jest w porządku zjawił się jakiś gruby Indus z trzcina w rękę, co w wojskach angielskich jest zawsze odznaką władzy. Stump, któremu ręka spuchła od zaciśniętych kajdan, pokazał mu ją, objaśniając, że cierpi. Po jakimś czasie po jego odejściu zjawił się felczer wojskowy, z zamiarem zrobienia okładów, obejrzawszy jednak dokładnie rękę, zrozumiał, że w tym wypadku potrzebny był kowal, a nie doktor, poprowadzono więc Stumpa do kuźni polowej i tam rozpiłowano mu ośle pęta, nałożywszy natychmiast inne, obszerniejsze, patentowane angielskie kajdany.

Jakiś Indus, zapewne posługacz, trzymając miotłę w rękę, zbliżył się do namiotu i wrzucił do niego brudny worek, który padając, wydał jakiś chrzęst. Zajrzeliśmy do środka i ujrzeliśmy suche, zakurzone ka-



walki ogryzków chleba rozmaitego koloru i wielkości. Zrozumieliśmy, że one mają służyć nam jako posiłek na śniadanie. Położenie rzeczywiście stawało się gorsze niż w Mahmud-Abadzie. Leżałem na sznurach tapczanu, pocieszając się tem jedynie, że już nie jadę na ośle i że według wszelkiego prawdopodobieństwa jakiś czas będę mógł leżeć nieruchomo, co narazie było jedynem mojem pragnieniem. Rany moje poczęły przysychać, niepokoiła mnie wszakże myśl, że wskutek zanieczyszczenia może wywiązać się zapalenie lub zakażenie krwi.

Po rozejrzeniu się, wywnioskowałem, że znajdujemy się wewnątrz wojskowych koszar, przerobionych z typowego perskiego Karawan-Saraju, czyli zajazdu. Dwa skrzydła czworoboku ztyłu naszego namiotu i z prawej jego strony zajmowały stajnie, dwa drugie wprost przed nami i z lewej strony przeznaczone były na składy i koszary dla żołnierzy. Od naszego namiotu, stojącego na wzgórzu, prowadził spadek ku środkowemu skrzydłu, w którym znajdowała się brama wjazdowa. Rozmiar podwórza mógł wynosić 150 kroków wzdłuż i 100 wszerz. Nasze namioty umieszczone były w czterech rogach podwórza z pozostawieniem przejść po stronie ścian. Trzy skrzydła były piętrowe, z wąskim drewnianym, okalającym je balkonikiem, z którego szereg drzwi prowadził do oddzielnych pokoi. Ponieważ nie wolno nam było wysuwać głów nazewnątrz, widzieliśmy więc tylko swoje namioty ale rozpoznać figur i porozumieć się nie mogliśmy. Z namiotu naszego widać było bramę i z lewej jej strony schody, po których wchodziło się na balkon. W pokojach położonych najbliżej schodów, sądząc z ciągłego odwiedzania ich przez oficerów, musiała mieścić się kancelarja. Mając przed oczami tę część balkonu, mimowoli obserwowałem panujący na niej ruch i po pewnym czasie ujrza-

łem na balkonie Forsajta. Uradowany jego pojawieniem się, podzieliłem się wiadomością ze Stumpem, który ze swego tapczana nie mógł go dojrzeć. Podniósłszy głowy, obserwowaliśmy go obadwaj.

Jakiś czas stał na balkonie i widocznie przyglądał się namiotom, poczem zeszedł ze schodów i zbliżył się do stojącego najbliżej, w którym się znajdował Wagner i Turmuren. Widzieliśmy, jak zatrzymał się i rozmawiał z nimi, rachowaliśmy gorączkowo minuty jego rozmowy, w nadziei, że i nas nie ominie. Przekonaliśmy się niebawem, że Forsajt postanowił każdemu z nas przynieść słowo pociechy, gdyż obszedł wszystkie cztery namioty. Zatrzymawszy się przed naszym, pozdrowił nas uprzejmie i ze smutkiem na twarzy oświadczył, że podczas tej ciężkiej drogi przeziębił się, dostał plewrytu i udaje się z polecenia doktora do szpitala, wskutek czego opiekować się nami nie może. Wyraziliśmy wielki żal z tego powodu, życzyliśmy mu prędkiego powrotu do zdrowia i pokazaliśmy worek z ogryzkami chleba. Zauważyłem, że lekki rumieniec przebiegł po jego twarzy. „Zapewne to pomyłka” wyrzekł. „Dam o tem znać kapitanowi, przecież jeść tego panowie nie możecie”.

Patrzyliśmy za nim, jak minawszy nasz namiot, wszedł do sklepienia bramy, znajdującej się w rogu budynku za naszym namiotem i prowadzącej w górę do ogrodów i mieszkań oficerów. Poczuliśmy się bardzo nieszczęśliwi — opuszczeni.

Znowu zmiana w naszym położeniu. Trudno było doszukać się łączności w następujących z taką szybkością po sobie oddzielnych wydarzeniach naszego losu.

Zatrzymanie nas przed Meszhedem, ustawienie prowizorycznych namiotów wskazywało na to, że o naszym przybyciu dowiedziano się późno. Forsajt widocz-



nie porozumiewał się telegraficznie tylko z Mahmud-Abadem i wszystkie rozporządzenia co do naszego losu musiały do tej pory wychodzić z tamtej kwatery. Zakucie w osłe pęta dokonane było bez udziału Forsajta, nie mógł tego jednakże uczynić Sułtan z własnej inicjatywy, dyrektywa musiała być mu dana przed wyjazdem; Nie zrobiono tego w Mahmud-Abadzie, sądząc widocznie, że nie dojdziemy żywi do Kuczanu. Należało przypuszczać, że w Meszhedzie miejscowe władze będą się wyłącznie kierowały opinią wysłaną o nas stamtąd. Jedynym ratunkiem może być przeprowadzone badanie i sprawdzenie naszych osobistości, ale czy możemy na to rachować?

W oczekiwaniu interwencji Forsajta w sprawie naszego posiłku otworzyliśmy worek i poczęliśmy gryźć czerstwe ogryzki chleba, zbierane widocznie dla koni. Koło południa zjawił się z kotłem jakiś Indus i pokazał na migi, że chce nam czegoś nalać, odmigaliśmy mu, że nie mamy żadnych naczyń. Wtedy on, namyśliwszy się chwilę, postawił kocioł na ziemi obok wartownika, oddalił się i po chwili przyniósł nam leżące na podwórzu dwie próżne puszki od konserwów, w które nalał nam jakiejś tłustej cieczy. Był to buljon z koźlego mięsa bez śladu jakichkolwiek jarzyn. Pływała po nim jedynie gruba warstwa żółtego tłuszczu i, co było najważniejsze, buljon ten był bardzo słabo osolony. Nalawszy tej cieczy w zaimprovizowane naczynia, Indus wyjął dużą łyżką ze spodu kotła jakieś porąbane kawałki, w których było więcej kości, niż mięsa i wyciągnął je w naszą stronę. Głód zmusił nas do tego, że parząc się, braliśmy rękami te gorące kawały i umieszczaliśmy je na tapczanach, aby ostygły. Organizm wymagał gorącego pokarmu. Zebrawszy, na ile się dało, jakimś wiórem tłuszcz z wierzchu, wypilem prawie duszkiem buljon i wzięłem się do ogryzania koźlich

kości po psiemu, co również uczynił i Stump. Zagryzłszy ten obiad suchemi ogryzkami chleba, wyciągnęliśmy się na tapczanach i rozpoczęliśmy poobiednią pogawędkę.

Stump, który posiadał wielki atut, mianowicie, doskonałą znajomość angielskiego języka, pomimo tego, co nas dotychczas spotykało, miał ciągle nadzieję, że wszystko się wyjaśni i będziemy wkrótce uwolnieni. Przebywając przez czas dłuższy w Anglii, miał wysokie pojęcie o dżentelmeństwie Anglików, jako przykład podając Forsajta. O Mahmud-Abadzkich oficerach wyrażał się, że to jakaś wyjątkowa hołota, która wypadkowo podczas wojny nosi uniform oficerski. Nie wyobrażał on sobie, aby mu nie pozwolono porozumieć się telegraficznie z bratem w Teheranie. Brata jego i ja znałem osobiście. Był to bardzo energiczny człowiek, mający szerokie stosunki w dyplomatycznych sferach w Teheranie i posiadający duże środki. Nie uległo wątpliwości, że dowiedziawszy się o naszym uwięzieniu, natychmiast przybyłby on do Meszhedu. Pod wpływem Stumpa mnie również zaczął opuszczać sceptycyzm. Przecież w przeciągu jednego dnia można było zasięgnąć o mnie informacji z Baku od tamtejszego konsula angielskiego, który mnie znał od kilkunastu lat. Uspokajając się wzajemnie w ten sposób, nabraliśmy otuchy i nawet pewnego humoru. Obejrzawszy się naokoło siebie i popatrzawszy na otoczenie, wyrwał mi się frazes: „Bój się Boga, Mazurkiewicz, gdzie ty wlaźł”, który kiedyś jako amator powtarzałem na scenie. Stump, któremu wytłumaczyłem sens i znaczenie tego frazesu, nabrał też dobrego humoru i kazał mi go sobie kilka razy powtórzyć, aby go się nauczyć na pamięć.

O zachodzie słońca przyniesiono nam w kotle ugotowaną cegiełkową herbatę i nalano w te same puszk,



z których piliśmy buljon. Więzień nie powinien być wybredny. Z jaką lubością wspominaliśmy smaczne „szczy” z chlebem w Krasnowodzku i herbatę w czystych kubkach. Dla mnie najgłówniejszą pociechą było to, że nareszcie po siedmiu nocach tej okrutnej podróży miałem pewność, że mogę zasnąć w poziomym położeniu i nie będę budzony do wsiadania na osła. Dzięki Forsajtowi byłem posiadaczem dwóch der i pledu. W życiu byłem przyzwyczajony do niewygód, czułem się więc zupełnie zadowolony z tego łoża, które sobie usłałem, nauczywszy się już manipulować skutemi rękami. Zanim ułożyliśmy się, o zmroku zjawił się jakiś instruktor i, przywiązawszy skute nasze ręce do powrozów, końce ich oddał do trzymania stojącemu na straży u wejścia do namiotu sipajowi. To już oczywiście zakrawało na jakąś scenę ze średniowiecznych opowieści.

Leżących pośród obozu, otoczonego murami, zakutych w kajdany, nawpół żywych ludzi trzymać podczas snu na powrozie może tylko oprawca albo głupiec.

Rozporządzenie takie wydał zastępca Forsajta, kapitan Uloth. Zwróciłem uwagę Stumpa, że prognostyk ten niebardzo dobrze wróży o przyszłości.

Zadowolony, że rany moje przyschły i ból się zmniejszył, zapomniałem o wszystkim i zasnąłem twardym snem, nie troszcząc się o to, że biedna ofiara obowiązku, wartujący sipaj, obowiązany jest całą noc czuwać i trzymać koniec sznura od moich rąk.

Na drugi dzień rano postawiono nam kubeł wody do mycia. Ręce umyłem jako tako, ale twarzy nie byłem w stanie, gdyż mogłem powybić sobie zęby łańcuchem od kajdan. Przyniesiono nam znów herbatę z kotła i nalano w zatłuszczone puszki. Dziś już nam mniej smakowała, widocznie wypoczęliśmy i zaczęliśmy być wybredni.

Koło godz. 10-ej zbliżyli się do nas trzej wojskowi: stary generał, którego nazwiska nie zdażyłem, niestety, zanotować i dwóch młodszych oficerów. Jeden niewielkiego wzrostu, bardzo ruchliwy i rzucający na wszystkie strony oczami, w czapce generalnego sztabu, drugi wysoki o drewnianej, bez wyrazu twarzy. Ruchliwy oficerek trzymał w ręku ołówek, coś notował i dawał objaśnienia generałowi. Zatrzymawszy się koło nas, zapytał o nasze nazwiska. Stump począł do nich przemawiać, ale trójka ta udała, że nie słyszy, i minęła nas, tylko ruchliwy oficerek powtórzył kilka razy „ol rajt, ol rajt”. Miałem możność zaobserwować ich lepiej dopiero wtedy, kiedy weszli na balkon i kilka chwil stali na nim, jak gdyby coś osądzając. Stary generał, który stał teraz bez czapki, miał formę czaszki typowego degenerata, ze ściętym ukośnie tyłem głowy, połyskującym łysiną, okoloną rzadkimi włosami. Mały, jak na sprężynach oficerek, który jak później dowiedzieliśmy się nazywał się Gordon, z twarzy, typu i zachowania się niepodobny był do rodowitego Anglika i zdradzał prędzej semickie pochodzenie. Ostatni z trójki, Uloth, był to typ, który Rosjanie określają słowem „dubina”, wysoki, tęgi, dobrze zbudowany, z tępym, nieinteligentnym wyrazem twarzy. Są typy, które odrazu wzbudzają brak zaufania i odrazę i te właśnie należały do takich. Przyjrząwszy się tej trójce, pomyślałem sobie, że jeżeli los nasz będzie w ich ręku, nie możemy spodziewać się nic dobrego — i nie omyliłem się.

Cały dzień napróżno oczekiwaliśmy na wezwanie nas na śledztwo. Trójka ta przyszła i odeszła i nic nowego nie dowiedzieliśmy się od niej o naszym przyszłym losie. Na obiad znów koźli buljon bez soli i jarzyn i znów koźlina i znów koźle kości, które trzeba było ogryzać po psiemu.



Z resztą współtowarzyszy porozumiewaliśmy się, starając się w jednym i tym samym czasie opuszczać namioty. Odbywało to się w następujący sposób. O wyjściu z namiotu musieliśmy zawiadomić stojącego na straży żołnierza, ten wykrzykiwał głośno „oldara”, co oznaczało, że dawał znać starszemu, który gdzieś w jakimś pokoju dyżurował w negliżu; „oldara” wydawał rozkaz i jeden z Indusów pozostających w koszarach specjalnie ubierał się w uinform żołnierski, brał z sobą karabin i przychodził do namiotu, aby eskortować jednego z nas na przestrzeń kilkunastu kroków. Ktoś z drugiego namiotu, chcąc się spotkać i porozumieć, usłyszawszy wołanie „oldara” dawał znać, że chce również opuścić namiot i powtarzała się ta sama ceremonia, „oldara” wysyłał znów żołnierza dla eskorty do drugiego namiotu i w ten sposób spotykaliśmy się we wspólnym miejscu, gdzie korzystając, że nas nie rozumiano, porozumiewaliśmy się urywanymi słowami przez przegrodę z desek.

Koło godz. 10-ej wiecz., kiedy wszystko już uciхло, żołnierz, który trzymał sznury od naszych rąk, przykucnął u wejścia od namiotu przy naszych głowach i począł z nami rozmawiać łamanym angielskim językiem, pomagając sobie gestami. Zainteresowała nas nietyle sama treść, której nawet piąte przez dziesiąte nie rozumieliśmy, ile ten dowód widocznej życzliwości i współczucia. Żołnierz wskazywał na kajdany, na sznur i powtarzał: „no gut, no gut”. Wkońcu po pewnym czasie zdecydował się powiedzieć: „inglisch szajtan”, naturalnie od tego momentu staliśmy się przyjaciółmi i poczęliśmy się do niego odnosić z zaufaniem. Kiedy na zmianę jego przyszedł jego zastępca, żołnierz oddalił się i przyniósł nam indyjskich przysmaków, które w tych warunkach, naturalnie, smakowały nam nadzwyczajnie. Nowy wartownik, widząc

naszą poufałość z jego poprzednikiem, odrazu przystąpił do rozmowy. Prowadziliśmy ją w ten sposób, że wskazywaliśmy na różne części ciała i otaczające przedmioty, pytając się, jak to będzie brzmieć w jego języku. Bardzo go widocznie bawiła ta rola pedagoga, bo wkońcu sam począł wyszukiwać różne przedmioty wskazywał na gwiazdy, księżyc i t. d. i nazywał je po swojemu. Przesiedzieliśmy tak z nim prawie do świtu, wskutek czego myśli nasze choć na pewien czas odebrały się od rozpamiętywania swojego losu.

Na trzeci dzień zdziwiliśmy się, ujrawszy na podwórzu zwalone nasze walizki, koło których operował Gordon i wkrótce potem zobaczyliśmy go, jak niósł wyjęty z walizki Turmurena aparat fotograficzny. Wbiegł on z nim na górę, potem, nie wypuszczając go z rąk, zbiegł ze schodów zpowrotem i wszedł do namiotu. Okazał się na tyle wspaniałomyślnym, że mogąc zabrać aparat jako zdobycz wojenną, zaproponował Turmurenowi odstąpienie go za pół ceny ustalonej jego wartości. Turmuren naturalnie zgodził się na cenę, bo, po pierwsze odmówić nie mógł, a po drugie każdy grosz w tych warunkach miał ogromne znaczenie.

W ten sposób pozyskaliśmy w naszym gronie drugiego kapitalistę, bo pierwszym okazał się Smutny, który wprost nadzwyczajnym sposobem potrafił ukryć parę tysięcy rubli przy sobie. Nie będę sposobu ukrycia tych pieniędzy opisywał, ze względu na skromność czytelnika, jak również i na to, iż po ujawnieniu sekretu sposób ten przestanie być pożytecznym dla innych więźniów, którzy może również gdziekolwiek korzystają z niego.

Mogę zaświadczyć, że wówczas jeszcze panowała między nami solidarność i zgoda. Otrzymaliśmy od naszych kapitalistów drobne sumy na tytoń, owoce i cukier. Po otrzymaniu pozwolenia utworzenia swojego



kuferka przenieśliśmy do namiotu bieliznę, pewne drobiazgi, między którymi lusterko i co najważniejsze zapasowe binokle do czytania. Przejrzawszy się, nie poznałem sam siebie. Od czasu aresztowania w Aschabadzie nie goliłem się, wskutek czego wyrosła mi duża, siwa broda, twarz moja nabrała szarego koloru i była porwana zmarszczkami.

Miałem zapas papieru i bibułki, zrobiłem więc kalendarz i postanowiłem niezwłocznie przystąpić do robienia notatek.

Uloth codziennie obchodził namioty i swoim tępych okrutnym wzrokiem niemal nas obezwładniał. Robił on na mnie wrażenie poskromiciela dzikich zwierząt. Zdawał się nigdy nie słyszeć, co do niego mówił Stump, wymawiając przez zęby z jakimś złośliwym wyrazem twarzy stereotypowe „ol rajt”. Stump po kilku dniach przestał panować nad sobą i doznawał przy pojawieniu się jego jakiegoś panicznego strachu. Spotykał go w pokornej unижonej pozie i odpowiadał również „ol rajt”. Ja nie mogłem przewyciężyć w sobie uczucia pogardy dla tego człowieka i, aby nie okazać mu tego otwarcie, widząc go zbliżającego się, zamykałem oczy i udawałem, że śpię, co widocznie go irytowało. Stump miał o to do mnie pretensję, co było powodem naszego pierwszego przemówienia się i zakłóciło zgodę i harmonję między nami, tak niezbędną we wspólnem nieszczęściu.

Uloth wyrafinowanie znęcał się nad nami i codziennie po jego odwiedzinach stosowano jakieś nowe udęczenia i moralne upokorzenia, które miały na celu zniszczenie w nas wszelkiego poczucia ludzkiej godności. Trudno opisać dziś wszystkie szczegóły tego znęcania się, z którego ten wygolony i szczyjący się skrojonym bez zarzutu uniformem dżentelmen czynił sobie

sport. Wspomnę choć te, które żywiej stają mi jeszcze dziś w pamięci:

Obrzydło mi brać w ręce tłuste kawałki koźliny, więc kiedy na trzeci dzień przyniesiono nam obiad, rzuciłem mięso na piasek, powiedziawszy służącemu: „Oddaj to psu”. Prosty ten człowiek nie rozgniewał się, wrócił i przyniósł mi z pod ściany dziurawy, poczerniały talerz emaljowany, na którym jadał foks Forsajta. Była to pewnego rodzaju usługa, za którą mogłem tylko temu pocziwcowi podziękować. Umyłem talerz i jadałem z niego, chowając go pod tapczanem. Uloth zauważył widocznie, że jadam z komfortem i pod pretekstem, że pod tapczanem jest nieporządek, wszedłszy do namiotu, kopnął talerz nogą i wyrzucił go. Służący wszakże przyniósł mi go zpowrotem, teraz chowałem go już głębiej.

Za każdym przyjściem Ulotha Stump jak najpokorniej prosił go o to, aby do tego ohydneho nawpół słonego koźlego buljonu wrzucono jakichś korzeni albo cebuli, gdyż od tłuszczu pochorujemy się. Nie jedząc żadnych jarzyn, ratowaliśmy się dotąd tem, że kupowaliśmy sobie melony i winogrona. Ponieważ Stump wyraził obawę zachorowania, Uloth, zamiast wpłynąć na polepszenie jedzenia, kazał doktorowi, by nam zbrocił kupować sobie winogrona i melony, które stanowiły jedyny środek, zabezpieczający nas przed chorobą. Niespodziewanie zrobiono w namiotach rewizję i zabrano nam kupione przez nas owoce.

Najlepszy sen podczas upałów jest nad ranem; Uloth, dowiedziawszy się, że sypiamy dłużej, niż należało, kazał nas budzić o świcie i wynosić tapczany z namiotów, do których jednocześnie wchodził posługacz dla robienia porządków. Posługacz ten zamiatając wszakże podnosił taki kurz, że nie mogąc wytrzymać, sam czemp prędzej uciekał z namiotu, my zaś



właśnie w tej chwili musieliśmy wnosić zpowrotem swoje tapczany z pościelą, które momentalnie pokrywały się niby popiołem warstwą kurzu. Wszystkie te przepisy z dokładnością recepty musiały być wykonywane przez dozorcą nas straż. Po tych dowodach wyraźnego znęcania się staraliśmy się nie zwracać się z niczem do Uloth, wiedząc, że będzie to dla niego jedynie wskazówką, jakby nam dokuczyć.

Podjeżdżając, że może podczas naszego snu żołnierze trzymają sznury od naszych rąk niedość silnie naciągnięte, zjawiał się często w nocy podchmielony, widocznie wracając z kasyna, i budził mnie, szarpiąc za sznur. Aby podziałać na nerwy i przerazić we śnie, szarpiąc, trzymał rewolwer gotowy do strzału. Na szczęście o zbliżeniu się jego dawał mi znać wartujący żołnierz. Ja wówczas udawałem sennego, nie zdającego sobie sprawy z tego, co się dzieje. Rycerz ten pewno jeszcze żyje. Chciałbym bardzo, aby dowiedział się, iż ani na chwilę nie czułem przed nim strachu, ale cały czas pogardałem nim bezgranicznie. Odwiedziny jego i prześladowanie nas stało się szczególnie dokuczliwym po tem, jak Stump odmówił sprzedania swojego zegarka jego pomocnikowi Lutinowi. Młody ten oficer w przeciągu kilku dni przychodził rano do namiotu i nalegał, aby Stump sprzedał mu swój bardzo cenny zegarek, naturalnie zabezpieczony.

Stump z początku odmawiał mu grzecznie, nareszcie widząc, że to zakrawa na domaganie się gwałtem, zdobył się podburzony przeze mnie na powiedzenie natrętowi, że wstyd oficerowi wypraszać od biednego więźnia cenne rzeczy. Lutin odszedł zawstydzony, spokojnie, ale musiał powtórzyć wszystko Ulothowi, który mścił się i wymyślał coraz to nowe sposoby udręczenia.

Kazał nas prowadzić za stajnię do mycia się w jakimś rynsztoku, w którym ciekła woda wypływająca niewiedomo skąd. Miejsce to było podejrzane już z tego względu, że oprócz nas nikt z żołnierzy tam się nie mył, a nawet nie prano tam bielizny. — Zdejmowano z nas kajdany i pędzono do rynsztoka pod strażą. Nie chcąc się myć w tem obrzydliwym miejscu, postanowiłem się nie rozbierać, lecz żołnierz zmusił mnie do tego, zamierzając się na mnie kolbą. Musiałem więc rozebrać się i zmoczyć choć nogi. Trudno mi dziś przypomnieć i wyliczyć wszystkie szczegóły tego wyrafinowanego znęcania się. Jak były one dokuczliwe i ciężkie do zniesienia, może należycie zrozumieć ten, kto kiedykolwiek był więźniem i — rozumie to życie, gdzie nieraz mały szczegół wypełnia jego treść i nabiera wielkiej doniosłości.

Czuć było, że nie chodziło wyłącznie tylko o fizyczne udręczenia, lecz przede wszystkim o zabicie w nas poczucia godności człowieka, o pozbawienie wewnętrzznego naszego „ja”, zrobienie z nas bydła, które gotowe były łasić się do pogromcy za każdy rzucony kawałek ochłapu i złagodzenie rygoru. Gdyby nie przyjazne stosunki z żołnierzami, warunki naszej egzystencji byłyby nie do zniesienia.

Poczęliśmy rozszerzać swoje znajomości i co noc odbywały się w namiocie naszym zebrania. Był to istny klub. Po kilku dniach porozumiewaliśmy się już niezłe z niektórymi, którzy ze swej strony byli tłumaczami w stosunku do pozostałych. Umieliśmy już sporo słów po indusku, które zapisywaliśmy w nocy i następnie uczyliśmy się w dzień napamięć. Porozumiewaliśmy się w niektórych kwestjach zupełnie swobodnie, dowierając sobie wzajemnie. Wszyscy żołnierze należeli do konnicy, która, jak się przekonałem w ciągu całej dalszej podróży, uważana jest podobnie jak i w Europie



za arystokrację wojskową. Wszyscy ci żołnierze byli wielkimi patriotami i wiernymi synami swojej ojczyzny. Trzeba było widzieć z jakim entuzjazmem mówili o niej, powtarzając często: „Indja hubas, Indja hubas“, co znaczyło: „Piękne Indje, piękne Indje“. Nie można było im sprawić większej radości, jak rozpytuując się szczegółowo, jaka tam woda, jakie tam drzewa, jakie tam góry i t. d. Zadawaliśmy im najróżnorodniejsze pytania w tym rodzaju i odczuwaliśmy ich radość, kiedy mogli nam o tem opowiadać.

Podczas gdy wyższe władze starały się nawet materialnie nas wykorzystywać, ci poczciwcy bezinteresownie przynosili nam pokryjomu owoce i swoje potrawy, które z wieczora umyślnie dla nas przygotowywali. O starszych swoich „oldarach“ wyrażali się tylko „no gut“, a o angielskich oficerach bez ceremonji „szajtan“.

Dzień za dniem upływał w oczekiwaniu zmiany. Przestaliśmy już zwracać się z jakimśkolwiek pytaniem czy prośbą do Ulotha i żyliśmy jedynie nocami, oczekując naszych przyjaciół i czując się swobodnie w ich otoczeniu. Odwiedzali nas także od czasu do czasu starsi rangą Indusi, podoficerowie i sierżanci. Większość ich były to typy bardzo niesympatyczne. W słowach ich przebijał fałsz i podstęp. Nowi znajomi próbowali z nami rozpoczynać rozmowy na tematy polityczne, wypytywali o Rosję i o takie kwestje, które ośbiście ich interesować nie mogły, zbywaliśmy ich więc ogólnikami. Rozmowy naturalnie prowadził Stump, ale ja otrząskalem się już z wynalezionym przez nas żargonem, składającym się z kilkadziesiątu słów i przyjmowałem również udział w rozmowach. Stump był mniej przenikliwy i często wygadał się z czemś, o czem mówić nie należało. Chwalił np. często życzliwe zachowanie się Forsajta względem nas. Zrobiłem mu z tego

powodu uwagę, że może to mieć niepożądany skutek i, niestety, jak przyszłość pokazała, miałem rację. Widocznem było, że starszyzna ta, na własną rękę, lub z polecenia Ulotha, szpiegowała nas.

8-go września zrana spostrzegłem na balkonie Gordona. Pokręciwszy się kilka chwil, zbiegł po schodach nadół i wrócił w towarzystwie Wagnera, z którym zniknął za drzwiami jednego z pokojów. Zrozumiałem, że zaszło coś nowego. Wpatrywaliśmy się ze Stumpem we drzwi, oczekując wyjścia Wagnera, który po półgodzinnem przebywaniu ukazał się znów z Gordonem i wrócił razem z nim do swego namiotu. Po chwili zauważyliśmy Gordona wchodzącego do tegoż samego co i poprzednio pokoju, tym razem w towarzystwie Turmurena. Przy pomocy sposobu, o którym uprzednio już wspomniałem, przywołaliśmy oldara dla porozumienia się i dowiedzieliśmy się, że towarzysze nasi, znikając w tajemniczym pokoju, składali tam zeznania. Stump triumfował. Nadzieje jego spełniały się! Nareszcie będziemy wysłuchani, co da nam możliwość wyjaśnić nieporozumienie, którego padliśmy ofiarą. Niecierpliwie oczekiwaliśmy naszej kolei. Trwało to dość długo, gdyż namiot nasz stał najdalej. Gordon osobiście wyprowadzał i sprowadzał każdego z więźniów, widocznie w obawie pomyłki. Zauważyłem, że podczas tego kiedy w pokoju był na badaniu Kowenko, przez bramę wszedł jakiś pan w cywilnem ubraniu, wyglądający na Rosjanina. Zatrzymał się na balkonie i przez dyżurującego dał znać o swoim przybyciu. Z pokoju wyszedł bez czapki, świecąc płaską łysiną generał i, gestykulując, żywo o czemś mówił. Po chwili nowoprzybyły wolno, jakby zastanawiając się, zeszedł ze schodów i zniknął za bramą. Był to, jak się później okazało, konsul rosyjski w Meszhedzie.



Moja kolej była ostatnia. Właśnie położyłem koźle gnaty na psim talerzu, kiedy Gordon, odprowadzwszy Stumpa, przyszedł po mnie. Przed obiadem więc, mając świeży umysł, udałem się za nim. Stałem przed stołem, przy którym usiadł Gordon i z którego boku siedział Uloth. Generała nie było.

Gordon, jak się okazało, władał doskonale rosyjskim językiem, w którym zwrócił się do mnie. W trakcie badania okazało się, że znał nawet polski język, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że musi on być semickiego pochodzenia. Do tej pory każdy z tych spotykanych przeze mnie Anglików, który przyznawał się, że chociaż trochę rozumie po polsku, pochodził prawie zawsze sam, albo jego rodzina z okolic Białegostoku. Uradowany tem, że mam do czynienia z człowiekiem, który zna rosyjskie stosunki i przez to łatwiej zorientuje się w sytuacji, opowiedziałem mu szczegółowo moją smutną historję. Powoływałem się na to, że prawie w przeciągu dwudziestu pięciu lat pracowałem w Baku, gdzie posiadam obecnie rodzinę. Prosiłem, aby wysłano telegram do konsula angielskiego w Baku, który poświadczy prawdziwość moich zeznań. Gordon, słuchając mnie, notował wszystkie me zeznania na papierze, lecz robił to w sposób dość dziwny, część bowiem zeznań zapisywał rzędem na środku papieru, część zaś — na boku arkusza, to z prawej to z lewej strony, kilka razy nawet odwrócił stronicę i zapisał na następnej. Na moją prośbę nie odpowiedział nic i oświadczył „możecie idti”. Wtedy zapytałem, przed kim właściwie ja zeznaję i jeżeli jestem na badaniu, to proszę o przeczytanie moich zeznań, abym mógł je stwierdzić swym podpisem. Gordon odpowiedział mi na to szorstko: „Stoi pan przed angielskim oficerem generalnego sztabu, bez pańskiego podpisu obejdzie się. Nie mam czasu mówić dalej z panem, pro-

sze wyjść". Widząc, że odegrano ze mną głupią komedję, postanowiłem protestować. „Żałuję—odrzekłem,— że rozmawiałem z panem, taka procedura badania praktykowana jest chyba w kraju papuasów, ale nie u narodów kulturalnych". Siedzący obok Uloth nie rozumiał nic z naszej rozmowy, lecz widocznie usłyszawszy słowo „papasów", „kultura" zerwał się i wskazując na mnie palcem, zapytał Gordona po angielsku o znaczenie moich słów.

Czułem, że narażam się na wielkie niebezpieczeństwo, ale widziałem, że nie mam nic do stracenia. Przemogła we mnie chęć rozcięcia raz nareszcie tego dręczącego węzła, który coraz więcej się zaciągał. Widocznie Gordon przeląkł się wyrazu twarzy Ulotha, bo spojrzawszy na niego, odrzekł mu: „Potem panu powiem" i przywoławszy sipaja, zakomenderował, „marsz". Wróciwszy, zastałem Stumpa przybitego rezultatem badania, które odbyło się mniej więcej w ten sam sposób jak ze mną. Stump miał jeszcze nadzieję, że bratu jego dadzą znać telegraficznie o jego losie. Ja jednak straciłem wszelką wiarę w lepsze jutro. Zdawałem sobie jasno sprawę, że takie badanie było komedją i że wiadomości w ten sposób zbierane mogły być potrzebne jedynie do sformułowania oskarżenia, ale nigdy do ujawnienia prawdy. Procedury podobnego odbierania zeznań nie zna ani jeden cywilizowany kraj. Wszyscy badani jak się okazało zeznawali, że przy aresztowaniu obrabowano ich z pieniędzy, co również było pominięte milczeniem.

Po tym dniu nic się nie zmieniło. Spędzaliśmy czas po dawnemu, zyskując tylko coraz więcej odwiedzających nas w nocy przyjaciół. Pod wpływem nadziei Stumpa i ja czasami, leżąc, wsłuchiwałem się wieczorami w dźwięk automobilowych sygnałów, rozlegających się przed naszą bramą, w oczekiwaniu przyjazdu z Te-



heranu jego brata. A nuż ktoś z boku dowiedział się o naszym nieszczęściu i zawiadomił go. Słaba to była nadzieja, ale tonący brzytwy się chwyta. Straciwszy wiarę w uczciwość i sprawiedliwość tych, w czyjej władzy znajdowaliśmy się, poczęliśmy roić w myślach o nadzwyczajnych wypadkach, mogących nas wyratować. Chwilami roiliśmy, że protojerej Wadow odszuka nas i przybędzie do Meszhedu, lub też że szwagier mój, otrzymawszy kartkę moją wysłaną z Aschabadu, będzie mnie szukał przy pomocy angielskiego konsula w Baku. Imaginacja w tym kierunku rozwijała się uporczywie i pewnego razu była powodem humorystycznego poniekąd nieporozumienia.

Z naszymi wartownikami doszliśmy już do takiej pculafności, że porozumiewaliśmy się z nimi nawet podczas dnia. Zwykle miało to miejsce w południe, kiedy wszyscy chowali się przed spiekotą do koszar i tylko biedny wartownik musiał sterczeć z karabinem przed naszym namiotem. Pewnego dnia jeden z nich począł do nas przemawiać łamanym językiem, powtarzając słowo: „roszen“, „roszen“, co oznaczało Rosjanin. Nie mogliśmy zrozumieć o co mu chodzi. Chcąc nam coś jaśniej wytłumaczyć, począł wskazywać na piersi, zakręglając dłoń. Stump zdecydował, że ma on na myśli kobietę, i indagując go dalej, doszedł do przekonania, że chce on nas poinformować, iż przyjechała jakaś kobieta Rosjanka. Na tej podstawie powstało przypuszczenie, że przyjechała z Aschabadu żona Poznaczyka, aby nas ratować, co było zupełnie prawdopodobne. Uradowani, nie zwlekając zawiadomiliśmy o tem Poznaczyka, wieść obiegła natychmiast wszystkie namioty. Kilka dni żyliśmy nadzieją, wynajdując na potwierdzenie naszych domysłów coraz to nowe dowody. Zauważywszy, że wynoszą za bramę jakieś talerze z potrawami, zdecydowaliśmy, że nowoprzybyła

umieszczono w pobliżu nas pod strażą, aby ją mieć na oku. Codzień oczekiwaliśmy jakiejś wiadomości o niej, jakiegoś dowodu ze strony władz, niestety na próżno. Dopiero po kilku dniach wyjaśniło się, że nastąpiło tu nieporozumienie, gdyż gest wartownika miał oznaczać wypukłość na rosyjskim uniformie wojskowym, z nabojami na przodzie.

Wynoszenie wszakże talerzy za bramę miało pewną podstawę. Pewnego dnia przed wieczorem zauważyliśmy Ulotha, idącego przez balkon z jakimś ubranym po cywilnemu subjektem. Minawszy wszystkie pokoje, zatrzymali się w narożnym, w pobliżu naszego namiotu. Jak się okazało — Uloth był w towarzystwie nowego więźnia, którego dotychczas trzymano w innym pomieszczeniu za bramą. Kim on był — nie wiedzieliśmy, słyszeliśmy tylko, że rozmowę z nim prowadzono w języku niemieckim.

Pobyt nasz stawał się coraz uciążliwszy. Spędzaliśmy czas przeważnie na leżeniu. Bliskość stajen, jedzenie w namiocie, które, ze względu na sposób, w jaki się odbywało, musiało pozostawić ślady, sprowadzało taką ilość much, że podczas dnia niepodobna się było opędzić. Bezustannie dźwięczały łańcuchy kajdan, którymi opędzaliśmy się, aby móc spokojnie leżeć. Lato było upalne i jak zwykle w tych miejscowościach bezdzdzyście. Namiot nasz stał w złym miejscu, gdyż przez cały dzień był wystawiony na operację słoneczną. Na sen mieliśmy bardzo mało czasu, ze względu na nasze nocne posiedzenia i na to, że jak wspomniałem, kazano nas budzić o świcie ze względów, jakoby, higieniczno-sanitarnych. Poza dolegającymi nam fizycznymi udręczeniami byliśmy do ostatecznych granic przygnębieni moralnie. Obchodzono się z nami, jak ze sprzętami, albo stadem zwierząt. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka, jak długo będziemy więzieni i od



czego zależy nasz los. Starano się zabić w nas poczucie, że jesteśmy ludźmi i że mamy ludzkie wymagania. Szczęściem dla nas nie domyślano się, że częściowo zaspokajamy je przez porozumiewanie się między sobą i nocne obcowanie z żołnierzami. Nie mieliśmy żadnych wiadomości o tem, co się dzieje poza nami, jakkolwiek czuliśmy wyraźnie, że los nasz gdzieś zaocznie jest obsadzany. Ponieważ dotychczas wszystkie dotyczące się nas rozkazy wykonywano tylko nocami, każdą zatem zbliżającą się noc spotykaliśmy z jakimś niepokojem. Pewnej takiej nocy, niespodziewanie wśród głębokiej ciszy usłyszeliśmy w podwórzu huk wystrzału karabinowego, który zbudził nas i głosem echem rozległ się w pustych pokojach i pomieszczeniach składów. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołał wśród nas ten wystrzał. Słyszeliśmy zdaleka jakieś niezrozumiałe dla nas głosy, jakieś dźwięki, których wytłumaczyć sobie nie mogliśmy, siedzieliśmy na tapczanach w oczekiwaniu czegoś niespodziewanego i nawet kiedy wszystko ucichło, baliśmy się zasnąć, nie będąc pewni o swój los.

15-go września ujrzeliśmy znów Forsajta, po wyjściu jego ze szpitala. Odwiedził on nas na chwilę, twarz jego wyrażała jakieś zakłopotanie, czy smutek. Powiedział nam, że przyszedł się z nami pożegnać i że urlop jego jest odłożony. Widać było, że nie chciał mówić o naszej sprawie. Tłumaczył się, że o losie naszym nic powiedzieć nie może, ponieważ leżał w szpitalu i sprawami temi się nie zajmował. Wie tylko, że nami opiekować się będzie Uloth. Wyczułem i zrozumiałem, że usunięto go za ludzkie obchodzenie się z nami i pomyślałem sobie, że kto wie czy nie przyczynił się do tego Stump, wychwalając go przed nasyłanymi przez Ulotha szpiegami. Po odejściu Forsajta przypomniałem sobie słowa: „Dalej będzie wam jeszcze gorzej”.

Notatki moje stawały się coraz treściwsze. Przepisywałem je starym konspiratorskim zwyczajem na bibułce od papierosów drobnym maczkiem, numerowałem i zwijałem w rurki, aby uniknęły zniszczenia przed czasem i układałem je pod tytuniem w pudełku. Oprócz notowania zdarzeń w chronologicznym porządku, miałem wynotowane nazwiska z adresami tych Indusów, którzy prosili o napisanie do nich, jeżeli odzyskamy wolność.

W razie dalszej podróży obmyśliłem pewny sposób przechowania moich notatek i zabezpieczenia ich przed zniszczeniem w drodze. Przechodząc różne koleje w życiu, przyzwyczailem się orjentować w każdym położeniu. Ukrywałem starannie kartki z nazwiskami żołnierzy, zdając sobie sprawę, że wykrycie ich mogło spowodować nieobliczalne następstwa.

Jak się później okazało, ostrożność ta wybawiła mnie od wielkiego niebezpieczeństwa.

Nie wiedziałem nic o tem, że Kowenko pisał także pamiętnik zupełnie otwarcie i niestety w zupełnie innym celu. Był to typ, jak on sam się o sobie wyrażał, człowieka, który postanowił za jaką bądź cenę zrobić w życiu karierę i zdobyć majątek. Kształcił się on na handlowca, mieszkał kilka lat w Anglii, podczas wojny wstąpił jako ochotnik do awiacji. Na dżwińskim froncie odznaczył się i został osobiście przez generała Hurkę nagrodzony orderem św. Jerzego za waleczność. Był już na drodze do zrobienia kariery, kiedy został zmuszony wskutek otrzymanej rany uwolnić się z wojska. Uzyskawszy posadę w Międzynarodowym Banku w Bucharze, został, jadąc tam, zaarrestowany w Aschabadzie. Myśl jego pracowała uporczywie nad tem, w jaki sposób się uratować i ponieważ nie przebierał w środkach, powziął zamiar pisania pamiętników, pozor-



nie dla własnego użytku i w nich wypowiadać swoje myśli i wrażenia a głównie opinię o innych uwięzionych współtowarzyszach. Dziennika tego nie widziałem, nie wiem więc dokładnie, co i o kim było tam napisane, ale ze słów Smutnego dziennik ten pisany był w tym sensie, że Kowenko, poznawszy bliżej niektórych z nas, rozumiał, że znajduje się w towarzystwie podejrzanych ludzi, którzy go kompromitują. Wobec czego nie dziwi się angielskim władzom, które go więżą jako człowieka utrzymującego bliskie stosunki z takimi niepewnymi jak my osobnikami i t. p. Obračowane to było naturalnie na łatwowierność Anglików, ale miało pewne szanse powodzenia.

Pisał on to w dzień zupełnie otwarcie, zostawiając umyślnie kajet na widocznym miejscu podczas odwiedzin Ulotha, licząc, że kajet ten wpadnie nareszcie w jego ręce, co mu pomoże do uwolnienia się. Jak się później okazało, miał on bardzo daleko idące plany, do ostatniej bowiem chwili żywił nadzieję, że po przeczytaniu jego „pamiętnika”, wstąpi na służbę do angielskich władz wojskowych w charakterze wywiadowcy. Angielskie władze chętnie się posługiwały w podobnych sprawach ludźmi obcych narodowości. Plany Kowenki miały wszelkie dane na ziszczenie się. Jeżeli się to nie stało, to widocznie trafił frant na franta — sprytny Gordon musiał przewąchać sprawę i przeszkodził mu w zrobieniu kariery.

Niespodziewanie 16-go września rano ujrzelśmy wchodzący przez bramę oddział piechoty. Przypatrzyliśmy się mu z zaciekawieniem. Oddział ten składał się z typów niepodobnych do tych, które spotykaliśmy do tego czasu. Krępe, muskularne figury, ciemne ogorzałe twarze, niekiedy pokryte bujnym zarostem, wyróżniały się pośród wysmukłych, przybłądłych, młodzieńczych postaci naszych przyjaciół. No-

wi ci wojacy weszli buńczucznie. Na przodzie maszerował starszy, z jedną gwiazdką, Indus z trzcina w ręku. Po kilku zwrotach ustawili się w dwa szeregi koło bramy, naprzeciwko nas. Nie widziałem nigdy angielskich wojsk w szeregu i nie słyszałem komendy, przyglądałem się więc z zaciekawieniem. Na boku stali angielscy oficerowie, widocznie więc prezentowano przed nimi sprawność oddziału.

Na komendę pierwszy rząd przyklęknął i, sądząc z manipulacji koło zamków, otrzymał rozkaz wyładowania broni. Posłyszałem szczęk zamków, jeden jednak z żołnierzy coś nazbyt długo manipulował koło karabinu i oczy wszystkich innych zwróciły się na niego. Wtedy dowódca oddziału gruby Indus podszedł do spóźniającego się i wymierzył klęczącemu policzek, a następnie zdzielił go trzcina przez głowę. Nie wiem, czy po tym fakcie żołnierz ten wyciągnął jednak nabój, bo nastąpiła znów komenda, drugi rząd wykonał ten sam manewr i wszyscy rozeszli się do koszar. Niedługo więc miałem sposobność obserwowania sprawności nowoprzybyłych żołnierzy.

Od stojącego na warcie jednego z naszych przyjaciół dowiedzieliśmy się, że nowoprzybyli są Mahometanie i sprowadzeni zostali dla pilnowania nas. Zdziwiła nas i zaniepokoiła ta wiadomość. Nie wiedzieliśmy, czemu to przypisać i czym zostało to wywołane. Przed wieczorem dowiedzieliśmy się, że dotychczasowej załodze zabroniono zbliżać się do naszych namiotów, przechodzili oni koło nas, rzucając zdala porozumiewawcze spojrzenia w naszą stronę, ale podchodzić bliżej obawiali się. Niektórzy śmielsi rzucali nam zdaleka papierosy i tytuń. Wieczorem wartę zajęła już piechota i odrazu poczuliśmy, że skończyły się nasze idylle i dostaliśmy się w ręce pupilów Ulotha. Poczęto do nas stosować najsurowszy rygor, jeśli wogóle można go



było jeszcze spotęgować w tych warunkach. Nietylko nie pozwalano nam wychylać głowy poza płótno namiotu, ale nawet zbliżać się do wejścia. Zmuszeni byliśmy prawie cały czas wskutek tego leżeć na tapczanach. W nocy sznury od rąk były stale naciągnięte w ten sposób, że każde nasze poruszenie odczuwał stojący na warcie żołnierz. Twarze tych żołnierzy były surowe i u niektórych nacechowane wrodzonym okrucieństwem. Jeden z nich, który stale stawiany był koło naszego namiotu, wygolony z baczkami, otrzymał od nas miano tygrysa, tak przypominał wyrazem swoim to drapieżne zwierzę.

Smutek zapanował wielki w naszym namiocie. Czuliśmy, że zbliża się jakaś niepodzianka, której oczekiwaliśmy lada chwila. Pomimo tego iż starzy nasi przyjaciele trzymali się zdaleka od nas, jednak przechodząc albo zatrzymując się naprzeciwko wejścia, dawali nam jakieś znaki, które widocznie oprócz współczucia miały też ostrzegawcze znaczenie, ale których zrozumieć nie mogliśmy. Jak się okazało zaszedł fakt, o którym nic nie wiedziałem. Pamiętnik Kowenki wpadł do rąk Ulotha, który zobaczywszy go na pościeli, zabrał ze sobą. Pierwszym rezultatem przeczytania go była zmiana warty i dozoru, co dało się nam już odczuć. Najfatalniejsze jednak było to, że w pamiętniku tym były notowane także nazwiska żołnierzy, którzy odwiedzali Kowenkę i jego współtowarzyszy. Należało przypuszczać, że za swoją szlachetność zostali oni srogo ukarani.

Wieczorem przyszedł do naszego namiotu Indus, dowódca nowego oddziału. Był to tęgi mężczyzna z połyskującymi białymi zębami, które nadawały jego twarzy drapieżny wyraz. Chcąc nas wciągnąć w rozmowę, starał się być bardzo słodkim. Zakomunikował nam, że niedawno z oddziałem przybył z Bagdadu, chwając

się, że przebył tę odległość piechotą i oświadczył między innymi, że uznając jego waleczność generał poszła go z oddziałem piechotą do Moskwy. Patrząc na tego wojaka, który w swoim malowniczym kostjumie i chodakach włożonych na gołe nogi mógł co najwyżej być statystą w Aidzie i słysząc te przechwałki, przyszedłem do przekonania, że ani on ani jego oddział nie mają pojęcia co to jest prawdziwa wojna.

Ażeby zakpić z niego poczęliśmy mu opowiadać o pięknym życiu w Moskwie podczas zimy, ponieważ z Meszhedu piechotą prędzej jak za cztery miesiące w żaden sposób zejść on tam nie potrafi. Słuchając o białym śniegu, zamrzniętych rzekach i mrozie miał on coraz głępszą minę. Widziałem, że stracił swój tupet, ale chcąc się ratować, odrzekł, że przecież tam są Anglicy więc teraz nie może być tak źle. Pocieszyłem go, że jeżeli tam są Anglicy, to pewno wiele rzeczy poprawili, ale na mróz i śnieg niema rady i żaden nawet angielski generał nie pomoże. Ostatecznie wojak ten nie wiedział, czy ma wierzyć nam czy nie, widocznie jednak miał jakieś wątpliwości co do prawdziwości naszego opowiadania. Dla orientacji na piasku koło namiotu nakreśliłem mu kontury mapy, oznaczając gdzie leży Bagdad, Meszhed, Moskwa i Anglja. Zdziwiło go niemało, kiedy zobaczył, że Anglja tak daleko położona jest od Moskwy.

Praktyczny ten syn Wschodu miał jeszcze inny cel odwiedzin. Opowiedziawszy nam o swoich bohater-  
skich czynach, począł nas prosić o podarunki, powtarzając: „giw suwenir”. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy więźniowie i posiadamy jedynie to, co nam jest niezbędne i nie mamy mu co podarować, wtedy już bez ceremonji, zobaczywszy u Stumpa zegarek, wskazał na niego i powiedział: daj mi zegarek. Bezczelność ta oburzyła nas, ale przypomniawszy sobie Lutina, nie zdziwi-



liśmy się. Tamten niedaleko odszedł od tego dzikusa. Pomimo odmowy z naszej strony nastawał on coraz natarczywiej. Trzeba było wyjść jakoś z tego położenia. Byliśmy przecież w ręku tego człowieka, który od dziś dnia miał mieć bezpośredni nadzór nad nami. Stump odpiął srebrny ołówek, który wisiał jako brelok i oddał mu. Dostawszy suvenir, oglądał go jakiś czas, rozsuwał, składał i wkońcu, nie powiedziawszy nawet dziękuję, odszedł. W ten sposób zapoznaliśmy się z przedstawicielami piechoty.

19-go września na drugi dzień zauważyłem, że stojący rano na warcie żołnierz nie spuszcza ze mnie oka. Z początku nie zwracałem na to uwagi i jak zwykle notowałem sobie wypadki dnia, nie podejrzewając, że prosty żołnierz zainteresuje się tem. Coś mnie jednakże tknęło. Kiedy wszakże po obiedzie, jego następcą, ów właśnie tygrys, również nieustannie patrzył na mnie — coś mnie wówczas tknęło. Chcąc zatrzeć wrażenie tego, że pisałem, podarłem odniechcenia kartkę i zacząłem robić papierosy. Nie zdążyłem jeszcze zapalić, kiedy do namiotu wpadł Uloth z Gordonem i zakomenderował „koman”. Poprowadzono mnie do pustej stajni z taką gwałtownością, że sądziłem z początku, iż idę na egzekucję, kazano mi się rozebrać do naga i dwaj ci oficerowie poczęli obszukiwać moje ubranie. Robili to z taką wprawą i dokładnością, jakiej mogliby pozazdrościć najbardziej wyszkoleni szpicle rosyjscy. Wkładali ręce w sandały, wywracali skarpetki, wymacywali i rozpruwali zakładki w bieliźnie i ubraniu, układając znalezione drobiazgi na żłobie. Stałem jakiś czas nagi, przywdziewając pokolei oddawane mi ubranie. Nie zdawałem sobie sprawy czego właściwie oni szukają. Gordon został ze mną do czasu, dopóki się nie ubrałem, Uloth zaś niezwłocznie po zrewidowaniu wybiegł ze stajni.

Powróciwszy do namiotu, zastałem dery moje i wszystką bieliznę w piasku podeptaną nogami, tytoń i cukier wysypane na ziemię, pudełka i inne drobiazgi porozrzucane i niektóre powyrzucane nazewnątrz namiotu. Na tapczanie siedział przerażony Stump, który mi opowiedział, że przed chwilą wpadł do namiotu Uloth, rozrzucał wszystko, jak gdyby czegoś szukał, podeptał, kopiąc nogami, bieliznę i dery i wybiegł z namiotu, zabrawszy jakieś kartki. Rozejrzawszy się uważnie, zauważyłem, że ruloniki z bibułki, które były ukryte pod tytuniem, zginęły. Nie przypuszczałem, aby Uloth domyślił się ich tm szukać, widocznie jednak wysypując przez chęć zrobienia szkody cukier i tytoń na ziemię, musiał je zauważyć i zabrał jako coś podejrzanego. Ołówek naturalnie był również zabrany. Nie wiele mnie obeszło pochwylenie kartek, gdyż notatki robione były po polsku i w wielkiem skróceniu, nazwiska zaś Indusów pisane były kluczem. Byłem więc spokojny, że ich nikt nie odczyta i nie domyśli się nawet, że są to notatki z chwili bieżącej. Przeszedłszy dobrą szkołę w cytadeli i rosyjskich więzieniach, nauczyłem się być przezornym. Posiadałem w zapasie jeszcze dwa ołówki, notatki zaś robiłem w trzech egzemplarzach, chowając je w różnych miejscach. Po tej katastrofie i rewizji zrobionej osobiście przez tak wysoko postawionych i widocznie wyszkolonych w tej profesji oficerów, miałem pewność, że będę nadal pozostawiony w spokoju. Najgorszem było to, że pozostaliśmy bez cukru i tytoniu. Nastąpił smutny wieczór a po nim — niemniej smutna noc.

Na drugi dzień 20-go września od rana zauważyliśmy jakiś ruch. Przedewszystkiem ujrzelśmy wypasionego miejscowego „oldara”, który rzadko się pokazywał w wojskowym uniformie, siedząc wiecznie rozebrany w swoim pokoju i paląc swoją nieodłączną





*Grupa zamożnych Persów północnej prowincji  
Azerbejdżanu*





fajkę. Dano nam znać z któregoś namiotu, że dziś będziemy wyprowadzeni w niewiadomym kierunku. Koło godz. 12-tej w południe zjawił się Uloth i Gordon. Zatrzymali się w środku podwórza i kazali poukładać wkoło nich nasze walizki, które leżały na podwyższeniu. Uloth własnoręcznie otwierał każdą i, wyjmując różne drobiazgi, jako to: kołnierzyki, mankiety, krawaty i t. p. rozrzucił je naokoło po podwórzu, poczem po opróżnieniu kuferka podrzucił go nogą. Sprawilo to wielką uciechę żołnierzom, którzy przypatrywali się tej dzikiej scenie i nieznacznie zbierali wyrzucane przez Uloth przedmioty. Przyszła kolej na moją walizkę. Była ona z fibry z mocnymi angielskimi zamkami. Uloth dość długo majstrował koło zamka kluczykami, które wyciągnął mi wczoraj z kieszeni. Po otworzeniu jej, stojąc nachylony, począł całą zawartość wyrzucać poza siebie na podwórze. Leciały szczoteczki, kołnierzyki, mankiety, brzytwa gilette, pendzel do golenia i t. p. Po wyrzuceniu wszystkiego skoczył on na walizkę i począł ją trącić nogami. Elastyczna pokrywa uginała się, lecz nie pękała, czem zniecierpliwiony, kopnął walizkę z taką siłą, że potoczyła się kilkanaście kroków aż pod mur. Tę samą operację wykonał on z walizką Stumpa.

Podczas rozrzucania moich rzeczy wszedł przez bramę Forsajt w towarzystwie jakiegoś drugiego nieznanego oficera. Spostrzegłszy, co się dzieje, minął on wolno naszą grupę, nie witając się z Gordonem i Ulothem, z surowym wyrazem twarzy i pogardliwym uśmiechem na ustach. Kazano nam stać koło szczątek naszych walizek. Skończywszy rabunek, Uloth pobiegl do naszego namiotu. Wyskoczył z niego z trzymanym w rękę patykiem, do którego przywiązana była moja chustka do nosa. Stanawszy koło namiotu na wzgórzu, począł on cały czerwony od gniewu coś

krzycząc, zwracając się do żołnierzy i wymachując moją chustką. Nie mogłem zrozumieć, co ta scena ma oznaczać, czułem tylko, że coś mi zagraża. Okazało się, że ten genialny detektyw wywnioskował, iż chustka moja jest instrumentem do podawania wojennych sygnałów i obwinił mnie o to głośno przed żołnierzami. Nie wiem, czemu się ta scena skończyła, ponieważ nie miałem możliwości wytłumaczyć się, gdyby nie uratował mnie Stump, który głośno, tak że wszyscy słyszeli, oświadczył, że chustka ta służyła do odganiaania dokuczliwych much, na co żołnierze poczęli potakiwać głowami. Trudno było zrozumieć, czy ze strony Ulotha był to szantaż czy też głupota.

Kazano nam wrócić do namiotu i zabrać derki i jedną koszulę; powróciliśmy. Ja zdążyłem jeszcze zabrać notatki, dwa ołówki, lusterko i szklanę z metalową podstawką, którą szczęśliwie wyjąłem przedtem z kuferka. Powróciwszy z namiotu, dla odwrócenia od siebie wszelkich podejrzeń, podszedłem do Gordona i oddałem mu jeden ołówek, powiedziawszy, że znalazłem go w namiocie między rzeczami i oddaję mu, ponieważ obecnie wiem już, że nam zabroniono mieć ołówki przy sobie. On widocznie był zadowolony z mojej uległości i poszanowania władzy, a ja czułem się spokojny o los moich notatek i trzeciego ołówka, dzięki któremu mogę dziś te sceny opisać.

Tak oszukałem czujność szpiclów-amatorów.

Skuto nas razem w dwa szeregi i wyruszyliśmy za bramę, jak zwykle nie wiedząc dokąd i poco. Dokoła nas maszerowała piechota, którą prowadził gruby sierżant. Przy całej tej scenie rabunku naszych rzeczy musieliśmy niewiedomo dlaczego asystować, można było przecież wszystko rozdać albo spalić bez nas, nie zadając sobie tyle trudu. Może było to przejawem sportowych skłonności tego dżentelmena.



Wyszedszy z bramy, zawróciliśmy w lewo ulicą, która wyprowadziła nas na obszerny plac. Od 26-go września, a więc przeszło trzy tygodnie siedzieliśmy, a właściwie leżeliśmy bez ruchu w dusznej atmosferze wyziewów stajennych, wskutek których cierpieliśmy na oczy. Z nieopisaną radością ujrzałem przestrzeń i wciągałem w siebie świeże powietrze. Plac przez który przechodziliśmy i na którym odbywały się jakieś wojskowe ćwiczenia leżał już poza obrębem miasta, które pozostało za nami.

Meshhed jest jednym z większych miast w Persji. Dla Mahometan obrządku szyickiego jest ono świętym miejscem, gdyż w bliskości od niego jest pochowany zięć Mahometa Ali-Ben-abi-Saleb, założyciel sekty szyistów. Po odbyciu pielgrzymki do tego miasta Mahometanie dodają do swojego imienia tytuł „Meszadi” który jest w wielkiem poważaniu. Mogłoby się zdawać dziwnem, że tak mała fatyga jak odwiedzenie miasta może być powodem do okazywania komuś szacunku. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że u Mahometan niekażda podróż jest uważana za pielgrzymkę. Ażeby zostać pielgrzymem do świętego miejsca i odbyć nie podróż zwyczajną, ale pielgrzymkę, podczas której, w drodze najwyższej łaski, można być powołanym na łono Mahometa, trzeba przedtem godnie się przygotować i być czystym, to znaczy nie mieć nieprzyjaciół, zapłacić wszystkie długi, zabezpieczyć rodzinę na wypadek swojej śmierci i uwolnić się od wszystkiego co nas obarcza i krępuje na ziemi. Dlatego też ten kto odbył taką pielgrzymkę i miał choć raz taki moment w swoim życiu, już przez to samo zasłużył na poważanie. Na najwyższy szacunek zasługuje ten, który odbył pielgrzymkę do najwięcej czczonego miasta Mekki i wtedy dodaje sobie do nazwiska tytuł „Hadżi”. Jest to jednakże tytuł dostępny dla bardzo niewielu śmier-

telników z powodu tego, iż podróż i składane ofiary wymagają dużych środków, na które stać tylko bardziej zamożnych ludzi.

Miasto samo położone jest w dolinie. Z północy i wschodu otacza go rzeka Keszaf-Rud, z południowej strony przylegają do niego wzgórza, dalszy ciąg pasma gór Ala-dagh. W sąsiedztwie jego wznosi się góra, która według podania ma zawierać złoto, ale nikt nie próbuje go wydobywać, wskutek tego, że Mahomet w gniewie na tych, którzy obchodzili się okrutnie z niewolnikami złota przy kopaniu, przeklął ją i od tej pory, według podania, wartość wydobytego złota zawsze o jeden tuman jest mniejsza od kosztów poniesionych przy jego wydobywaniu. W kwarcowych pokładach wzgórz Meszhedu i sąsiadującego z nim miasta Niszapur znajdują się najpiękniejsze gatunki błękitnych turkusów t. zw. Ischaki i Niszapury; z Meszhedu prowadzą dwa wielkie gościńce, na wschód do Teheranu i na południe przez Turbet do Afganistanu i Heratu.

Nie wiedzieliśmy, jak zwykle, jak długo nasza podróż potrwa. Mogliśmy jedynie domyślać się, że bez osłów i konnej straży daleko nas nie popędzą. Oduczyliśmy się już chodzić i, uszedłszy kilka metrów, czuliśmy zmęczenie. Szczęściem dla nas i gruby sierżant poczuł potrzebę wypoczynku, pozwolono więc nam odpocząć. Uszedłszy z dziesięć kilometrów, ujrzelśmy na wzgórzu namioty jakiegoś obozu, domyśliliśmy się, że jest to cel naszej podróży.

Zbliżywszy się, ujrzelśmy dwa rzędy namiotów, ustawionych naprzeciwko siebie, tworzących jakby ulicę i jeden stojący u wylotu pośrodku. Spotkał nas oficer, który często, jako niemy świadek, towarzyszył Ulothowi podczas odwiedzania nas. Rozmieszczono nas w dwóch ustawionych naprzeciwko siebie namiotach pierwszych z brzegu, w sąsiedztwie stojącego



u wylotu, który przeznaczony był dla oficera. Przy naszym zbliżeniu się z różnych namiotów poczęły wyglądać zaciekawione twarze. Byli to również więźniowie, tak samo jak i my zakuci.

Na boku w oddaleniu stał jeszcze jeden namiot. Zajmowała go jakaś para, która spacerowała bez kajdanów. Mężczyzna niewielkiego wzrostu z podkręconymi wąsikami i nastroszoną czupryną i niemłoda już krępa i przysadzista kobieta.

Pomimo całej trudności porozumiewania się postaraliśmy się natychmiast dowiedzieć, kto są nasi towarzysze niedoli i skąd się tu wzięli. Udając, że rozmawiamy między sobą, rzucaliśmy głośno pytania, na które nam odpowiadano z innych namiotów. Okazało się, że byli to jeńcy wojenni wzięci do niewoli przez Rosjan na początku wojny i przebywający w ostatnich czasach w Aschabadzie. Z jakiego powodu zostali przez Anglików aresztowani i dokąd ich zawiozł — nie wiedzieli. Było ich sześćdziesięciu. Dowiedziawszy się, że nas jest dziewięciu, oznajmili nam, że dziś skończyli kopać za obozem dziewięć dołów o rozmiarach odpowiadających mogiłom, co nas naturalnie nieprzyjemnie zaciekało. Ja, Stump, Kowenko i Smutny pomieściliśmy się w jednym namiocie. Wagner, Turmuren, Poznańczyk i dwóch żołnierzy niemieckich w drugim. Znajdowaliśmy się tu pod bezpośrednim nadzorem oficera, który z pieskiem zamieszkiwał w sąsiednim namiocie. Wieczorem wszedł on do naszego namiotu i zapytał, czy jest kto między nami kto mógłby się zająć kuchnią. Najodpowiedniejszym był Stump, który mógł się swobodnie porozumiewać, z chęcią więc zaproponował swoje usługi. Oficer, który jak dowiedzieliśmy się, nazywał się Tomson, zgodził się i pozwolił mu wybrać sobie jeszcze kogoś do pomocy. Stump wybrał mnie. Mianowanie nas kucharzami sprawiło

nam wielką radość. Rozumowaliśmy, że przy zajęciu będziemy mieć możność ruchu, nabrania sił i naturalnie spodziewaliśmy się, że do spełniania naszych kucharskich obowiązków będziemy rozkuci.

Tak się też stało. Na drugi dzień o godz. 6 rano rozkuto nas i udaliśmy się do zaimprovizowanej kuchni. Był to wykopany czworokątny dół z występami po rogach, przeznaczonemi na ogniska. Trzeba było przyprowadzić go do porządku i uczynić możliwym do użytku.

Zabrałem się do pracy przy pomocy łopaty i drąga żelaznego, który mi żołnierze przynieśli i robota posuwała się naprzód. Koło godz. 9-ej wylazłem z dołu i, wzięwszy koszyk, poszliśmy ze Stumpem do obozu żołnierzy po prowizję. W tej chwili przyjechał Uloth i zobaczywszy mnie i Stumpa z koszykiem, podbiegł do stojącego przed namiotem Tomsona i, gestykulując, począł mu coś mówić, wskazując na nas. Według słów tych, co go słyszeli, miał on powiedzieć, że my dwaj jesteśmy najwięksi zbrodniarze i rozkuwać nas nie można. Natychmiast kazano nam porzucić kuchnię, zapędzono nas do namiotu i na nowo zakuto. Biedny Stump miał łzy w oczach. Posiadając zawsze szalony apetyt, prócz innych przywilejów miał możność jako kucharz zawsze lepiej sobie podjąć i ta nadzieja spełzała na niczem. Rozgoryczony, wyrzucał mi, że to wszystko stało się przeze mnie, że postępowanie moje doprowadzi do smutnych rezultatów, że ja narażam się Ulothowi, a przez to i on na tem cierpi itd. Zwróciłem mu uwagę, że ja ani jednym słowem dotąd nie odezwałem się do Ulotha, nie znając angielskiego języka, a więc niczem narazić się mu nie mogłem i jego wymówki są niesłuszne. Nic to nie pomogło. Zarzucał mi, że moja milcząca postawa i wzrok wyrażały krnąbrność rzucającą się w oczy.



Odpowiedziałem mu, że na to rady niema, pozostanę sobą zawsze i zmienić swojego sposobu bycia, choćbym chciał, nie potrafię. Dzień ten był dla mnie bardzo przykry. Po przemówieniu się ze Stumpem zauważyłem, że Kowenko i Turmuren przyznawali mu rację i patrzyli na mnie z niechęcią, wskutek czego przy pierwszej sposobności postanowiłem odłączyć się od ich towarzystwa.

Skutki przyjazdu Ulotha nie dały na siebie długo czekać. Wieczorem zjawił się sierżant z pomocnikiem i skuł nas na noc po czterech razem. Musieliśmy, chcąc nie chcąc, żyć w zgodzie i okazywać sobie wzajemnie usługi. Inowacja ta zbiła nas z tropu. Należało przypuszczać, że przyprowadzono nas tu dla jakichś nowych okrutnych praktyk. Na drugi dzień popołudniu usłyszeliśmy szcęk łańcuchów i ujrzelśmy prowadzonych mimo naszego obozu nowych więźniów, z których kilku było zakutych w ręczne i nożne kajdany. Szli oni, szeroko rozstawiając nogi i podtrzymując łańcuchy. Między nimi poznaliśmy Arunowa i Kuljewa, naszych współtowarzyszy z więzienia Aschabadzkiego, reszta była nam nieznaną. Zobaczywszy ich, ucieszyliśmy się, jeżeli można się tak wyrazić, mając nadzieję, że dowiemy się od nich, co się stało po naszym wyjeździe w Aschabadzie i czy nie przyjeżdżał kto dowiadywać się o naszym losie.

Więźniów tych wprowadzono pokolei do namiotu Tomsona, będącego, jak wspomniałem, w naszym sąsiedztwie, wskutek czego oderwane słowa, wymawiane podniesionym głosem, dolatywały naszych uszu. Tomson obwinał ich o chęć ucieczki podczas drogi i groził zastrzeleniem. Więźniowie pokornym głosem tłumaczyli się, że są niewinni. Niektórzy z nich szlochali i padali na kolana, tłumacząc się, że byli związani,

otoczeni wojskiem i nie mogli nawet myśleć o ucieczce w tych warunkach.

Ciężka ta scena wywarła na mnie okropne wrażenie, patrzyłem z litością na powracających do swoich namiotów kajdaniarzy, jak płacząc się w długich łańcuchach, rzucali naokoło trwożliwe spojrzenia. Ja zahartowałem się już w nieszczęściu, wewnątrz powróciłem do równowagi i zachowałem odporność, starając się spotykać chłodno wszystko, czego doświadczałem; czułem nawet z pewnem zadowoleniem, że energia rośnie i rozwija się we mnie. Przejmowała mnie trwogą jedynie myśl o chorobie i może ta obawa była właśnie przyczyną podtrzymania moich sił.

Obok nas stał namiot, z którego dolatywały rozmowy w języku niemieckim. Pod wieczór wszystko ucichło, zdawało tylko słychać było skomlenie i płacz szakali. Leżałem nawznak i myśli moje uniosły mnie daleko. Naraz do uszu moich doleciała przyciszona melodia mazurka Dąbrowskiego, podniosłem głowę, aby się przekonać, czy to nie halucynacja. Nie, ktoś w sąsiednim namiocie cicho, jakby zachowując ostrożność, wygwizdywał „jeszcze Polska nie zginęła”. Czyżby tam był rzeczywiście jakiś Polak? Mówiono, że więźniowie są to wyłącznie Węgrzy i Niemcy. Ponieważ słyszałem tylko melodię bez słów, zdecydowałem, że mógł ją nucić żołnierz Węgier, wyuczywszy się od wojskowej orkiestry. Wkrótce jednak potem usłyszałem już wyraźnie słowa: „Jestem sobie Krakowianka, hop, ciu, hej dana”. Teraz już nie miałem wątpliwości, że nucił Polak. Wzruszony do głębi, nie mogłem zasnąć i z niecierpliwością oczekiwałem dnia, aby się dowiedzieć, kto w tych ciężkich warunkach pocieszał się wspomnieniami o Krakowiance, co nosi spódniczkę do kolanka. Na drugi dzień, przeprowadziwszy odpowiedni wywiad, dowiedziałem się, że w sąsiednim nami-



cie znajduje się Polak, podoficer ułański, wzięty do niewoli w Przemyślu przez wojska rosyjskie, nazwiskiem Cebula. Ułan i jeszcze Cebula, czyż może być coś więcej polskiego z fachu i nazwiska. Dowiedziałem się, że był to jeden z tych nieszczęśliwców, którzy byli zakuci w nożne kajdany.

Cały dzień pilnowałem, aby go zobaczyć podczas wyprowadzania z namiotu i ujrzawszy go, poznałem w nim typowego krępego Mazura o okrągłej, rumianej pomimo wszystkich udręczeń twarzy, i niebieskich oczach. Żałowałem, że nie mogę się zaraz z nim porozumieć. Postanowiłem jednak nie starać się o to, przez wzgląd, że tacy przenikliwi detektywi, jak Uloth i prawdopodobnie jego przyjaciel Tomson, gotowi byli wyprowadzić z tego jakieś wnioski i mógłbym tylko zaszkodzić Cebuli, jako człowiek, który tak poważnie zagraża potędze Wielkiej Brytanji. Po kilku dniach przyprowadzono jeszcze czterech więźniów zakutych w kajdany, Żyda Rozena, doktora medycyny, Duńczyka, członka misji wysłanej dla inspekcji niemieckiego Czerwonego Krzyża, nie mówiącego ani słowa po rosyjsku, Reintorfa, Emicha, jego tłumacza, kolonistę z saratowskiej gub. i porucznika wojsk rosyjskich, Łotysza, Zeltina.

Po ich przybyciu mnie, Turmurena i Stumpa przeniesiono do namiotu stojącego naprzeciwko, a na nasze miejsce pomieszczono Reintorfa i Zeltina i namiot ten nazwano oficerskim, czyli uprzywilejowanym.

Od czasu odwiedzenia nas przez Ulotha nastąpiły wielkie zmiany. Na noc, oprócz tego, że zakuwano nas po czterech, układano nas jeszcze nawznak i ramiona nasze pod samą pachą związywano powrozami, w ten sposób, że w nocy zmuszeni byliśmy leżeć w jednej pozycji, nie mogąc się poruszyć. Obserwowałem, jak przed wprowadzeniem tego nowego sposobu udrę-

czeń Tomson osobiście, przed namiotem uczył starszego Indusa, w jaki sposób należy zaciągnąć pętlę, aby się mocno trzymała przez noc. Tu dopiero rozpoczęły się nasze prawdziwe męczarnie.

Wskutek tego, że nie rozbieraliśmy się i nie zmienialiśmy bielizny, pojawiły się pasożyty. Ja jakoś najdłużej chroniłem się od tej plagi, wkońcu naturalnie przeszły one do mnie od innych. Z powodu mojej odporności Stump, który od czasu zdegradowania go ze stanowiska kucharza okazywał mi niechęć, opowiedział przy sposobności przypowieść, rozpowszechnioną podobno w Estonji, według której głupich ludzi wszy się nie trzymają. Jakże żałowałem wówczas, że moja głupota była niedostateczna dla tego, aby mnie od tej plagi uwolnić! Każda noc stawała się dla nas męczarnią. Nasza bielizna roiła się od tych wstrętnych pasożytów, na których ukąszenia nie byliśmy w stanie reagować. Niedosć, że spędzaliśmy noce bezsenne, lecz jeżeli jeden z nas zmuszony był opuścić namiot, trzej inni razem z nim skuci musieli mu towarzyszyć pociemku na przestrzeni około trzystu metrów, po polu usianem kamieniami i pagórkami. Żołnierze obowiązani nas eskortować niecierpliwili się i przeklinali. Nieraz obawialiśmy się, że będziemy w nocy przez tych dzikusów pokaleczeni bagnietami. Upadek jednego ze skutych często pociągał za sobą upadek całej czwórki. Karmiono nas w ten sam sposób, bez talerzy i łyżek, jedliśmy ze skorup i puszek od konserwów. Kuchnią rządzą więźniowie austriacy. Niektórzy z nich okazali się hultajami, próbując na tem stanowisku robić interesy. Usługiwali oni lepiej tym, co im dawali tytuł i podarunki. Jeden z nich niejaki Wiktor wyróżniał się tem więcej od innych i począł zaznaczać swoją władzę nad więźniami, przypominając karmiciela zwierząt w menażerji. Ponieważ trzymano nas o głodzie,



pczcęły przejawiać się między więźniami, nie wykluczając naszego namiotu, zwierzęce instynkty. Zazdrośczone sobie każdego lepszego kawałka koźlego gnata, wszystkie oczy śledziły z niepokojem, aby przy rozdziale ktokolwiek nie dostał czasami o jedną uncję więcej niż jego towarzysz. Staliśmy się podobni do zwierząt, ogryzając gnaty, leżąc na ziemi, brudząc ręce i ubranie.

Do wszystkich katuszy i udręczeń dołączyła się jeszcze ta, że czułem się w tem towarzystwie osamotniony w myślach moich i uczuciach. Byliśmy ludźmi z rozmaitych sfer, rozmaitych przyzwyczajzeń i skłonności, nie mieliśmy z sobą nic wspólnego, coby nas łączyło, oprócz kajdan. Ludzi ideowych, którzy cierpią za wspólną winę, pomimo różnicy sfer i wykształcenia, łączy zawsze jakaś wewnętrzna siła. U nas nie mogło być tego. Poczęły się drobne sprzeczki, wzajemna krytyka, tworzyły się sympatje i antypatje, które czyniły wspólne obcowanie często nieznośnem. Upadając coraz niżej duchowo, zatracając w sobie ludzkie instynkty, stawaliśmy się coraz więcej podobni do zwierząt, gotowych nietylko pokłócić się o kilka łyków koźlego buljonu, ale gwałtem wydierać sobie wzajemnie każdy lepszy gnata.

Pewnego dnia Tomson, zabrawszy tytuń z walizek Węgrów, rozdzielił go na części i wspaniałomyślnie powrzucał woreczki z nim do innych namiotów. Jeden z woreczków przypadł i na nasz namiot. Wagner i Turmuren chociaż nie palili, zażądali, aby tytuń rozdzielono na równe części, i z tem co im wypadnie w udziale, mogli zrobić taki użytek, jaki im się podoba, nawet by go mogli wyrzucić. O sprawiedliwości w tym wypadku szczególnie szeroko rozwodził się Wagner. Po dokonanym w ten sposób rozdziale obadwaj niepalący ofiarowali w dowód sympatji należne sobie części Stumpowi,

który im serdecznie dziękował za ten dowód życzliwości. Po tym fakcie zrozumiałem z kim mam do czynienia i poczułem, że ludzie ci stali się dla mnie jeszcze bardziej obcy, niż dotychczas. Wkrótce Wagner poświęcił się dla Stumpa, który unikał obcowania ze mną, i przeniósł się na moją stronę, odstępując Stumpowi swoje miejsce. Odtąd więc skuwano mnie na noc z Wagnerem, Kostutem i Walterem, a Turmurena, Stumpa i Poznańczyka we trzech po drugiej stronie namiotu.

Codziennie zrana o świcie budzono nas i wyprowadzano w pole za obóz, gdzie pędzano dookoła jak w rejtzuli, co miało zastępować spacer. Ganiumo nas tam, nie dając przystanąć, aż do zmęczenia. Nie wolno było zatrzymywać się nawet na chwilę, gdyż żołnierze popędzali nas kolbami. Nie mogłem na to patrzeć. Raz tylko jeden wyszedłem ze wszystkimi, a potem zawsze udawałem chorego.

W początkach codziennie przyjeżdżał Gordon i wywoływał przyprowadzonych z Aschabadu nowych więźniów, spisując zeznania w podobny sposób, jak to robił z nami. Widocznie musiał już przeczytać „pamiętnik” Kowenki, bo wyprowadziwszy go podczas jednych ze swoich odwiedzin z namiotu, długo z nim rozmawiał. Było to pod wieczór, panowała cisza i niektóre słowa dolatywały do nas. Według słów Stumpa, który podsłuchiwał rozmowę, wyrażał mu on współczucie z powodu tego, że taki szlachetnie urodzony oficer wpadł przez nieostrożność w nasze towarzystwo i dał mu do zrozumienia, że los jego się polepszy. Kowenko triumfował i był pełen różowych nadziei, a kiedy na drugi dzień Tomson zaprosił go na pogawędkę i podwieczorek, uważał się już za zupełnie uratowanego i zmienił względem nas odrazu swoje zachowanie. Począł usprawiedliwiać postępowanie władz angielskich w



najcyniczniejszy sposób, dowodził, że podczas wojny wszystko jest możliwe, że Anglicy, tak jak on, nie wiedzą, kto my jesteśmy i powodują się tem, co im o nas naopowiadano, znajdował, że karmią nas wcale nieźle w porównaniu z tem jak karmiono jeńców w niemieckich obozach i t. d. Jednem słowem przygotowywał się do zdania egzaminów na służbę wywiadowcy władz angielskich.

Do jakiego stopnia zatracenia ludzkich uczuć może doprowadzić system głodzenia i uzależniania losu człowieka od kaprysu jednostki dowodzi następujący przykład.

Niespodziewanie zawołano do namiotu Tomsona Stumpa na podwieczorek. Co on tam opowiadał, nie wiem i nie chcę go posądzać o brzydkie rzeczy, wiem tylko, że wrócił rozpromieniony i pokrzepiony na duchu. Na drugi dzień Stump, uważając, że wszedł przez to w niejaką poufałość z Tomsonem, poprosił go o nożyczki, aby obciąć sobie paznokcie. Tomson przyniósł ze swego namiotu i rzucił mu je z daleka. Po skończonej operacji prosiłem Stumpa, aby i mnie także pozwolił obciąć sobie paznokcie, ale on wręcz odmówił, oświadczwszy, że nie może nadużywać zaufania Tomsona! Niedługo jednak trwała ta idylla, w kilka dni potem Tomson, zauważywszy, że jeden ze starszych uczciwych dozorców, wchodząc wieczorem do namiotu, rozmawiał z nami i związywał nas lżej niż inni, wszedł rano do namiotu i, chcąc nas nastraszyć, oświadczył, że tego kto będzie rozmawiał z żołnierzami zastrzeli natychmiast. Stump, ośmielony nawiązaniem z nim dobrej komitywy, odrzekł, że z nas nikt nie rozmawia, gdyż nie mówimy po angielsku, na co otrzymał zdecydowaną odpowiedź: „stul pysk”. Tak skończył się chwilowy jego flirt z Tomsonem.

W drodze wielkiej łaski pozwalano niektórym więźniom zdejmować na krótki przeciąg czasu kajdany, aby oczyścić się od pasożytów. Zwróciłem się do Stumpa z prośbą, aby w moim imieniu poprosił o to Tomsona, Stump dość długo się wzdragał, wreszcie powiedział o tem Tomsonowi. Na tę pierwszą i ostatnią moją prośbę otrzymałem odpowiedź: „Obejdzie się, może jeszcze guwernantkę mam sprowadzić”.

Przyzwyczajiliśmy się powoli do zwierzęcego życia. Nauczyliliśmy się ogryzać kości i połykać wstrętne koźle niedogotowane mięso bez żadnych przypraw, pić obrzydliwy nawpół słony rosół z koźliny, spać nawznak bez ruchu skuci i związani, pożerani przez pasożytów, od których roiło się na nas, załatwiać wszystkie potrzeby ze skutemi rękami, nie myć się i nie rozbierać.

Uważano jednak, że jeszcze jesteśmy za silni, dano nam łopaty i wypędzano na roboty, które polegały na kopaniu rowu naokoło namiotu. Wydzielano przytem każdemu obowiązkowo określoną część do wykopania.

Słabsze natury nie mogły wytrzymać. Zaczęto chorować na dyzenterję. Zjawiła się ona u żołnierzy więźniów, którzy widocznie jedli za dużo tłustego rosołu. O zdrowie więźniów nikt się nie troszczył, o chorobie ich dowiedziano się dopiero wtedy, kiedy zabronione zostało po godz. 6-ej wiecz. wyprowadzanie więźniów z namiotu, aby nie niepokoić straży. Chorzy na dyzenterję nie byli w stanie naturalnie zastosować się do tego rozporządzenia a ponieważ całą noc musieli pozostawać w namiotach, na drugi dzień okazało się, że wielu z nich są poważnie chorzy. Trzeba było coś przedsięwziąć. Dano znać do sztabu i przysłano pomoc sanitarną.



Zanim przystąpię do opisu oględzin lekarskich i okazanej pomocy sanitarnej, muszę w tem miejscu jeszcze raz specjalnie uprzedzić czytelnika, że opisuję ściśłą prawdę z dokładnością fotograficzną.

Pod wieczór kazano nam wszystkim chorym i zdrowym wyjść i stanąć przed namiotami w rząd. Staliśmy, jak zwykle, nie wiedząc poco i jak długo stać będziemy. Począł kropić deszcz, po półgodzinnem mniej więcej oczekiwaniu ujrzeliśmy wychodzących z namiotu Tomsona trzech wojskowych, z których jeden trzymał w ręku jakąś szkatułkę. Rozpoczęli oni spacer od namiotu, w którym pomieszczeni byli Kowenko i inni, a w którym nikt nie chorował. Uprzedzono nas, że przy zbliżeniu się tej komisji należy wyciągnąć języki. Idący na przędzie, widocznie starszy doktor, mijając, przyglądał się im pokolei i od czasu do czasu wymawiał „ol rajt”. Niekiedy, widząc bardziej wynędzniałą twarz, dotykał się ręki, jakby sprawdzając puls. Idący za nim jego pomocnik wydobywał ze szkatułki jakieś pastylki i rozdawał po jednej każdemu. Jeżeli kto zdążył wyciągnąć drugą rękę, dostawał czasami jeszcze jedną. Obszedłszy w ten sposób do końca jeden rząd, trójka zawróciła i w ten sam sposób zbadała stan zdrowotny drugiego rzędu, w którym my staliśmy. Wyciągnęliśmy wedle rozkazu języki i dostaliśmy po pastylce, jeden nawet z nas zdaje się dostał dwie. W ten sposób w przeciągu 20 minut zbadano zdrowotny stan siedemdziesięciu więźniów.

O zmianie pożywienia, o djecie i o izolacji chorych nie było mowy. Nic się nie zmieniło. Karmiono nas po dawnemu koźliną i tłuszczami bez jarzyn i prawie bez chleba i pozostawaliśmy nadal skuwani po czterech. Można sobie wyobrazić, jakie męczarnie przechodzili ci, co byli skuci z chorymi. Trzech musiało zawsze towarzyszyć czwartemu, który musiał wyjść.

Wlokła się taka skuta czwórka w ciemną noc w pole na odległość 300 — 400 metrów, potykając się na każdym kroku. Często bywało tak, że powróciwszy, po kilku minutach, ledwo się zdążyło ułożyć i okryć, drugi chory z tej samej czwórki zmuszony był opuścić namiot i, przepraszając współtowarzyszy, nieśmiałym głosem prosił, aby dano znać straży. Znow się podnoszono i znow maszerowano we czwórkę tam i zpowrotem. Spacer taki trwał niekiedy przez całą noc. Niektórzy byli tak osłabieni, że współtowarzysze z nimi skuci musieli ich podtrzymywać i przyprowadzać do porządku ich ubranie. Zdarzało się, że natrafiwszy na dół albo przegrodę, której w ciemną noc niepodobna było ominąć, wszyscy czterej padali, pociągając łańcuchami jeden drugiego.

Zwalczały chorobę jedynie odporność organizmu i głód. Dano hasło, aby wstrzymać się od pokarmów i podtrzymywać organizm jedynie temi okruchami chleba, które w minimalnych dozach dodawano do obiadu. Ja trzymałem się dobrze i nie chorowałem, ale pisząc swoje notatki, nieraz wątpiłem, czy będę mógł kiedyś z nich skorzystać. W kilka dni po wizycie lekarzy przyjechał widocznie sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, jakiś generał, którego pierwszy raz widzieliśmy. Wystawiono nas znow przed namiotem. Generał obszedł w asystencji Ulotha i Tomsona wszystkie namioty i odjechał. Słyszałem, jak przechodząc koło nas Tomson odezwał się: „wszyscy Niemcy”.

30-go września przybył do obozu jakiś nowy oddział wojsk. Wieczorem dowiedzieliśmy się, że nazajutrz rano wyruszymy do Indyj. Wiadomość ta podziała na nas przygnębiająco. Nie wyobrażaliśmy sobie, w jaki sposób będziemy mogli w tych warunkach, pod opieką Tomsona, przenieść taką podróż. Nie orjentowaliśmy się ani w sposobach lokomocji, ani w czasie.



Można było przypuszczać, że będziemy pędzeni piechotą w kajdanach. Sądząc z dotychczasowego obchodzenia się z nami, równałoby się to zamęczeniu nas i śmierci gdzieś w drodze. Chorzy, wycieńczeni, pozbawieni ruchu przez tyle czasu, pożerani przez pasożyty, nie byliśmy w stanie przypuścić, że przetrzymamy nietylko kilka tysięcy, ale nawet kilkadziesiąt kilometrów podróży. Nie mogłem zrozumieć w jakim celu wiozą nas do Indyj. Z Meszhedu, z miejsca naszego pobytu, drogą lądową, naokoło Afganistanu, przez Beludżystan do Indyj było około 3000 kilometrów, prowadzących przez dzikie, mało zamieszkane kraje i bezwodne, słone pustynie. Ekspedycja taka pociągała ogromne wydatki, które mogły być usprawiedliwione jedynie nadzwyczajnymi wypadkami. Czem została wywołana potrzeba pędzenia tak daleko kilkudziesięciu nawpół żywych, zamęczonych niewolników, niepodobna było zrozumieć. Jeżeli nawet przypuścić, że robiono to w myśl zasady wypowiedzianej przez Forsajta, aby „pomyłkę doprowadzić do końca”, pociągała ona za sobą takie kolosalne koszty, że trudno było wierzyć, aby w tym wypadku jedynie sport odgrywał decydującą rolę. Stanowczo komuś musiało na tem zażyć, ktoś musiał z tego ciągnąć korzyści.

Przez te kilkanaście dni zdążyliśmy porozumieć się ze wszystkimi współtowarzyszami niedoli. Historia wzięcia ich do niewoli przez wojska angielskie zakrawała na jakąś złośliwą farsę. Biedacy ci po dezorganizacji wszelkich władz rosyjskich skazani byli na głodową śmierć w obozach koncentracyjnych. Pozwolono im przesiedlić się do centralnych miejscowości, gdzie zarabiali, czem kto mógł, na swoje utrzymanie. W ten sposób w Aschabadzie zebrało się około 200 żołnierzy byłej armji austriackiej. Byli to po większej części rzemieślnicy: krawcy, stolarze, kowale i t. p., którzy

pracowali w swoim fachu i pomagali swoim towarzyszom. Po odezwie generała Malesona rząd aschabadzki zobowiązał się wydać sześćdziesięciu niebezpiecznych cudzoziemców i natychmiast zrobił rozporządzenie, aby wszyscy jeńcy wojenni w naznaczony dzień rano stawili się w umówionem miejscu. Z tych, którzy się stawili, oddzielono, nie wybierając, 60 i popędzono ich ku granicy Persji. Czem się kierowano—aresztując tych lub innych „przestępców”, niech świadczy fakt, że kiedy po drodze, we wsi Jabłonówce, spotkano jeszcze nową grupę więźniów, wysłanych bez porozumienia się z temi władzami, które wysłały pierwszych, Anglicy odliczyli tylko 60-ciu, według umowy, i resztę wypuścili na wolność. Ci co się stawili dobrowolnie, był to pracowity spokojny element, zdolni rzemieślnicy, przynoszący korzyść miastu, którego cała ludność była rozpolitykowana i niezdolna do systematycznej pracy.

Po zakuciu ich w kajdany musieli oni, siłą faktu, być przedstawicielami tego niebezpiecznego elementu bolszewickiego, który w samej rzeczy dla Anglików był niedostępny, z tego względu, że nie dawał do siebie podejść na wystrzał karabinu. Po nieudanych próbach walki z wojskami taszkienckimi, od których induskie oddziały dostały porządnie w skórę, trzeba było zrezygnować z zawładnięcia Bucharą i ze wszelkich zdobyczy wojennych. Spokojni ci ludzie, nie biorący żadnego udziału w walkach i rewolucji rosyjskiej, mieli reprezentować trofea zdobyte w walkach na froncie, które skończyły się dla Anglików haniebnem niepowodzeniem. Ale pocóż ich było ciągnąć do Indyj? W jakim celu potrzebna była ta demonstracja? Dlaczego nie zabrano wszystkich dwustu, ale poprzestano na pięciu tuzinach najniewinniejszych? Widocznie określono,



że dla reprezentacji potrzeba było 60-ciu przestępców i według umowy dostawiono ich co do jednego.

Jak się okazało, stosunki i protekcje odgrywały także rolę w losie aresztowanych.

Bogatego kupca Alijewa i Ormianina Arunowa, których przyprowadzono zakuty w nożne i ręczne kajdany i uważano za najniebezpieczniejszych, uwolniono i odesłano do Aschabadu z powrotem. Była więc jakaś niewidzialna głowa czy ręka, która wpływała na opinię Gordona i Ulotha przy kwalifikacji przestępców.

1-go października zbudzono nas o świcie i kazano przygotować się do podróży. Jak zwykle każdy rozkaz, potrzebny czy niepotrzebny, musiał być wykonany z pośpiechem, popędzano nas, nie dając możliwości zebrania jak należy naszych drobiazgów i derek, które trzeba było skutemi rękami zwinąć sznurem.

Wyprowadzono nas w pole i ustawiono po 10-ciu w rząd na pewnej odległości, pozwoliwszy wspaniałomyślnie usiąść na swoich zawiniątkach. Z ciekawością przyglądaliśmy się sobie, pierwszy raz widząc się wszyscy razem. Kowenko oczekujący do ostatniej chwili zaszczytnej nominacji siedział w pierwszym rzędzie. Okazało się, że w dowód uznania za okazane usługi zdjęto mu jedynie kajdany i częstowano panierosami, z których on jako niepalący nie korzystał i mógł tylko rozdawać swoim przyjaciołom.

Tomson, w bojowym rynsztunku, z otwartą pochwą od rewolweru i drepczącym mu po piętach pieskiem pokrytym peleryną, miał wygląd wyjątkowo triumfujący. Wydawał rozkazy, wymierzał odległości między naszymi rzędami, wyprostowywał linje naszych tobołków, na których siedzieliśmy, jednym słowem był czynny jak wódz przed stoczeniem bitwy.

Obejrzawszy wszystkie rzędy, podszedł do naszego, zwrócił się do Stumpa, który siedział z brzegu i oświadczył mu, że on będzie odpowiedzialny za sprawowanie się całego rzędu podczas drogi. Stump tak się tem przeraził, że stracił panowanie nad sobą i począł szlochać, zakrywwszy twarz rękami. Uspokajałem go jak mogłem, tłumacząc, że jest to tylko nowy manewr poskromiciela i nie może mieć żadnego praktycznego znaczenia. Trudno jednakże było uspokoić tego biedaka, który był już w zupełności opanowany i drżał przy każdym zbliżeniu się nowego pogromcy. Uspokoił się wkrótce trochę, widząc, że Tomson podchodzi kolejno do innych rzędów i widocznie mówi to samo każdemu siedzącemu z brzegu.

Za nimi siedział Arunow, któremu oznajmiono, że będzie uwolniony. Niedowierzał on jednak obietnicy, obawiając się, że pod tym pozorem poprowadzą go oddzielnie na stracenie. Biedak zmieniony był do niepoznania. Uspokajać go nie mogłem, bo nikt nie był pewien w tych warunkach, co za chwilę z nim samym stać się może, prosiłem go tylko, aby jeżeli powróci do Aschabadu, dał znać mojej rodzinie o moim losie. Przyrzekł solennie, lecz jak się później okazało, słowa nie dotrzymał. Ormianin ten, który sam cynicznie nazywał się bolszewikiem-żulikiem (szachrajem), okazał się ostatnim niegodziwcem. Dowiedzieliśmy się w przyszłości, że powróciwszy do Aschabadu, zjawił się on u żony Poznańczyka i chciał wyłudzić pieniądze, zaręczając, że ma możliwość przesłania ich jej mężowi, o którym przecież wiedział, że został wysłany do Indyj w niewiadomym kierunku. Był to jeden z typów ludzi-szakali, którzy żerowali w tych okropnych czasach bezkarnie.

Koło godz. 9-ej ujrzałem płócienne budy wozów zaprzężonych w czwórki koni i wjeżdżających na wzgó-



rze. Z uprząży i typu poznałem odrazu t. zw. „małakańskie furgony”.

Turkiestan był jednym z miejsc zsyłki sektantów z centralnej Rosji i najliczniejszą sektą, zsyłaną od wielu lat do tego kraju, byli małakanie, jedni z lepszych typów kolonistów, jakich posiadała Rosja. Trzeźwi, pracowici, potworzyli oni bogate kolonie. Zachowując religję i typ słowiański, stracili wszelką łączność ze swoją ojczyzną a władając doskonale wszystkimi miejscowymi narzeczami, zrosli się z miejscową ludnością. W tych stepowych miejscowościach, gdzie środkami komunikacji i przewozu są wyłącznie karawany wielbłądów i osłów, jedni małakanie zachowali przywieziony przed laty typ krytych, obciążniętych płótnem furgonów, na wzór tych, jakich zazwyczaj używają cyganie. Odwieczna konstrukcja takiego furgonu wymaga dla umocowania różnych jego części przeróżnych łańcuszków i łańcuchów, wskutek czego już zdaleka można poznać taki furgon po hałasie i brzęku, jaki wydaje podczas drogi.

Zobaczywszy furgony, które widocznie przypędzono z Turkiestanu, rude brody woźniców w rosyjskich kosoworotkach, nie wiedziałem co o tem myśleć.

Mieliśmy jechać do Indyj, niepodobna było jednak przypuścić, że dojedziemy tam na tych furgonach, należało więc znowu oczekiwać jakiejś niespodzianki.

Na komendę każdy rząd więźniów stawał, zabierał swoje tobołki i, brzęcząc kajdanami, zajmował kolejno furgony. My jako ostatni rząd pomieściliśmy się na ostatnim.

Zaledwie ruszyliśmy z miejsca, konie pierwszego furgonu spłoszyły się, poczęły się cofać, stawać dęba, nie chcąc iść naprzód. Woźnica sam jeden nie mógł sobie dać rady z nimi, a żołnierze konni i piesi stali bezradni, bojąc się podejść bliżej. Tomson znalazł na

to radykalny sposób, kazał wysiąść więźniom z tego furgonu i rozmieścić ich w pozostałych, poczem ruszyliśmy dalej, pozostawiwszy woźnicę z niespokojnymi końmi w polu, aby dawał sobie radę, jak umiał. W ten sposób do naszego furgonu przybył współtowarzysz zakuty jak i my w kajdany, Indus, o którego obecności do tej pory nic nie wiedzieliśmy. Przyjęliśmy go życzliwie. Jak się okazało, znał on Persję i drogę po której jechaliśmy, wskutek czego był cały czas źródłem wszelkich informacji dla nas. Na przodzie i ztyłu każdego furgonu usadowili się żołnierze z bronią w rękę, wszystkie zaś furgony otoczone zostały konnicą.

Tomson dosiadł rumaka. W bojowym rynsztunku, z rewolwerem gotowym do strzału, ze spuszczonej pod brodę paskiem od czapki miał wygląd groźny i wojowniczy. Na komendę zabłyśły w słońcu wydobyte szable i konwojujący nas żołnierze, starając się naśladować swojego dowódcę, jechali i maszerowali koło nas, obrzucając nas groźnymi spojrzeniami. Zabrzęczały łańcuchy u furgonów i ruszyliśmy naprzód, spuszczając się po pochyłości wzgórza w stronę Meszhedu.

Pomimo wszystkich udręczeń i niepewnego jak zawsze jutra, uważałem, że los nasz polepszył się. Mieliśmy możliwość oddychać świeżym powietrzem, oglądać okolicę, przytem wieziono nas, takiej wygody nikt się nie spodziewał. Jechaliśmy tą samą drogą, po której nas przyprowadzono, przez bezludne, wypalone od słońca pola i jak zwykle nie spotkaliśmy na naszej drodze żywej duszy.

Zbliżając się do miasta, ujrzelśmy zdaleka pod wysokim murem grupę ludzi. Byli to oczekujący na nasz przejazd Indusi, żołnierze załogi angielskiej, którzy z ciekawością przyglądali się niezwykłemu widowisku. Pomiędzy widzami poznałem twarze naszych starych przyjaciół, żegnających nas przyjaznymi gesta-



mi, na które, zachowując ostrożność, odpowiadałem za ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy i wzrokiem.

Mijając koszary, w których początkowo byliśmy więzieni, zatrzymaliśmy się. Z za rogu ukazał się na pysznym rumaku Uloth, a za nim w malowniczym stroju, powiewając wysoko wzniesionym na lancy sztandarem, sipaj. Naczelny ten wódz w towarzystwie nieodstępного sipaja z powiewającym sztandarem dokonał przeglądu naszej karawany, galopując wzdłuż furgonów, poczem rozkazał zdjąć z furgonu Arunowa i, posadziwszy go na nieosiodłanego konia, wyprawił w niewiadomym kierunku. Znalazłszy wszystko widocznie według swojej myśli, zawrócił konia, stanął frontem ze sztandarem przed pierwszym furgonem i skomenderował „marsz”.

Było już koło południa. Nastawał upalny, duszny dzień. Wolno po piaszczystej drodze, brzęcząc łańcuchami potoczyły się ciężkie furgony, naładowane wojennymi trofeami aschabadzkiej ekspedycji. 70-ciu zakutych w kajdany chorych i nawpół żywych niewolników miało gdzieś świadczyć o odwadze i energii uczestników tej wojennej wyprawy.

Jadący na przedzie Tomson przybierał postawę bajecznego wodza triumfatora, powracającego po zdobyciu stu miast i stu wsi, a w rzeczy samej można go było porównać do „Sontagsjägera”, który po nieudanym polowaniu obwiesza się kupioną na targu zwierzyną i oskubanem domowym ptactwem, aby imponować ulicznym gapiom. Dobroduszny, naiwny Tartaren był w porównaniu z nim bohaterem.

Ulica Meszhedu, po której posuwaliśmy się, była pusta. Wystraszona ludność, przyzwyczajona do brutalnego obchodzenia się wojsk cudzoziemskich, chowała się przy naszym zbliżeniu się. Można było jedynie przez szczeliny w murach zauważyć gdzie niegdzie cie-

kawe wystraszone twarze, przyglądające się naszemu pochodowi.

Minąwszy mury miejskie, wjechaliśmy między bogate winnice i pola warzywne, pokryte plantacjami melonów po obu stronach drogi. Właściciel jednego z ogrodów — z postawy i wyglądu jakiś zamożny, poważny „hadzi”, zbliżył się podczas naszego przejazdu do drogi, trzymając za rękę kilkoletniego synka, chcąc się przyjrzeć nieznanym furgonom. Jadący na przodzie Tomson, mijając go, zniecacka wymierzył mu raz spicrutą po twarzy. Pomimo bólu i przerażenia uderzony nie stracił panowania nad sobą, wyprostował się tylko, zasłonił sobą swojego synka i pozostał na miejscu, zmierzwszy napastnika dumnym i pogardliwym wzrokiem. Poczucie godności w postawie i zachowaniu się tego bezbronного syna Wschodu, skrzywdzonego przez uzbrojonego „rycerza”, mówiło wyraźnie, że w spotkaniu tem został pohańbiony oddalający się „rycerz”, a spokojny i nieustępujący kroku dumny „hadzi”, zasłaniający dziecko, odniósł triumf odwagi i poświęcenia.

Zrozumiałem teraz dlaczego podczas podróży, nawet w miejscowościach bardzo ożywionych, w bliskości miast i wsi nie spotkaliśmy miejscowej ludności. Wieśniacy na osiołkach, kupcy i podróżnicy, zauważywszy zdaleka zbliżający się oddział wojsk angielskich, uciekali z pośpiechem z drogi, kryjąc się w wąwozach i zaroślach, oglądając się trwożliwie poza siebie. Anglicy stosowali w tym kraju ten sam system, który zapewnia im panowanie w Indjach: pogardę i bezwzględność względem niższej rasy, o której sympatję nie dbają wcale.

Któż zna Wschód i mieszkańców Persji, ten zrozumie, że ślad spicruty na twarzy tego szanowanego „hadzi” nie zatrze się tak prędko i żyć będzie w pamięci



wielu pokoleń. Krzywdę wyrządzoną niewinnemu, zniewagę bezbronego uważa ten naród za największe przestępstwo, które często jako legenda przechodzi z pokolenia w pokolenie. Metody ujarzmania ludzi zapomocą okazywanej pogardy i bezwzględności, stosowane w Indjach przez Anglików, nie mogą mieć zastosowania w Persji, gdzie naród, dzięki specjalnym warunkom, pomimo despotycznego ustroju i nominalnie nieograniczonej władzy szacha, posiada wysoko rozwinięte poczucie godności osobistej i sprawiedliwości. Legendarnymi postaciami w podaniach perskich nie są wielcy wojownicy, ale sprawiedliwi sędziowie i jałmużnicy.

Pozwolę sobie przerwać w tem miejscu opis dalszej podróży i opowiedzieć scenę, której byłem kiedyś świadkiem podczas pobytu w Azerbejdżanie.

W październiku Mahometanie szyickiego obrządku obchodzą corocznie święto żałobne Aszura, jako pamiątkę męczeńskiej śmierci imama Husejna, potomków Omara. Po ukończeniu obrządków religijnych, które polegają na poście, umartwieniu, a w ostatnich dniach na biczowaniu się i krwawieniu skóry na głowach, t. zw. „Szach-sej Wah-sej“, następuje okres misteryj, rodzaj naszych jasełek, podczas których wyobrażane są sceny z walk kalifów dynastji Omajadów z Husejnem, według legend utrzymanych po dziś dzień w wyobraźni narodu.

Przebywałem w okolicy zamieszkałej przez ludność obrządku szyickiego i do usługi miałem chłopca Lezgina, który wyjątkowo należał do wyznawców tego obrządku.

Pewnego dnia odwiedzili mnie dwaj mieszkańcy najbliższej wsi i po wymianie uprzejmych powitań oświadczyli, iż przychodzą z prośbą o pożyczenie im kapelusza i czarnego ubrania. Byłem nieprzyjemnie

zdziwiony taką niezwykłą prośbą i chciałem naturalnie odmówić, ale z dalszej rozmowy wyjaśniło się, że kostjum ten jest potrzebny na przedstawienie, które ma się odbyć w meczecie, i że służący mój poinformował ich, iż posiadam takie ubranie, którego nie używam. Okazało się, że chodziło o stary frak i staromodny szapoklak, który leżał między niepotrzebnymi rzeczami. Naturalnie, że po takim wyjaśnieniu chętnie spełniłem ich prośbę, ofiarowując im na własność rzeczy, o które prosili. Przez wdzięczność zaproszono mnie na przedstawienie, z czego byłem bardzo rad, gdyż interesowało mnie to, w jakiej roli będzie występował aktor we fraku i szapoklaku. W umówiony dzień udałem się wieczorem konno do odległej o kilka kilometrów wsi, gdzie wprowadzono mnie do rzęsiście oświetlonego błyskawicznymi lampami meczetu, udekorowanego dywanami, lustrami i przeróżnymi świecidlami. Pod jedną ze ścian ustawione było wzniesienie, rodzaj sceny; na wzniesieniu stały trzy fotele, z których środkowy był wyższy i ozdobami przypominał tron. Widzowie, siedząc wschodnim zwyczajem na piętach, trzymali w ręku karabiny, dubeltówki i rewolwery i robili wrażenie przyczajonych napastników. Znalazłszy się w nocy sam jeden pośród takiej publiczności, byłem trochę zaniepokojony postawą widzów i zapytałem towarzyszącego mi, czy ta cała publiczność także będzie przyjmować udział w przedstawieniu. Otrzymałem uspokajające wyjaśnienie, że broń potrzebna jest przy powrocie do domów, ponieważ w tej wsi prawie każdy obywatel posiada swojego „duszmana” czyli wroga i w nocy nie może być pewnym, że nie uniknie napaści. Po tem wyjaśnieniu spokojnie oczekiwałem początku przedstawienia.

Otworzyły się wejściowe drzwi meczetu, przez które wkroczył orszak złożony z kilkunastu ludzi w



fantastycznych, starożytnych perskich kostjumach. Wszyscy byli uzbrojeni w krzywe szable. Na przodzie szedł wysokiego wzrostu mężczyzna, ucharakteryzowany, rzucający surowe, gniewne spojrzenia dokoła. Był to wódz Omajadów. Wszedł on na wzniesienie i po zajęciu miejsca środkowego na przygotowanym tronie począł przemawiać podniesionym głosem, namiętnie gestykulując. Po skończonej przemowie rozległy się za wejściowymi drzwiami odgłosy bębnów i talerzy i do meczetu wkroczyły dwie cudaczne postacie, z których jedna miała na sobie frak i szapoklak, a druga kraciaste spodnie, długi sięgający do kolan tużurek i kask płócienny. Jak się okazało, postacie te miały przedstawiać ciało dyplomatyczne, mianowicie: posłów Francji i Anglii. Oddawszy pokłon Omarowi, zajęli oni miejsca na podniesieniu obok niego na przygotowanych krzesłach. Siedząc obok kalifa, Francuz we fraku podpierał głowę ręką, jakby w zamyśleniu i od czasu do czasu spoglądał w stronę wejścia, Anglik zaś siedział nieruchomo i patrzył przed siebie, trzymając ręce skrzyżowane na piersi. Po chwili otworzyły się główne drzwi i rozpoczął się pochód jeńców. Szli okuci ze sznurami na szyjach starcy i młodzieńcy, których popędzano harapami i zmuszano padać na twarz przed kalifem; szły kobiety, pokryte czadrami, których twarze widać nie było, zawodząc i lamentując żalnym głosem. Podczas zbliżenia się każdej grupy kalif wstawał z tronu i wydawał wyroki, poczem uprowadzano jeńców na stronę. Na ostatku wprowadzono czterech małych chłopców, ze związanymi rękami, synów Imama Husejna. Przy zbliżeniu się ich kalif zapalał wielkim gniewem, zerwał się z tronu i donośnym głosem począł miotać przekleństwa. Żołnierze, konwojujący chłopców, schwycili ich za włosy i podnieśli

miecze. Pomimo całej prymitywności akcji odczułem tragizm tej okropnej sceny.

— Wah! Husejn!—rozległ się straszny jęk wśród widzów, który i mnie przejął zgrozą.

W chwili największego napięcia zrywa się z siedzenia poseł francuski, zeskakuje ze wzniesienia i, odtrąciwszy siepaczy z podniesionymi mieczami, zasłania sobą dzieci, poczem zwraca się z namiętną przemową do kalifa.

— Iachszi Frankistan! — rozlegają się głosy widzów, którym udziela się nastrój aktorów.

Słuchając przemowy posła, kalif rzuca gniewne spojrzenia, zwraca się, jakby szukając podtrzymania, do drugiego dyplomaty, który nie zmieniając pozy, zlekka potakuje głową; widząc wreszcie niewzruszoną postawę Francuza, pozwala mu zabrać i uprowadzić z sobą dzieci.

Skąd się wzięła ta nieprawdopodobna i historycznie fałszywa legenda, trudno odgadnąć, powstała ona naturalnie w późniejszych czasach. Charakterystycznym jednak jest w niej to, że w narodzie tak daleko stojącym od europejskiej kultury, czerpiącym wiadomości z legendarnych źródeł historii i nie odróżniającym prawie obcych narodowości, „Frankistan“ uważany jest za przedstawiciela szlachetności i sprawiedliwości w przeciwieństwie do „Inglistanu“. Kto wie, czy jakiś pojedynczy fakt powtarzany z ust do ust przez pokolenia nie wyrósł w potężną legendę, która głęboko utkwiała w pojęciach tego narodu.

Jechaliśmy szerokim gościńcem, prowadzącym na południe, między warzywnymi i owocowymi ogrodami. Staralem się umieścić jak najbliżej tylnego wylotu płóciennej budy, aby nacieszyć wzrok widokami natury, których od sześciu tygodni byłem pozbawiony. Ciężko naładowane furgony krok za krokiem posuwały się



naprzód, z szybkością nie więcej jak pięć kilometrów na godzinę. Zauważyłem, że spód furgonu naładowany był workami z jęczmieniem, co wskazywało, że woźnica wybrał się w daleką podróż, nie mogliśmy zasięgnąć od niego żadnych informacji, gdyż rozmowa z nim zabroniona była, jak zwykle, pod karą śmierci, a zresztą dla jej uniemożliwienia obok woźnicy siedział uzbrojony żołnierz.

Lepsze miejsca w głębi, pod budą, chroniące od promieni słonecznych, zajęli Stump, Wagner, Poznańczyk i Turmuren. Ja z Indusem siedzieliśmy na samym końcu wozu zagrodzonym ruchomą drabinką. Ponieważ w tej części furgonu worków z jęczmieniem nie było, ja siedziałem na swoim zawiniątku, biedny zaś Indus, nie mając z sobą żadnych rzeczy, podróżował, siedząc na własnych piętach, podskakując i trzęsąc się na deskach. Utrapieniem naszym był żołnierz, który obowiązany był siedzieć wtyle, między nami. Był to ów „tygrys”, o którym wspomniałem. Rozpychał się, kładł karabin w ten sposób obok siebie, że lufa uderzał nas w plecy, albo po nogach, przy każdym wstrząśnieniu furgonu. Widocznem było, że robił to z zadowoleniem i z zamiarem dokuczenia nam. Prawdziwą ulgą było dla nas, kiedy od czasu do czasu na rozkaz „tygrys” schodził z furgonu i maszerował obok, piechotą.

Korzystając z każdej chwili jego nieobecności, porozumiewaliśmy się z nowym naszym współtowarzyszem Indusem. Był to człowiek zamknięty w sobie i bardzo małomówny. Objął nam tylko, że pochodzi z centralnych Indyj i aresztowanym został w Meszhedzie, gdzie zajmował się zegarmistrzostwem. Za co go aresztowano i o co posądzono, nie wie, tak jak my. Myśląca i rozumna jego twarz, nacechowana spokojem i rezygnacją, wzbudzała we mnie ciekawość i sza-

cunek i dawała do poznania, iż mamy do czynienia nie ze zwykłym rzemieślnikiem. Podziwiałem wytrzymałość fizyczną tego wynędzniałego człowieka, który w okropnej pozie, siedząc skulony na piętach, odbywał podróż po wyboistej, pełnej kamieni drodze.

Przed zachodem słońca koło godz. 4-ej pp. wjechaliśmy na polankę. Żołnierze ustawili namioty, do których nas zaprowadzono, odłączywszy od nas na noc Indusa.

Tak przywykliśmy do nocnych, uciążliwych podróży, że przejazd ten uważaliśmy za przyjemny, urozmaicony spacer. Na drugi dzień o 6-ej rano wyruszyliśmy dalej. Dzień był, jak zwykle, upalny. Po ciężkiej, piaszczystej drodze koniska ledwo się wlokły. Przed wyjazdem dano nam po kubku herbaty z małym kawałkiem chleba, odczuwaliśmy więc głód i pragnienie, z niecierpliwością oczekując chwili, kiedy zatrzymamy się dla nakarmienia koni i otrzymania posiłku.

O godz. 1-ej pp. zatrzymaliśmy się we wsi, położonej koło samego gościńca. Poprowadzono nas na t. zw. majdan, plac, gdzie zatrzymują się karawany osłów i wielbłądów, pokryty grubą warstwą nawozu i kazano nam usiąść wzdłuż muru w ten sposób, że byliśmy twarzami zwrócenii w stronę palących promieni słońca. Niepodobieństwem było siedzieć i leżeć spokojnie, trzeba było wciąż zmieniać pozycję, aby nie dostać porażenia słonecznego.

Naprzeciw nas, z drugiej strony gościńca, w cieniu rozłożystych drzew ustawiono konie, furgony i żołnierzy, a dla Tomsona w oddali ustawiono oficcerski namiot, z którego można było obserwować cały nasz obóz.

Patrzyliśmy, jak małakanie, usadowiwszy się w cieniu drzew, nastawiali samowar, gotowali w ko-



tlach obiad, jak żołnierze induscy przyprawiali swoje przysmaki i oczekiwaliśmy, że i naszych kucharzy rozkują. Próżne były jednak nasze oczekiwania. Kucharze nasi leżeli w jednym rzędzie z nami zakuci. Domyśliliśmy się, że skazani zostaliśmy dzisiaj na głód. Po drugiej stronie gościńca, naprzeciwko nas, ciągnęły się mury zabudowań aułu, którego ulice, jak zwykle przy naszym zbliżeniu się, świeciły pustkami. W jednym tylko miejscu dzieci powłaziły na wyłom w murze i ciekawie się nam przyglądały. Tomson, wyszedłszy, z nieodłącznie towarzyszącym mu pieskiem, po śniadaniu z namiotu i ujrzawszy grupę dzieciaków, nabrał w kieszenie kamieni i, skradając się za furgonami, począł w nie rzucać. Widocznie umiejętnie celował, gdyż posłyszałem krzyki, płacz za murem, z którego dzieciaki w przestachu zeskakiwały, ratując się ucieczką. Przedstawiciele miejscowej ludności naturalnie nie śmieli interwenjować, triumf był zatem zupełny.

Tu dopiero dowiedziałem się, że między nami są jeszcze ciężko chorzy. Leżąc, ujrzałem, jak dwóch jeńców prowadziło na stronę trzeciego, zakutego, który sam nie był w stanie iść. Tomson długo przypatrywał się tej scenie, następnie podszedł do powracającego z groźną miną i kazał powiedzieć prawie nieprzytomnemu choremu, iż uważa go za symulanta i, jeżeli będzie nadal udawał chorego, zastrzeli go w drodze. Dla obserwacji kazał go umieścić osobno, na ostatnim furgonie, naładowanym namiotami i bagażem, nie posiadającym płóciennej budy, przez co chory wystawiony był podczas drogi na palące promienie słoneczne.

Po dwugodzinnem siedzeniu na słońcu o głodzie, doczekawszy się chwili, gdy furmani i żołnierze zjedli obiad, poczęliśmy się przygotowywać do dalszej drogi,

oczekując, że nareszcie nadejdzie czas, kiedy ukryjemy się pod płótna furgonów. Ale, jak się okazało, i tym razem omyliliśmy się. Ustawiono nas po czterech w rząd i na komendę ruszyliśmy piechotą pod górę po kamienistej, ciężkiej drodze. Tomson, mijając nas, zwrócił się do Stumpa i, ironizując, odezwał się: — Przechadzka dobrze podziiała na wasze zdrowie.

Odzwyczajeni od chodzenia, głodni, wycieńczeni, w podartych sandałach, raniąc sobie nogi, wlekliśmy się, popędzani kolbami przez żołnierzy, którzy pilnowali, aby nikt nie zostawał w tyle i aby zachowywano równe odstępny między rzędami.

Zapomnieliśmy już o głodzie i pragnęliśmy jedynie doczekać się tej szczęśliwej chwili, kiedy wsiądziemy znów na furgony. Jakże długimi wydawały nam się te kilka kilometrów wdrapywania się na górę po usłanej ostremi kamieniami drodze.

Zrozumiałem teraz, że podróż nasza będzie urozmaicona wciąż nowymi pomysłami i powzięłem wątpliwość, czy siły moje wystarczą do przebycia odległości, jaka nas oddziela od Indyj.

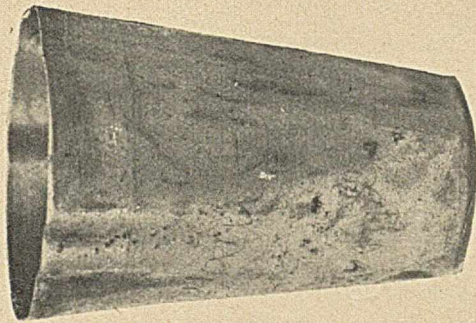
Wkrótce droga poczęła się zwężać. Obrachowana na karawany wielbłądów i osłów, idących zawsze sznurkiem, z trudnością mogła pomieścić czwórki koni, wobec tego szerokie furgony co chwila przechylały się natrafiając na zagłębienia i wzgórza. W jednym takim miejscu furgon przewrócił się na bok, przygniatając i kalecząc woźnicę.

Nastąpiło ogólne zamieszanie i tu dopiero przeknałem się o niedołęstwo i bezradności tego operetkowego wojska. Wszyscy żołnierze, Indusi, stali jak malowani dookoła przewróconego furgonu, nie wiedząc, jak się wziąć do pomocy i jak postawić furgon. Podniesiono go z pomocą reszty woźniców i żołnierzy





*Numer rejestracyjny autora  
podczas pobytu w niewoli*



*Kubek ofiarowany autorowi przez  
żołnierzy Hindusów w Meszhedzie*





jeńców, zakutych w kajdany, bez udziału tych wystrojonych lalek, które przypatrywały się wszystkiemu zdaleka.

Przewrócenie furgonu i spacer nasz na piechotę opóźniły podróż, która przeciągnęła się do zmierzchu, wskutek czego w dalszej drodze zbłądziłszy. Kręciliśmy długo w różne strony po polu, sipaje odbywali rekonesansy bez skutku i nareszcie, znalazłszy jakieś źródło, zatrzymaliśmy się. Zanim pozwolono nam wysiąść, Tomson zarządził nowe manewry z furgonami, które musiały zataczać koła i ustawiać się w przepisany porządku, co zajęło także немало czasu. Słońce już zaszło dawno, kiedy nareszcie pozwolono nam zjeść.

Tym razem kazano nam położyć się na ziemi, i oznajmiono, że nocować będziemy pod odkrytem niebem i namioty ustawione nie będą. Poczuliśmy więc już rozkładać nasze dery, kiedy nieoczekiwanie Tomson zmienił rozporządzenie i oświadczył, że jeżeli sami bez pomocy żołnierzy, którzy są zmęczeni, potrafimy ustawić namioty, to będzie nam pozwolone nocować w nich. Był to nowy sposób upokorzenia nas i zastosowania fizycznych udręczeń. Jeżeli żołnierze eskortujący nas byli zmęczeni i zasługiwali na uwzględnienie, to cóż można było sądzić o nas.

Dla jeńców-żołnierzy ustawienie namiotów nie przedstawiało wielkich trudności, poczęto więc wyciągać z furgonów namioty i ustawiać we wskazanych miejscach. Ze względu na skute ręce i ogólne zmęczenie niełatwa to była robota. Gdy wyczerpani po rozbiciu namiotów i całodziennej podróży o głodzie, wyciągnęliśmy się, skuto nas po czterech do siebie i dopiero po dwugodzinnem oczekiwaniu wśród zupełnej ciemności, panującej w namiotach, przyniesiono nam jedzenie. Będąc skuci razem, zmuszeni byliśmy ułożyć

się w półkole, głowami do siebie, aby szukając poomacku rzuconych wewnątrz namiotu koźlich gnatów, móc je ogryzać. Byliśmy podobni do stada szakali czy psów, żerujących około jednej ofiary.

Po tym drugim dniu podróży, ułożywszy się po kolacji do snu, doszedłem do tego stanu, że począłem żałować spokojnego, „systematycznego” życia w Meschedzie. Nie mogłem, pomimo zmęczenia, długo zasnąć. Będąc skutym z sąsiadem, można spać tylko na jednym boku, mianowicie na tym, z której strony skuta jest ręka. Ponieważ cały czas skuwany byłem z prawej strony, więc prawy bok miałem już odleżany. Tęgo wieczoru, długo leżąc i nie śpiąc, poczułem, że kajdany jakoś luźno trzymają się na mojej prawej ręce. Począłem je próbować i po pewnym czasie, stuliwszy wychudłą dłoń, z niewielkim wysiłkiem zsunąłem je.

Trudno opisać uczucia, jakiego dznałem, mając obie ręce wolne. Cieszyłem się jak dziecko, nie dbając o to, że narażam się na wielkie niebezpieczeństwo wrazie zauważenia tego, co się stało, przez stojącego u wejścia do namiotu żołnierza. Korzystając z tego, że w namiocie panował zupełny mrok, wykonywałem, leżąc, różne ruchy, aby nacieszyć się chwilową swobodą, poczem okryłem się cały i obróciłem się na lewy bok, na którym od dłuższego czasu nie spałem. Bałem się zasnąć mocno, aby nie przespać do świtu i nie być schwytanym na gorącym uczynku, drzemałem tylko, walcząc ze snem. Nacieszywszy się dosyta swobodą, naciągnąłem klamrę na nowo i zasnąłem, mając prawą rękę wyciągniętą w stronę skutego ze mną Wagnera.

Na drugi dzień zbudzono nas o 3-ej rano. Popędzani, jak zwykle, przez żołnierzy, zmuszeni byliśmy pozwijać i naładować na furgon ciężkie namioty. Od-tąd już ta czynność była stale naszym obowiązkiem.



Ruszyliśmy dalej na południe. Posuwaliśmy się wśród górzystej miejscowości i wąwozów, jak zwykle nie spotykając nikogo na swojej drodze. Koło południa charakter okolicy zupełnie się zmienił. Zdala, po obu stronach drogi piętrzyły się nagie, alabastrowe skały, mieniające się różowymi odcieniami w promieniach słońca. Jedynie widniejące zdala szczeliny i urwiska pokryte były zielenią, a niekiedy nawet na samych szczytach wzgórz wznosiły się wyniosłe drzewa, wyrosłe tu dzięki jakimś ukrytym źródłom. Bezwodne, wypalone od słońca doliny smutnie odbijały od tych malowniczych widoków. Dla odpoczynku zatrzymaliśmy się w bliskości jakiegoś biednego aułu. Nakarmiono konie i żołnierzy i ruszyliśmy dalej. Podróż i świeże powietrze zaostrzyły nasze apetyty i poczęliśmy odczuwać dokuczliwy głód, nie jedząc po dwanaście godzin na dobę. Doszliśmy do tego, że poczęliśmy wydobywać z dziur, porobionych w workach, jęczmień przeznaczony dla koni i gryząc go, oszukiwaliśmy apetyt. Minąwszy wzgórze, wjechaliśmy w obszerną dolinę, na której zdala widniały gdzieś niegdzie zadrzewienia aułów. Na spotkanie nasze, po skręcającej w tym miejscu na prawo drodze zbliżała się jakaś kawalkada. Na przodzie jechał konno, jak można było przypuścić, jakiś majętny właściciel posiadłości Pers, za nim dwie zakryte bogatemi jedwabnymi czadrami kobiety na odświętnie przybranych osłach, obok których szli pieszo nukierzy (słudzy). Kobiety w Persji opuszczają dom bardzo rzadko, był to zatem widocznie jakiś uroczysty weselny wyjazd.

Nie przewidywał dumny „hadzi”, co go spotka na jego własnej ziemi od nieoczekiwanych gości i śmiało kierował się w stronę naszej karawany, chcąc ją wyminąć. Nie zdążył jednak zbliżyć się na pięćdziesiąt kroków, kiedy na komendę Tomsona rzucili się konni

sipaje i poczęli okładać samego „hadzi” oraz jego służki kolbami. Wystraszeni podróżnicy zaczęli w panice uciekać, przerażone osły poniosły w różne strony krzyżące kobiety, pobity Pers spadł z konia, a nukierzy rozpięchli się po stepie.

Dzika ta scena wzburzyła mnie do głębi. Poczuję jakiś upokarzający wstyd za zachowanie się w tym spokojnym kraju przedstawicieli kultury, do której i ja się przecież zaliczałem.

Po naszym przejeździe obserwowałem, siedząc z tyłu furgonu, jak rozpędzona rodzina nawoływała się zdaleka i, zebrawszy się razem, stała jakiś czas w miejscu, widocznie naradzając się, co dalej począć i jak się ratować. Wreszcie wszyscy ruszyli gdzieś w step, nie chcąc wracać na drogę, po której przedtem jechali.

O zmroku zatrzymaliśmy się na nocleg, ustawiliśmy namioty, skuto nas i znowu ogryzaliśmy pociemku kości, leżąc zwrócenii głowami do siebie. Ja zaryzykowałem i spałem bez kajdan na prawej ręce, przywiązawszy sobie klamrę od kajdan sznurem do ręki, aby, w razie alarmu móc ją szybko odszukać i wciągnąć.

O czwartej rano, po herbacie wyruszyliśmy dalej. Okolica stawała się coraz bardziej zamieszkała i pokryta roślinnością. Przed zachodem słońca zbliżyliśmy się do dużego handlowego miasta, Turbetu, położonego w bliskości granicy Afganistanu. Przy zbliżeniu się do niego Tomson ruszył naprzód galopem i zniknął nam z oczu. Wjechaliśmy w uliczkę miasta tak wąską, że osie furgonów dotykały prawie do murów. Trzeba było wypręgać boczne pary koni, gdyż nie mieściły się obok siebie. Zawróciwszy w prawo, natrafiliśmy na mostek, zbudowany jak zwykle z cienkich okrągłaków, który załamał się pod ciężkim furgonem.

Nastąpiło ogólne zamieszanie. Furgon na mostku zagroził drogę innym i wszystkie stanęły, nie mogąc



ani posuwać się naprzód, ani zawrócić. Małakanie, wiedząc, że ich nikt oprócz nas nie rozumie, klęli po rosyjsku na czem świat stoi. Kazano nam wysiąść i poprowadzono nas po kładkach przerzuconych przez rowy z wodą do jakiegoś ogrodu owocowego. Staliśmy grupami, otoczeni przez żołnierzy, nie zdając sobie sprawy, gdzie i jak rozłożymy się na nocleg, wobec tego, że furgony z namiotami i rzeczami pozostały w wąskiej uliczce, nie mogąc się ruszyć ani wtył, ani naprzód.

Z za drzew ukazywały się głowy nieznanych nam angielskich oficerów, którzy ciekawie się nam przyglądali. Tomson znikł nam z oczu. Po półgodzinnem oczekiwaniu zjawił się on z miną skwaszoną i groźną i kazał nam wracać piechotą zpowrotem za miasto. Widocznie doznał on niegościnnego przyjęcia od miejscowych władz kwaterującej tam załogi. Wróciliśmy za miasto i po przybyciu furgonów, które z trudem wydobły się z pułapki, w jaką wpadły dzięki gapiostwu i niezaradności komendy, ustawiliśmy namioty.

Zajęło to tyle czasu, iż nadzieja ogryzienia kości jeszcze za dnia spełzła na niczem. Zanim furgony wydobły się z matni, zanim kucharze rozłożyli ogień, nastąpiła noc i koło godziny 10 wieczorem rzucono nam jadło do ciemnych namiotów. Tu pierwszy raz nie dostaliśmy chleba, bez którego trudno było przełknąć wstrętą koźlinę. Poczułem taki upadek sił, że pomimo zmęczenia nie mogłem zasnąć i zacząłem wątpić w możliwość dojechania w tych warunkach do Indyj.

Trudno było uwierzyć, aby w Turbecie, handlowem mieście, zabrakło chleba. Jeżeli odmówiono go w obozie angielskim, który tam kwaterował, to można było go dostać u miejscowych mieszkańców, z którymi się nie ceremonjowano, czego mieliśmy dowody. Karmić nas w ten sposób, wiedząc, że wyjeżdżaliśmy

z Meszhedu chorzy, było wprost wyrafinowanym przestępstwem. Ciężko chorzy skazani byli bezwzględnie na śmierć, którą też w krótkim czasie zaczęła zabierać swe ofiary.

O wschodzie słońca, na drugi dzień, t. j. 6 września, wsiedliśmy do furgonów. Przyprawdzono nowych pasażerów, mianowicie kozy, które niezwiązane porozmieszczano w furgonach, po kilka w każdym. Niespokojni ci czworonożni pasażerowie dawali nam się we znaki, wrywając się i depcząc nam po nogach, co musieliśmy znosić w milczeniu i co stawało się nową udręką podczas drogi. Kozы te przeznaczone były na mięso dla nas, nie wzięto jednak dla nich pożywienia, jechały więc głodne i niepozone. W ciągu kilkodniowej podróży zabijano je nawpół żywe i wychudłe jak szkielety.

Tym razem przed wyruszeniem w dalszą drogę żołnierze wykonali jakieś specjalne manewry. Sipaje wydobyli karabinki z pochw zwieszających się u siodła i trzymali je w pogotowiu do strzału. Ruszyliśmy otoczeni zwartym szeregiem konnych i pieszych żołnierzy, nie zdając sobie sprawy, czym zostały wywołane te nadzwyczajne środki ostrożności.

Minąwszy kilka ulic, wjechaliśmy w krytą galerję, typowy perski „bazar”. Była to wąska ulica, pokryta drewnianym daszkiem chroniącym od deszczu i słońca. Po obu jej stronach ciągnęły się otwarte, bez drzwi, sklepy. Szerokie nasze furgony z trudnością mieściły się w tej galerji. Wszystko co żyło, uciekało przed nami, kryjąc się w sklepach. Kupcy, siedzący zazwyczaj u wejść, chowali się w głębi, pozostawiając na los opatrności towary, leżące na odkrytych ladach. Sipaje, grożąc bronią, bili kolbami tych, co nie zdążyli odskoczyć na dalszą odległość.



Nasz furgon, wiozący więźniów w perskich kostjumach, zwracał powszechną uwagę. Przyglądano nam się z szeroko otwartymi oczami i przerażeniem na twarzach, widząc tyłu zakutych w kajdany ludzi.

Z krytej galerji wyjechaliśmy na szeroką ulicę i minęliśmy jakiś wysoki murowany budynek, z oknami, wychodzącymi na ulicę, mający zewnątrz europejski wygląd. Przed budynkiem tym stał niewielki oddział perskiego wojska z armatą.

Niepodobieństwem było przypuścić, żeby wogóle regularne wojsko perskie mogło wzbudzić jakąś obawę w Anglikach; w tej części Persji Anglicy byli zupełnymi panami położenia, Persowie byli zupełnie steryzowani i o żadnej dywersji nie mogło być mowy.

Parada z nabitą bronią miała jedynie teatralny charakter i na wypadek prawdziwego niebezpieczeństwa nie przydałaby się na nic.

Ale cały komizm tej groźnej parady okazał się dopiero po wydostaniu się za miasto, kiedy Tomson, zdecydowawszy, że niebezpieczeństwo minęło, rozkazał wyładować i schować karabiny. Okazało się, że komenda nie mogła być w całości wykonana, ponieważ karabiny były nienabite, sipaje zapomnieli do nich włożyć naboje i paradowali z nienabitą bronią. Nastąpiła konsternacja, dowództwo miało głupią minę, zaperzony Sułtan wymachiwał trzcina, gestykulował, pluł, groził i skończyło się na tem, że za karę kazano roztargnionym sipajom zsiąść z koni i maszerować piechotą. Nietylko w tym wypadku, ale podczas całej drogi, żołnierze Indusi wzbudzali śmiech i żarty ze strony swych kolegów po fachu, jeńców, wykazując coraz to nowe nieprawdopodobne przejawy niedołęstwa podczas pełnienia swoich służbowych obowiązków. Tak na przykład, siedząc na furgonach, pilnując nas, zasypiali, porzucając obok siebie karabin, którego lufa pod-

skakiwała i tarła się o koła furgonu. Wyruszając o świcie w drogę, ponieważ ranki były chłodne, obwiązywali sobie nos i usta kolorowymi jedwabnymi chusteczkami, a metalowe okucie łożyska karabinu obwiązywali gałgankami dla zabezpieczenia dłoni od chłodu. Była to ta sama piechota, która wybierała się do Moskwy. Trudno było sobie wyobrazić, jaką wartość takie wojsko przedstawiałoby w razie wysłania go na prawdziwą wojnę tam, gdzie od każdego żołnierza wymagana jest przede wszystkim wytrzymałość i zahartowanie fizyczne. Mimowoli zastanawiałem się nad tem, wielu z tych zuchów dojechałoby do Indyj, gdybyśmy z nimi zmienili swoje role.

Z Turbetu skierowaliśmy się do Khaf, starożytnej perskiej fortecy, odległej od niego o 150 kilometrów. Droga ta początkowo prowadziła przez bezwodny step, następnie zaś wśród zaludnionej okolicy i dolin o bogatej roślinności.

Jak wszędzie w Persji, tak i w tych miejscowościach rzadkością jest drzewo opałowe, wskutek zupełnego braku lasów. Ludność miejscowa używa na opał mieszanego ze słomą bydlęcego nawozu. Oddział nasz rekwirował po drodze drzewo przemocą, co wywoływało w niektórych miejscowościach opór i zbrojną interwencję. Sceny te odbywały się zdala od naszego obozowiska, nie byłem więc w stanie zbliżyć się do obserwacji.

Ani się domyślał Tomson, jaką wyrządził nam przysługę, pomieszczając z nami w jednym furgonie Mukurełę, który nas o wszystkim informował. Bez niego bardzo wiele szczegółów podróży uszłoby z pod naszej uwagi, a przede wszystkim nigdy nie moglibyśmy się zorientować, gdzie się znajdujemy i dokąd się kierujemy.



O godz. 9 rano zatrzymaliśmy się koło jakiegoś perskiego, otoczonego wysokim murem, posterunku, zajętego przez oddział wojsk angielskich. Przed wielką bramą wjazdową stali zgromadzeni oficerowie i żołnierze, którzy przyglądali nam się z ciekawością. Nas pozostawiono na wozach, jedynie Tomson wysiadł dla przywitania się z kolegami.

Podczas pogawędki Tomsona z oficerami załogi wypadł z bramy nieosiodłany koń i rozproszył całą grupę oficerów i żołnierzy. Wszyscy kawalerzyści rozpierzchli się w strachu, chowając się za grube pnie rozłożystych drzew, okalających mury. Zgrabny, rasowy siwek, najeżywszy grzywę i podniósłszy ogon, chrapał i brykał bezkarnie, widząc, że nikt do niego zbliżyć się nie śmie. Wkońcu pogalopował w step.

Zaledwie minęliśmy posterunek, usłyszeliśmy komendę „stanąć”. Widocznem było, że w jednym z ostatnich furgonów zaszedł jakiś wypadek. Zatrzymaliśmy się, z niepokojem oczekując na wiadomości; po chwili Mukurela objaśnił nam, że nieszczęśliwy chory żołnierz, którego Tomson podejrzewał o udawanie choroby, grożąc zastrzeleniem, zakończył życie. Wieść ta momentalnie obiegła wszystkie furgony, pomimo zakazu porozumiewania się i czujności straży. Siedzieliśmy, wpatrując się w stronę ostatniego furgonu, w oczekiwaniu, że pozwolone nam będzie uczcić zwłoki współtowarzysza niedoli przez oddanie mu ostatniej usługi i odprowadzenie go na miejsce wiecznego spoczynku, którego nikt nigdy w życiu więcej nie odwiedzi. Nadzieja nasza jednak okazała się płonną. Zawinięto zwłoki w dery, zawezwano czterech jeńców, t. j. tyłu, wielu potrzeba było do wykopania mogiły i przeniesienia ciała i zakopano je. Nie mogliśmy nawet wzrokiem zaprowadzić zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku, gdyż mogiła jakby naumyślnie została wy-

kopana według rozkazu Tomsona za pagórkiem, który zasłaniał ją przed nami. Smutny ten obrządek zakończony został niesmaczną farsą. Na dany rozkaz czterech żołnierzy wystrzeliło, lecz nie umiając dobrze strzelać, zrobili to nierównocześnie, tak że każdy z czterech strzałów rozległ się oddzielnie.

Padła więc pierwsza ofiara okrutnego obchodzenia się z nami i każdy z nas musiał być przygotowany, że go podobny los spotka. Tomson powracał z uroczystą miną, może zadowolony z tego, iż nareszcie mógł skomenderować „ognia” i usłyszeć strzały, a na oswobodzone przez zmarłego miejsce kazał położyć drugiego chorego, aby widocznie ulżyć mu przeniesienie się do wieczności, poczem ruszyliśmy dalej.

W drodze zabrakło nam chleba, zamiast którego dostaliśmy po garści okruszków, które wsypaliśmy rękami do ust. Następnego dnia poczęto przygotowywać placki z mąki i wody bez soli, które okazały się napół surowe i których nawet z głodu jeść było niepodobna.

Ustawianie namiotów wieczorem, zwijanie i ładowanie ich przy odjeździe o wschodzie słońca, oczekiwanie na jądło do późnej nocy skracало czas snu i wypoczynku i wyczerpywało siły. Przebywając w drodze od świtu do zachodu słońca bez posiłku, oczekiwaliśmy jak zgłodniałe zwierzęta tych koźlich gnatów, które nam rzucano wieczorem do namiotu.

Każde nasze usiłowanie w kierunku ulżenia swojemu położeniu było zauważone i natychmiast paraliżowane.

Miejsce na ustawianie namiotów wybierał Tomson i jakby umyślnie często wyznaczał je na pochyłości. Ponieważ zmuszeni byliśmy leżeć stopami do siebie, zatem często połowa nas leżała głowami nadół. Chcąc pomóc sobie w tych wypadkach, staraliśmy się



podkładać pod głowę kamienie, zbierając je dookoła namiotu, ale zabroniono nam i tego. Robiliśmy to skrycie, zbierając kamienie podczas ustawiania namiotów i rzucając je do środka. To znowu wywoływało spory, gdyż zajmując miejsca w namiotach, każdy starał się udowodnić, że to jego kamień i odebrać go sąsiadowi. W ten sposób coraz silniej poczęły się w nas rozwijać zwierzęce instynkty w nieustannej walce o ten haniebny byt. Zatracaliśmy powoli ludzkie cechy, myśląc jedynie o zaspokojeniu swych potrzeb i ulżeniu cierpień fizycznych, które odczuwaliśmy coraz dotkliwiej.

Coraz lżej schodziły mi z ręki kajdany, czułem, że chudnę i siły coraz bardziej mnie opuszczają. Zdawałem sobie sprawę, że w tych warunkach, mając do przebycia kilka tysięcy kilometrów, zaś dziennie przebywając po czterdzieści kilometrów, najsilniejszy organizm zostanie zrujnowany. Budząc się, z dnia na dzień oczekiwałem jakichś widocznych objawów choroby i ten nerwowy stan jeszcze bardziej mnie osłabiał.

10-go października poczęliśmy zbliżać się do fortecy Khaf. Zboczywszy z gościńca, widocznie w celu, aby ominąć miasto, poczęliśmy krążyć po polach i wkońcu straciliśmy orientację. Sipaje na komendę pogalopowali w kierunku miasta, aby odszukać drogę, po której furgony mogłyby wjechać do fortecy. Po pewnej chwili przygalopował jeden z nich — i kazał zawrócić na prawo. Grunt był tak miękki, że konie ledwo mogły uciągnąć ciężkie furgony. Wlekliśmy się we wskazanym kierunku dobrą godzinę. Wreszcie stanęliśmy nad brzegiem stromego wąwozu, który przebyć było niepodobna. Poczęły się kłótnie i sprzeczki co dalej robić. W trakcie obsadzania sposobu przebycia niespodziewanych przeszkód, przygalopował drugi

sipaj, z przeciwnej strony, oznajmiając, że znaleźli drogę. Rozirytowani woźnice, klnąc, zawrócili furgony i powlekli się zpowrotem po ciężkiej drodze, aż znów zatrzymali się nad głębokim strumieniem, którego przebyć było niepodobna, znowu rozpoczęły się sprzeczki i narady, jak dostać się do fortecy, która widniała na odległości paru kilometrów. Po kilku takich nieudanych rekonesansach, zrezygnowawszy z dalszych prób, zesłiśmy z wozów i piechotą przepawiliśmy się przez wodę, a furgony z wielkim trudem przepawiono odnalazłszy mieliznę. Przebywszy strumień, wdrapaliśmy się na polanę, która poprowadziła nas ku wysokim murom fortecy.

Fortece, które spotykaliśmy podczas naszej podróży, nie zasługują właściwie na tę nazwę w znaczeniu współczesnem. Budowane one były w odległych czasach, kiedy sztuka zdobywania fortec polegała na wdrapywaniu się na mury i rozbijaniu ich taranami i kolubrynami. Fortyfikacje, chroniące przed napadem nieprzyjaciela, stanowiły jedynie rowy i wysokie, grube mury, za którymi ukrywała się okoliczna ludność podczas napadu wroga.

Wjeżdżaliśmy w szerokie wrota, stojące dziś otworem, które kiedyś widocznie były zamykane ciężkimi podwojami i zabarykadowywane. Przez wrota te zjeżdżało się na obszerny plac, dookoła którego widniały zabudowania, w głębi zaś wąska ulica prowadziła dalej do miasta.

Przy wjeździe powtórzyła się znowu taka sama scena, jaka miała miejsce przy wyjeździe z Meszhedu. Przez plac zmierzał w kierunku bramy jakiś zamożny kupiec konno. Jadący na przodzie Tomson, mijając go, uderzył go w twarz szpicrutą, kiedy zaś kupiec zasłonił się, Tomson powtórzył uderzenie. Wystraszony Pers zawrócił konia i ratował się ucieczką w stronę



miasta. Widocznie bicie zbliżających się bezbronnych mieszkańców nie było pojedynczym faktem, wypływającym ze złego humoru, ale systemem poskramiania i podnoszeniem prestiżu przedstawicieli wyższej kultury i siły wśród niższych ras.

Rozłożyliśmy namioty na placu fortecznym, gdzie przenocowaliśmy, jak zwykle skuci kajdanami po kilku.

W Khań kwaterował większy oddział konnicy wojsk angielskich, zapewne ze względu na bliskość granicy Afganistanu i bezludnej okolicy. Zatrzymaliśmy się tu na dłuższy odpoczynek, przebyliśmy dwie noce i dzień i dopiero 18-go października wyruszyliśmy w dalszą drogę. Jak już wspomniałem, nie mieliśmy tytoniu, pomimo tego, że przejeżdżaliśmy przez kraj, gdzie tytuń rośnie. Ponawiano prośby, aby pozwolono nam kupić tytoniu i znów otrzymaliśmy odpowiedź, że tytoniu w mieście niema. Wiedzieliśmy, że nas oszukiwano, gdyż niepodobieństwem było, aby w kraju, gdzie wszyscy palą, zabrakło tego artykułu pierwszej potrzeby, lecz protestować nie było możliwości, musieliśmy pogodzić się z losem.

W dzień wyjazdu Tomson zjawił się pośród naszych namiotów z woreczkiem i oświadczył, że udało mu się dostać trochę tytoniu, ale ponieważ tak mała ilość dla wszystkich nie wystarczy, przeto postanowił urządzić loteryę, i tytuń zostanie do podziału ten namiot, którego przedstawiciel wyciągnie szczęśliwy numer. Był to nowy sposób naigrawania się nad niewolnikami, nikt z nich jednakże tego nie rozumiał. Ze skwapliwością otoczyły go delegowane z namiotów szkielety, wyciągając wychudłe, okute ręce do czapki, w którą rzucone były losy. Śmiał się szyderyczym śmiechem Tomson, patrząc na tę scenę, uśmiechały się wynędzniałe twarze kandydatów do szczęścia, nie zda-

jąc sobie sprawy z ohydnej roli, jaką odegrali wobec swoich towarzyszy.

Szcześliwy zdobywca woreczka z triumfem kroczył do swego namiotu wśród posmutniałych twarzy zawiedzionych w swoich nadziejach towarzyszy, ku uciesze Tomsona i żołnierzy. Nikomu niestety nie przyszło na myśl, aby rozdać choćby w minimalnej ilości otrzymany tytuń między wszystkich współtowarzyszy i pokazać, że pozostaliśmy jednakże ludźmi, pomimo, że nas traktowano jak zwierzęta. Był to odpowiedni moment upokorzenia tego poskromiciela, z którego jednak nie skorzystano.

12-go października wyruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Kainu na południe. Z Khaf do Kainu nie ma stałego gościńca. Dwa te miasta oddzielone są bezwodną pustynią, która się ciągnie na południe wzdłuż granic Afganistanu do granicy Beludżystanu. Widocznie ze względu na trudności w orjentowaniu się w drodze zmieniono konwój na nowy, obeznany z miejscowością.

Pierwszą noc spędziliśmy u brzegu wyschłego łożyska rzeki. Mieliliśmy tu poddostatkiem kamieni, które zastępowały nam poduszki pod głowę. Pierwszy raz od czasu naszej podróży zauważyliśmy słupy telegraficzne. Była to linja przeprowadzona do Kainu i dalej do Birdżanu. Wzdłuż linji wytknięta była droga, widocznie w celach strategicznych, przez angielskie władze wojenne. Od czasu do czasu spotykaliśmy sterzące, pochylone, stare słupy telegraficzne, które żołnierze poczęli zbierać i ładować na furgony, jako materiał na opał. Dopomagała im w tem niewiasta, jadąca z nami w ostatnim parokonnym furgonie, która wyciągała mniejsze słupki i dźwigała je na ramieniu do swojego furgonu, co widocznie spodobało się bardzo Tomsonowi, towarzyszącemu jej.



Codziennie musieliśmy odbywać, popędzani przez konwój, higieniczny spacer po kilka kilometrów. Spotkaliśmy grupę angielskich oficerów, którzy nieomieszkalili nas sfotografować. Na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, które przebyliśmy w ciągu trzech dni, widzieliśmy mnóstwo wyschniętych drobnych łożysk, po których widocznie, podczas pory deszczowej, spływała woda. Łožyska tych strumyków właściwie można było nazwać rowkami, gdyż szerokość ich wynosiła najwyżej dwa metry przy jednometrowej głębokości. Przez każdy taki rowek ułożony był prymitywnej konstrukcji mostek drewniany na zwyczajnych balach. Słyszałem tyle o praktyczności urządzeń angielskich, iż nie mogłem wyjść z podziwu nad temi dziwołagami konstrukcyjnymi. Zamiast spuścić łagodnie brzegi do przejazdu na głębokość jednego metra, budowano mostki, sprowadzając na wielbłądach budulec, ceniony na wagę złota w tych miejscowościach. Przypomniał mi się opis góry Kalwarji Ignacego Krasickiego „miejsce Kaifaszowej ucieczki, most przez Cedron, a bez rzeczki”.

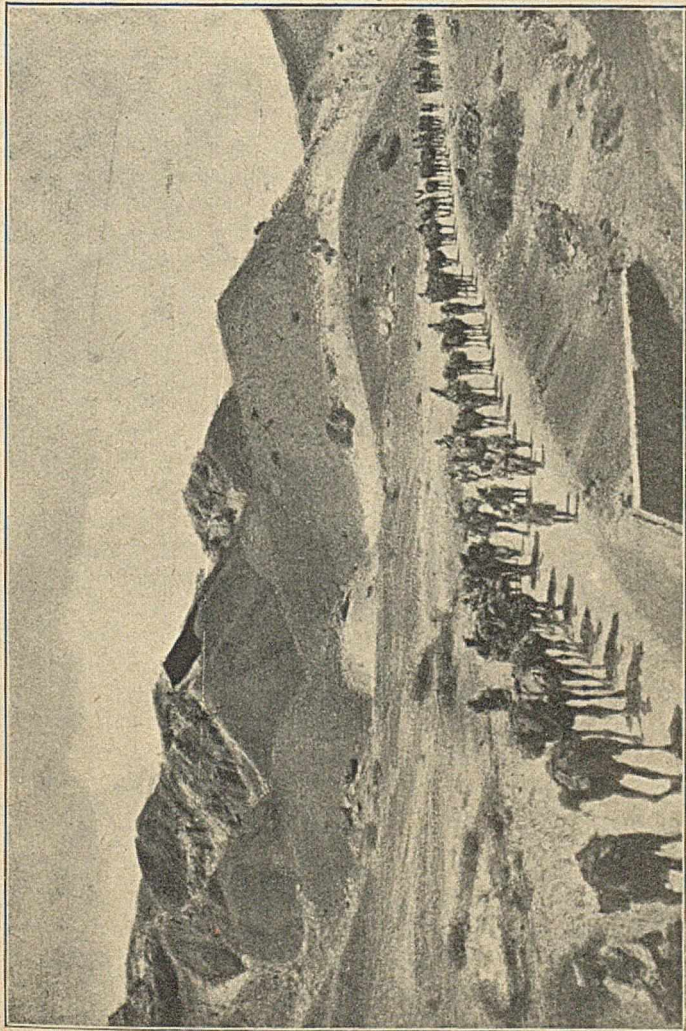
Minąwszy bezwodny step, poczęliśmy spuszczać się z przełęczy po spadzistej drodze, która skręcała na prawo. Zmęczone konie nie były w stanie hamować napierającego coraz silniej furgonu, wkońcu odmówiły posłuszeństwa i ruszyły naprzód galopem. Furgon, uderzywszy prawem kołem w sterczący kamień, przewrócił się w pędzie. Cudem prawie przewrócenie to skończyło się tylko na potłuczeniu, przywaliły nas worki z jęczmieniem, z pod których, mając skute ręce, z trudnością mogliśmy się wydobyć. Ja osobiście ucierpiałem najwięcej, gdyż wybiłem sobie dwa przednie zęby i odtąd nie byłem w stanie ogryzać koźlich kości. Potłuczeni i zdenerwowani, musieliśmy zebrać siły do podnoszenia furgonu, gdyż żołnierze, eskortujący

nas, nie umieli się wziąć do tego. Postawiwszy furgon, zeszlśmy z przełęczu piechotą i już na równej drodze zajęliśmy miejsca i ruszyliśmy dalej.

Zdała widniały zadrzewienia ogrodów, pośród których wznosiła się wysoka wieża, widocznie znów jakiejś starej fortecy. Wkrótce wjechaliśmy w ulice miasta, którego ludność jak zwykle uciekała przed nami, wyglądając z poza murów i stojąc na płaskich dachach sakli. Zatrzymaliśmy się na polance zdała od miejskich zabudowań. Ponieważ oczekiwała nas ciężka droga do przebycia przez górzystą miejscowość do Birdżanu, aby więc dać odpoczynek zmęczonym długą podróżą koniom, zatrzymaliśmy się tu na cały dzień. Okazało się, że kwateruje tu załoga wojsk angielskich, która tym razem przyjęła nas gościnnie. Prysłano nam w puszkach masło i konfitury z obozu i obdzielono wszystkie namioty tytuniem. Spędzenie dnia w namiotach pozwalało nam wypocząć i pokrzepić się snem, który w zwykłych warunkach trwał zaledwie kilka godzin, ze względu, o których już wspominałem. Każde takie zatrzymanie się wywoływało wielką radość wszystkich.

18-go października wyjechaliśmy, jak zwykle, o świcie. Droga prowadziła wśród ogrodów, plantacji tytoniu i melonów. Zatrzymaliśmy się nad strumieniem i otrzymaliśmy pozwolenie wykąpania się. Przeprowadzono nas grupami nad wodę i pozdejmowano z nas kajdany. Był to jakiś nadzwyczajny dowód dobrego humoru ze strony Tomsona, wywołany prawdopodobnie wpływem oficerów załogi, którzy przysłali nam masło i konfitury. Niedługo jednak cieszyliśmy się widokiem drzew i ogrodów. Oddaliwszy się od strumienia, wjechaliśmy w górzyste wąwozy, po których droga falisto miejscami podejmowała się w górę lub spuszczała nadół. Przy zjeżdżaniu zmęczone





*Karawana wielbłądów w Beludżystanie, obciążonych amunicją i prowiantem dla wojsk angielskich*





długą podróżą konie z trudnością wstrzymywały ciężar. Siedząc tyłem do koni, wychylałem od czasu do czasu głowę z poza budy, przyglądając się koniom, które coraz więcej poczynają się niecierpliwić. Z prawej strony wznosiła się pochyła ściana wzgórza, z lewej widniał porośnięty karłowatą roślinnością wąwóz.

Zjeżdżaliśmy z góry, zbliżając się do zakrętu na prawo, kiedy patrząc poza siebie zauważyłem, że lewy koń zamiast wstrzymywać dyszel, począł rzucać głową w prawo i w lewo, wspinać się i wierzcąc. Zrozumiałem, że czeka nas nieunikniona katastrofa, ale musiałem pozostać w furgonie, strzeżonym przez obok idącego żołnierza. Zanim zastanowiłem się, co mam dalej czynić, furgon potoczył się z szybkością wzdół. Furman widząc, że grozi mu zwałenie się w wąwóz, skierował gwałtownie konie w prawo, na pochyłość wzgórza, wskutek czego wywrócił z rozpędu furgon wpoprzek drogi. W ostatnim momencie udało mi się wyskoczyć z furgonu, wyciągnąwszy skute ręce przed siebie, i spadłem w wąwóz. Na szczęście w tym miejscu miał on pochyłą ścianę i pokaleczyłem sobie jedynie twarz i ręce o kamienie i krzaki. Siedzący w budzie współtowarzysze moi zostali wywrócenii razem z furgonem, lecz również dzięki szczęśliwemu trafowi wyszli cało, doznawszy jedynie ogólnych obrażeń ciała i wielkiego przestachu, który najwięcej odbił się na Stumpie. Po wydostaniu się wszystkich z pod budy, leżał on nieruchomo między workami z zamkniętymi oczyma, co nas początkowo bardzo przeraziło. Odprawiliśmy go na bok i umieścili na trawie. Siedział zmieniony i wybladły. Uśmiechnął się dopiero wtedy, gdy podszedł Tomson i wygłosił płaski żart, mianowicie, że jeżeli po dwukrotnem przewróceniu nic mu się nie stało, to może być pewny, iż zajędzie cało do Indyj. Przytem w przystępie dobrego humoru i zapewne

przez wspomnienie meszhedskiej poufałości Tomson ofiarował mu czarę wiski z własnej butelki. Co do losu innych, to nawet nie zapytał czy doznali jakich obrażeń, chociaż nie mógł nie widzieć pokrwawionych rąk i twarzy.

Pomogliśmy woźnicy przyprowadzić do porządku furgon i ruszyliśmy w dalszą drogę piechotą, w obawie nowej katastrofy przy zjeżdżaniu z pochyłości. Szliśmy kilka kilometrów, dopóki wąwóz nie wyprowadził nas na dolinę. Podczas maszerowania, pierwszy raz od wyjazdu naszego z Meszhedu, zawisła nad nami ciemna chmura i zaczął padać wielkimi kroplami deszcz. Początkowa radość z orzeźwiającego uczucia, jakiej doznawaliśmy, zmieniła się w niepokój. Zbliżała się chwila noclegu i wrazie dłuższego deszczu bylibyśmy zmuszeni w mokrych ubraniach spać na wilgotnej rozmiękłej ziemi, co groziło przeziębieniem i chorobą. Po raz pierwszy zastanowiłem się nad niebezpieczeństwem, jakie nam zagrażało wrazie nastania pory deszczowej w czasie drogi. Bezwątpienia podczas deszczów nie bylibyśmy w stanie przenieść trudów podróży i skazani bylibyśmy na zagładę. Co się tyczy mnie oświście, to do niepokoju o zdrowie dołączyła się jeszcze troska o mój kalendarz i z trudem sporządzane notatki, które deszcz i wilgoć zniszczyłyby doszczętu. Na szczęście los widocznie opiekował się nami, gdyż deszcz wkrótce ustał i odzież nasza poczęła wysychać.

Zanim ustawiliśmy namioty, rozpalona podczas dnia ziemia szybko poczęła wysychać, tak że rozłożwszy dery, nie odczuwaliśmy już wilgoci.

Po rozmieszczeniu nas w namiotach zauważyłem, że do namiotu Tomsona poprowadzono dwóch jeńców. Byli to młodzi chłopcy Rosjanie. Okazało się, że w namiocie odbywał się sąd nad nimi, a za tłumacza służył Kowenko.



Jak już wspominałem, żołnierze, naśladować swego dowódcę, obchodzili się z nami brutalnie. Jeden z bardziej dokuczliwych oskarżył owych chłopców o nieposłuszeństwo, które w rzeczywistości polegało na tem, iż chłopcy ci, zajmując w furgonie wskazane sobie miejsca, tem samem nie dawali żołnierzowi wygodnie rozpięrać się w furgonie. Tomson sprawował sąd z rewolwerem w ręku i nie uwzględnwszy tłumaczeń obwinionych, których nie można było posądzać o jakiś opór wobec uzbrojonego żołnierza, wydał wyrok, iż dalszą drogę będą oni odbywali stale ze sobą skuci. Gdyby choć już skuwano ich po zajęciu miejsc w furgonie, byłoby to jeszcze do zniesienia, ale ci biedacy zmuszeni byli jednocześnie wdrapywać się po jednym kole na furgon przy wsiadaniu i w ten sam sposób manewrować przy schodzeniu.

Pod wrażeniem wypadków dnia opanowały mnie dręczące myśli, i wieczorem, zdjawszy z prawej ręki kajdany, długo nie mogłem zasnąć. Zasnąłem dopiero nad ranem. Miałem jakiś dręczący sen: chciałem zawołać najmłodszego mojego syna, lecz nie pamiętałem jego imienia, natężyłem myśl napróżno i pod tem wrażeniem snu, nie zdając sobie sprawy z położenia, podniosłem się i wyszedłem przed namiot. Byłem narażony na niechybną śmierć z rąk wartownika, lecz na moje szczęście, stojący na warcie u naszego namiotu żołnierz drzemał i w pierwszej chwili nie spostrzegł mnie. W tym momencie obudził się Stump i widząc, że stoję przed namiotem, krzyknął na mnie. Oprzytomniałem, cofnąłem się, padłem na ziemię i począłem nakładać kajdany, które tym razem jakoś opornie wchodziły mi na rękę. Uporawszy się z niemi, leżałem wyczerpany wrażeniem grożącego mi przed chwilą niebezpieczeństwa, nie mogąc się uspokoić.

Po tym fakcie cały namiot był tak na mnie obu-

rzony, iż nie chciano słuchać nawet moich usprawiedliwień. Uważano mnie nieomal za przestępcę, który przez swoją lekkomyślność (!!) narażał wszystkich mieszkańców namiotu na gniew i zemstę Tomsona. Scena ta doreszty pogłębiła wzajemną naszą niechęć do siebie i odtąd już przez całą drogę czułem się samotny i przestawałem tylko ze swojemi myślami.

Na drugi dzień przed wyruszeniem w drogę Tomson przywołał Stumpa i polecił mu zakomunikować wszystkim jeńcom, iż Niemcy przegrali wojnę i został zawarty pokój. Nie mogłem wywnioskować, jak przyjęli tę wiadomość inni, nie zauważyłem bowiem zewnętrznych przejawów smutku czy zadowolenia wśród jeńców, którzy jak zwykle naładowawszy na furgony namioty, zajęli swoje miejsca.

W naszym furgonie, w którym panowała niemiecka orientacja, widać było przygnębienie. Najwięcej naturalnie odbiło się ono na Wagnerze, który początkowo nie chciał wierzyć w prawdę zakomunikowanej mu wiadomości. Zdawałem sobie sprawę, jak ciężko na duszy musiało być temu człowiekowi, kiedy do wszystkich cierpień fizycznych i moralnych dołączyła się jeszcze ta ostatnia przykrość. Rozmyślając nad świeżo usłyszaną wieścią, zastanawiałem się nad ewentualnymi skutkami tego dziejowego faktu. Przeczuwałem, że nadeszła decydująca chwila dla naszego odrodzenia i myśl o tem przejmowała mnie wielką radością, jednocześnie wszakże ogarniała mnie rozpacz, iż doczekałem się tego momentu w warunkach, które może nie pozwolą mi już powrócić do kraju. Jechałem smutny, nie mogąc przewyciężyć bolesnego uczucia. Patrząc na radosną twarz Tomsona, pomyślałem, iż przez ironję losu, może ja jeden z pośród jeńców podzielałem jego radość w tej chwili i myśl ta upokarzała mnie i gniewała.



Jechaliśmy po dobrej drodze i konie biegły zwa-  
wiej. Z powodu ostatniego wypadku przewrócenia się  
furgonu Tomson wydał rozporządzenie, aby furgony  
jechały w odstępach 50 metrów dla uniknięcia najeź-  
dzenia na siebie wrazie zatrzymania się jednego z nich.  
W ten sposób karawana nasza powinna była rozciągnąć  
się na długość 500 metrów. Nie wiem jak to rozporządzenie  
zostało przetłumaczone woźnicom, dość że w drodze  
furgony, rozstawione początkowo na przepisaną odległość,  
poczęły zbliżać się do siebie w zależności od biegu koni,  
co wywołało oryginalny incydent. Jadący na przednim  
furgonie, obok woźnicy, sierżant, spostrzegłszy doganiający  
go furgon, począł naglić woźnicę, aby popędzał konie,  
a gdy ten nie posłuchał, wyrwał mu z rąk lejce. Czując  
swoją wartość w stepie, właściciel furgonu zaprotestował  
energicznie i zeskończył na drogę, odmawiając  
dalszego kierowania końmi. Wszystkie furgony wskutek  
tego zatrzymały się i nastąpiło zamieszanie. Furmani  
ujęli się za swoim towarzyszem, wymyślając winowajcy,  
który spowodował konflikt. W innych warunkach śmiały  
małakanin prawdopodobnie ucierpiałby za to, że śmiał  
tak energicznie zaprotestować, ale w pustym stepie  
woźnice byli panami położenia. Należało więc sprawę  
załagodzić i przyznać mu rację. Sułtan po porozumieniu  
się z Tomsonem przywołał kłóćącego się z woźnicą  
sierżanta i począł mu coś tłumaczyć, widocznie  
namawiając go, aby ustąpił i zaniechał sprzeczeki.  
Ujrzelśmy wówczas nadzwyczajną scenę. Zaczarwiony  
od gniewu, rozindyczony sierżant wobec sułtana,  
żołnierzy i stojącego obok Tomsona odpiął cały  
swoje wojskowy rysz tunek, rzucił go wraz z  
bronią pod nogi sułtanowi, kopnął nogą,  
odwrócił się i rozpiął bluzę, pomaszerował  
naprzód, nie oglądając się. Oslupieliliśmy,  
patrzając na tę scenę. Sądziliśmy, że za podobny postę-

pek podczas pochodu, który przecież był tem samem, co służba na froncie, winowajca będzie na miejscu srogo ukarany.

Jakież było nasze zdziwienie, kiedy ujrzelśmy Tomsona zbliżającego się z jakimś dziwnie potulnym wyrazem twarzy. Odwołał on na bok sułtana, jakiś czas z nim rozmawiał, poczem spokojnie zawrócił w stronę ostatniego furgonu, w którym jechał. Sułtan zaś pozbierał leżącą na ziemi broń i amunicję i dogoniwszy sierżanta, począł go widocznie namawiać, aby się znów uzbroił i pełnił służbę. Przekonywanie to, połączone z gestykulacją, trwało dość długo, wkońcu jednakże obrażony sierżant dał się namówić, wziął do ręki broń i, niosąc cały rynsztunek w rękę, wszedł do następnego furgonu.

Patrząc na tę scenę, pomyślałem sobie, że nic podobnego nie widziałem nawet w żadnej operetce. Dopiero pobyt w Indjach i zaznajomienie się z organizacją wojsk kolonialnych dało mi możność zrozumienia takiej sytuacji.

Byliśmy już dwa dni w drodze. W miarę zbliżania się do Berzan okolica stawała się coraz bardziej górzystą. Posuwaliśmy się wciąż wąskimi wąwozami, nie widząc dalszej okolicy. Postanowiliśmy na pochyłościach schodzić z furgonów, aby uniknąć nieszczęścia przy zawsze możliwem nowem wywróceniu się furgonu. Uprzedzony o tem Tomson milczeniem wyraził zgodę na naszą prośbę.

Zauważywszy w jednym z niebezpiecznych miejsc niespokojne zachowanie się koni, w przewidywaniu katastrofy, poczęliśmy zeskakiwać z furgonu. Okazało się, że żołnierze nie byli o tem uprzedzeni i rzucili się na nas, wzniosłszy w górę karabiny. Prawdopodobnie scena ta skończyłaby się dla nas smutnie, gdyby nie to, że w tej samej chwili zdarzył się rzeczywiście nowy



wypadek. Dyszlowy koń, nie mogąc wstrzymać furgonu, upadł tak fatalnie, że znalazł się pod furgonem, został dotkliwie pokaleczony i po wyciągnięciu go ledwo trzymał się na nogach. Przywiązano go z boku nie zaprzęgając i wolno, noga za nogą, posuwaliśmy się wzdłuż wąwozu.

Była to godzina południowa. W powietrzu pawała cisza. Promienie słoneczne stawały się coraz dokuczliwsze. Jak już wspominałem, ja i Mukurela siedzieliśmy w tyle furgonu u wylotu płóciennej budy. Tytuń już się skończył, zostaliśmy więc bez jedynej pociechy, możliwości palenia. Ażeby oszukać pragnienie, trzymałem w zębach zimną fajkę, pociągając z niej od czasu do czasu, co wzbudzało złośliwy uśmiech w maszerującym obok furgonu „tygrysie“.

W odległości 20 może kroków jechał na pięknym gniadoszu sipaj o melancholijnej, zamyślonej twarzy. Z prawdziwą przyjemnością przyglądałem się zgrabnym ruchom konia i malowniczej postaci sipaja. Patrząc tak w zamyśleniu, po pewnym czasie zauważyłem, że sipaj nie spuszcza ze mnie swojego spokojnego, nacechowanego łagodnością wzroku. Oczy nasze spotkały się i odczułem, że jeździec spojrzeniem swem chce mi dać coś do zrozumienia. Opanował mnie jakiś niepokój i myśl moja poczęła pracować nad rozwiązaniem zagadki. Znużeni drogą i upałem współtowarzysze moi drzemali, nie wyłączając siedzącego obok mnie Mukureli.

Zacząłem obserwować sipaja. Wydostawszy worek z tytuniem, począł on wolno nabijać swoją fajkę. Zrobiwszy to, trzymał ją w zębach, nie zapalając, poczem wyjął garść tytoniu z woreczka i wsypał go do innego mniejszego. Czuję, że chce on zwrócić moją uwagę na swoje ruchy i nie odrywałem od niego wzroku. Nie rozumiałem jeszcze o co mu chodzi, ale czu-

łem jakąś łączność między nami i przeczuwałem, że coś ma się stać.

Wtem niespodziewanie czarny woreczek jak kula przeleciał nad moją głową. Rzucony był wprawna ręką, ale i ja nie zawiodłem zaufania. Pomimo skutych rąk schwyciłem go w powietrzu z taką zwinnością, że nawet siedzący obok mnie Mukurela, otworzywszy oczy na brzek moich kajdan, nie zauważył co się stało. Przyznam się, że ściskając go w dłoni doznałem silnego wzruszenia. Zdawałem sobie sprawę ze skutków, jakie mógł spowodować ten materialny dowód porozumiewania się z żołnierzami, które było wzbronione pod karą natychmiastowego rozstrzelania. Siedziałem jakiś czas nieruchomo, udając obojętność, niby zapatrzony w dal, aby uspić czujność maszerującego obok konwoju i przekonać się, że cała ta scena uszła uwagi otaczających. Uspokoiwszy się, wsunąłem woreczek do kieszeni i starałem się jedną ręką odplątać ściągający go mocno sznurek, poczem wysypałem tytuń, a woreczek schowałem głęboko między worki z jęczmieniem. Zatarłszy w ten sposób ślady przestępstwa, uspokoilem się i, czując się zupełnie bezpiecznym, nałożyłem fajkę i zapaliłem ją. Pierwszy zauważył dym z fajki Mukurela, pokazał z radości wszystkie zęby, błysnął radośnie oczami i krzyknął: „hop! hop!” — słowa, których się ode mnie w drodze nauczył. Podzieliłem się z nim tytunem, z którego on, przy pomocy kawałka gazety, skrzył papierosa i jechaliśmy dalej, puszczając kłęby dymu. Teraz cała uwaga moja była skupiona na tem, jakie wrażenie robi moja fajka na „tygrysie”, który przecież doskonale wiedział, że cierpimy już drugi dzień z powodu braku tytoniu.

Zobaczywszy nas palących, początkowo postawił on oczy w słup i począł coś do siebie bełkotać, czego ja nie rozumiałem, ale co wywołało uśmiech na twarzy



Mukureli. Obejrząwszy się wokoło, przebiegł na drugą stronę furgonu i wskazał na nas siedzącemu obok furmana żołnierzowi. Widocznie nie mógł się uspokoić i za wszelką cenę chciał dociec, skąd mieliśmy tytuń.

Ja udawałem zupełny spokój i starałem się nie zwracać na jego zachowanie się najmniejszej uwagi, co jeszcze bardziej go drażniło. Wkońcu jednak wpadł na ślad, gdyż zawrócił się, podszedł do konnego jeźdźca i począł coś mówić. Spokojna twarz młodego sipaja nie zmieniła swojego wyrazu. Milcząc, wyprostował się na siodle, obrzucił „tygrysa“ dumnym wzrokiem, trącił go nogą w plecy i wskazał mu ręką miejsce koło furgonu. Tak więc nic nie wskórawszy, wrócił tygrys na swoje miejsce i maszerował obok, obrzucając nas nienawistnym wzrokiem.

Dzieląc się ze współtowarzyszami tytuniem, niedaleko odbiegłem od prawdy, kiedy na zapytanie skąd go dostałem, odpowiedziałem: „z nieba”. Czarny woreczek po pewnym czasie wydobyłem z wielkim trudem z pośród worków i zachowałem go na pamiątkę.

Zbliżyliśmy się do wysokich, wznoszących się prawie prostopadle skał, wśród których prowadził wąski, nakształt sztucznie wykutego korytarza, wąwóz. U wejścia do wąwozu na komendę zatrzymaliśmy się. Zjawił się konno Tomson, który od pewnego czasu jechał wygodnie w ostatnim furgonie. Oddawszy wierzchowca do prowadzenia sipajom, począł wydawać jakieś rozkazy. Sipaje wydobyli karabinki i kilku z nich wyruszyło naprzód. Bezpośrednio za nimi wyruszył nasz furgon, za którym znów jechali w bojowym pogotowiu sipaje. Tomson i reszta furgonów pozostała w tyle, w odległości paruset metrów. Jak się okazało, znów robiliśmy przygotowania do spotkania się z jakimś niewidzialnym nieprzyjacielem. Wąwóz ten, zwężający się w niektórych miejscach do kilku metrów, o piętrzą-

cych się po obu stronach drogi prawie prostopadłych skałach, prowadził po krzywej linii i każdy zakręt mógł stanowić barykadę nie do przebycia. Jechaliśmy, jak w tunelu, wypatrując niewidzialnego wroga na wierzchołkach piętrzących się skał, zdając sobie sprawę, że stoczenie się niewielkiego nawet ich odłamku z tej wysokości groziło śmiercią każdemu podróżnikowi.

Minąwszy szczęśliwie wąwóz, zatrzymaliśmy się dla połączenia się z pozostałymi w tyle furgonami, poczem ruszyliśmy dalej. Pod wieczór spotkaliśmy mijający nas automobil. Jak się okazało, była to przednia straż jadącego wślad za nim jakiegoś generała. Tomson miał nową sposobność do pozwania: wysiadł z furgonu, spuścił pasek od czapki pod brodę, wysunął nawpół z futerału rewolwer i począł maszerować przed furgonami. Generał zatrzymał automobil, nie wysiadając, otrzymał odpowiednie wyjaśnienia dotyczące się nas i pojechał dalej. Podczas rozmowy Tomsona z generałem do jednego z furgonów podszedł jakiś człowiek, jadący pierwszym automobilem, w uniformie wojskowym, i począł rozmawiać z jeńcem Bekierem. Z tego powodu wynikł nowy incydent i nowa groźba zastrzelenia. Wystraszony Bekier napróżno tłumaczył się, że nie mógł nie odpowiadać na zapytania, sądził bowiem, że ma przed sobą oficera angielskiego, nie wiedział zaś, że był to tylko szofer. Te ciągłe groźby zastrzelenia, powtarzane przy każdej najmniejszej okazji, były widocznie rezultatem nagromadzonej przez drogę energii Tomsona, która szukała sposobności do wyładowania się i ktoś musiał nareszcie paść jej ofiarą.

Od Meszhedu towarzyszyły nam przez całą drogę dwa psy, które przyszły z Aschabadu z jeńcami; nieduża suczka Heksa i większy od niej, młody, nie mający jeszcze roku, pies. Heksa uważała za swych



panów dwóch jeńców, którzy, na jej nieszczęście, umieszczeni byli w różnych furgonach. Za nic nie chciała jechać z jednym z nich, czując się w obowiązku co chwila odwiedzać to jednego, to drugiego, by upewnić się, że każdy z nich jedzie. Wskutek czego nieustannie podczas drogi biegła tam i zpowrotem, między furgonami, w których jechali jej panowie. Przez całą drogę podziwiałem jej wytrzymałość i nadzwyczajne przywiązanie.

W drodze, zdaje się w Kaaf, przyłączył się do nas jakiś trzeci pies, który począł nam stale towarzyszyć i który na noclegach odwiedzał wszystkie namioty. Na tym psie Tomson postanowił wyładować swoją energję. Odwoławszy go na stronę, podczas drogi rzucił mu kawał chleba i, podszedłszy na parę kroków, zaczął do niego strzelać z rewolweru. Jak się okazało, nietęgi był z niego strzelec; przez długi czas, po wystrzeleniu wszystkich naboï, do naszych uszu dołatywał skowyt nieszczęśliwej ofiary. Z oddalającego się furgonu widziałem kłębiące się i podskakujące w przedśmiertelných konwulsjach ciało biednego psa, ofiary temperamentu okrutnego człowieka.

23-go października wydostaliśmy się na obszerną polanę i poczęliśmy zjeżdżać wdół po łagodnej pochyłości. Z prawej strony okalały dolinę niewysokie, pokryte zielenią wzgórza, u których stóp, w wąwozie, przytulił się niewielki, zasłonięty drzewami auł.

Jadąc w jego kierunku, mijaliśmy z lewej strony grzbiety wzgórza. Jadący konno Tomson, wydostawszy polową lunetę, począł przyglądać się okolicy i nagle dał rozkaz do ataku. Część sipajów pocwałowała pełnym galopem na lewo, na wzgórze, wdrapując się na ich grzbiety, część rozsypała się pò polach w prawo, harcując przez ogrody i winnice, w stronę widniejącego zdala aułu. Posuwaliśmy się odkrytą doliną,

gdzie na odległości kilku kilometrów można było wszystko obserwować dokładnie. Widząc galopujących sipajów oraz wojenne manipulacje z bronią otaczających nas pozostałych żołnierzy, byliśmy przekonani, że tym razem grozi nam poważne niebezpieczeństwo w postaci jakiegoś napadu. Oczekiwaliśmy z niepokojem pierwszych strzałów, ukrytego na wzgórzach nieprzyjaciela. Z ulgą ujrzelśmy, jak nasi sipaje, dosięgłszy szczytu wzgórz, do których zbliżaliśmy się, zatrzymali się w spokojnej postawie, tworząc malownicze sylwetki na tle obłoków, z tej więc strony nie groziło nam niebezpieczeństwo. Tymczasem z prawej strony galopujący przez ogrody sipaje staczali dziwną walkę bez użycia palnej broni. Jakieś postacie, którym zagradzano drogę, przy pomocy kolb i pałaszy, uciekały w stronę aułu. Sipaje starali się okrążyć je i wziąć do niewoli. Patrzyliśmy na tę walkę zdaleka, nie wiedząc, co o tem sądzić, i nie słysząc wcale strzałów. Nie zatrzymując się ani na chwilę, podążaliśmy wciąż w kierunku aułu i wkrótce usłyszeliśmy krzyki i nawoływania, w których wyraźnie można było odróżnić głosy kobiet. Ujechaliśmy jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy do jadącego na przodzie Tomsona przyprowadzono na arkanie dwie Persjanki z rozpuszczonymi włosami, w porozrywanych czadrach; na ich twarzach malowało się przerażenie. W oddali, na wzgórzu, rozległ się krzyk i lament mieszkańców aułu z powodu uprowadzenia ofiar, bezsilnych wobec zbrojnych. Kiedy Tomson dał znak, aby je puścić wolno, nieszczęśliwe kobiety, którym nogi widocznie odmówiły posłuszeństwa, jak martwe upadły na ziemię. Rumieniec wstydu wystąpił mi na twarz, gdy spostrzegłem, iż Tomson na widok potarganych włosów i poszarpanego ubrania kobiet, chcąc widocznie obrócić w żart tę ohydłą scenę, uśmiechnął się, spojrzawszy porozumiewaw-



czo w stronę furgonów. Ze wstydem muszę przyznać, że niektórzy z nas podtrzymali ten uśmiech.

Okrążywszy grzebień, ujrzelśmy w oddaleniu, na płaskowzgórzu ogrody i zabudowania, które wskazywały, że zbliżamy się do większego miasta. Był to Berdżan, położony u brzegu bezwodnej pustyni Deszt-I-Lut, ciągnącej się na południo-zachód, ku granicy Beludżystanu. Na południe od Berdżanu prowadzi szeroki gościniec, który rozdzielając się, skręca na prawo przez Neh do Afganistanu i na lewo przez pustynię do Kiermanu, głównego miasta prowincji tejże nazwy. W Berdżanie kwaterowała stale większa załoga wojsk angielskich ze sztabem. Samo miasto położone jest w dolinie, nad brzegiem strumienia. Zatrzymaliśmy się, nie dojeżdżając do niego, na wzgórzu.

Po wyjściu z furgonów zostaliśmy zdziwieni przede wszystkim tem, że przygotowano dla nas nowe namioty, do których nas odrazu wprowadzono, dzięki czemu uniknęliśmy męczącego ściągania z wozów i ustawiania starych namiotów. Naokoło nas zaroilo się od ciekawych oficerów i żołnierzy. Nic nas jednak nie obchodziły te figury, niczego bowiem od nich nie oczekiwaliśmy. Myśleliśmy tylko o tem, kiedy rozkują naszych kucharzy, aby nam przygotowali jedzenie. Przez zachodem słońca zauważyliśmy zbliżającego się jakiegoś generała w towarzystwie Tomsona. Począł on obchodzić wszystkie namioty, oglądając szczegółowo jeńców. Usłyszeliśmy, jak w sąsiednim namiocie rozmawiał z Kowenką, który opowiedział mu, iż jest oficerem rosyjskiej armji, został ranny i nagrodzony takim samym orderem, jaki posiada król angielski. U wejścia do naszego namiotu, Tomson, jakby uprzedzając go, że niema się poco fatygować, pospiesznie zakomunikował generałowi, że w tym namiocie są sami Niemcy, co usłyszawszy, zaprotestowałem, mówiąc:

„Są tu także Polacy”. Generał chciał widocznie zwrócić się do mnie z jakimś zapytaniem, ale Tomson, zasłoniwszy sobą wejście, odezwał się:

— Proszę pana generała nie rozmawiać z nim!

Widocznie w służbowych stosunkach wojsk angielskich takie zachowanie się jest dopuszczalne, gdyż generał ustąpił Tomsonowi i odszedł. Widziałem, jak po odejściu jakiś czas stali na uboczu razem, i jak Tomson widocznie przekonywał go o czemś, generał zaś miał minę nachmurzoną i niezadowolną. Wieczorem nakarmiono nas obficie i, co najważniejsze, obdzielono chlebem, na który rzuciliśmy się z łapczywością.

Za swoje odezwanie się oczekiwałem nowych przejawów gniewu Tomsona. Tymczasem nieoczekiwanie, przed ułożeniem się do snu, rozeszła się wieść, że Tomson otrzymał rozkaz powrócenia do Meszhedu, a my pojedziemy dalej pod eskortą nowego oficera. Źródłem wiadomości był, jak zawsze, Mukurela, który porozumiewał się ze swoimi rodakami. Z początku nie chcieliśmy wierzyć tej pomyślnej wiadomości, ale kiedy na noc do pilnowania nas przyprowadzono nowych żołnierzy, zapanowała wielka radość. Jakkolwiek nie mogliśmy oczekiwać polepszenia losu, ale uwolnienie się od tego okrutnika, który znęcanie się nad nami uważał poprostu za sport, było już wielką ulgą. Trudno było przypuszczać, aby następca Tomsona okazał się jeszcze okrutniejszym.

Jak zwykle, o świcie byliśmy gotowi do drogi, uprzedzono nas jednak, że wyruszymy o 9-ej rano. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością nowych porządków i zjawienia się nowego dowódcy oddziału, którego dotąd obserwowaliśmy tylko zdaleka. Był to młody, niewielkiego wzrostu, o zmęczonej i chorowitej twarzy, szczupły oficer, nazwiskiem Walter, który trzymał



się od nas zdaleka, wydając jedynie rozporządzenia żołnierzom.

O godz. 9-ej wsiedliśmy do furgonów i od razu poczuliśmy różnicę w zachowaniu się względem nas straży. Nowy dowódca traktował sprawę formalnie, polecił dozór nad nami żołnierzom i zostawił nas w spokoju. Nie było tych śmiesznych, przesadzonych ostrożności, mających na celu uniemożliwienie nam ucieczki w kajdanach. Cierpieliśmy fizycznie jak przedtem, ale nie odczuwaliśmy tego moralnego upokorzenia, w którym starał się nas nieustannie utrzymywać Tomson.

Jakiś czas po zajęciu furgonów staliśmy na miejscu. Otoczyli nas młodzi oficerowie załogi, którzy zadawali nam najrozmaitsze pytania, widocznie jednak wyjaśnienia nasze w ich oczach nie zasługiwały na wiarę, czemu zresztą trudno się było dziwić. Nikt nie mógł przecież przypuszczać, aby ludzie, z którymi się w ten sposób obchodzono, byli niewinni. Największą ciekawość naturalnie wzbudzał Kowenko, jako oficer odznaczony wysokim orderem za waleczność i mówiący po angielsku. Dokoła furgonu, w którym on siedział, zebrała się najliczniejsza grupa ciekawych. Podczas tych rozmów zauważyłem stojącego zdala na osobności Tomsona. Pomimo oddalenia dostrzegłem na jego twarzy wyraz upokorzenia i wstydu. Musiał być bardzo dotknięty zmianą, której się wcale nie spodziewał. Na zmianę tę wpłynęły zapewne jakieś nieprzychylne dla niego okoliczności, do ostatniej bowiem chwili był on pewny, że dowiezie nas do Indyj i zaprezentuje nas jako trofea swej zwycięskiej wyprawy do Turkiestanu. Obserwując zdaleka zachowanie się Tomsona, zauważyłem, że stracił on cechującą go zwykle pewność siebie. Mimowoli skrzyżowałem z nim swój wzrok i odczułem, że czuje się on upokorzony i nie ma

odwagi zbliżyć się do nas. Ten jeden moment wewnętrzznego triumfu nad tym okrutnikiem w części przynajmniej wynagrodził mi wiele chwil udręczeń.

Koło 10-ej wyruszyliśmy w drogę. Walter umieścił się w ostatnim furgonie, z którego wcale nie wysiadał, pozostawiając dozór nad nami żołnierzom. Poczuliśmy się od razu swobodni, zapanował jakiś inny nastrój, jakby rzeczywiście coś zmieniło się na lepsze w naszym losie. Dziś jeszcze, pisząc swoje wspomnienia, odetchnąłem swobodnie na myśl, że skończyłem już opis podróży naszej z Mamed-Abadu do Birdżanu. Uprytamniając sobie ten okres, siłą faktu budziłem wspomnienia wszystkich moralnych udręczeń, które tem różnią się od fizycznych, że przy rozpamiętywaniu ich odczuwa się je na nowo.

Zbliżyliśmy się do rozległej pustyni. Droga prowadziła wśród bezludnej, wypalanej od słońca okolicy. Pod wieczór zbłądziliśmy i wreszcie odszukaliśmy jakieś źródło, przy którym zatrzymaliśmy się na nocleg. Okazało się, że drzewo, które wieźliśmy ze sobą na opał, było mokre i pomimo wszelkich wysiłków nie udało nam się rozpalić ognia, wskutek czego byliśmy pozbawieni gorącego posiłku. W nocy poczuliśmy po raz pierwszy dokuczliwy chłód, wywołany zachodnim wiatrem z pustyni, pomimo, że posuwaliśmy się w kierunku południowym.

Następny dzień przekonał nas, że traktowano nas wszystkich jednakowo, nie dzieląc na mniej lub więcej niebezpiecznych zbrodniarzy. Formalnie wypełniano obowiązek pilnowania nas, okazując niekiedy nawet pewne współczucie. Mogliśmy swobodnie porozumiewać się z więźniami z sąsiednich namiotów. Ta okoliczność poddała mi myśl urzeczywistnienia zamiaru, który oddawna tkwił w mojej głowie a mianowicie chciałem się poprostu przenieść do innego na-



miot, gdyż wśród swych dotychczasowych współtowarzyszów coraz więcej czułem się obcy. Początkowa niechęć, mająca źródło w traktowaniu mnie przez Tomsona, wyraziła się powoli w zupełnym izolowaniu mnie od reszty mych kompanów. Umyślnie prowadzono rozmowy wyłącznie w niemieckim języku, wiedząc, że władam tym językiem słabo, nie zwracano się nigdy do mnie, chyba że ja sam zadawałem jakieś pytanie, na które otrzymywałem tylko lakoniczne odpowiedzi, jednym słowem czułem się za nawiasem zgranej, jednolitej kompanji. Postanowiłem więc zmienić ten nieznośny stosunek, poszukać innych, szerszych i prostszych ludzi.

Od czasu kiedy nadzieja zainstalowania nas w Indjach coraz więcej stawała się realną, budowano na tem tle najfantastyczniejsze projekty. Przypuszczano, że będziemy pozostawieni na wolności. Stump zapewniał, że zaraz po przybyciu zażąda od swoich przedstawicieli w Londynie kilka tysięcy funtów szterlingów. Wagner spodziewał się natychmiast pomocy od rządu niemieckiego z Berlina. Słowem nie było końca bajecznym projektom i planom, w których mnie jednak, niestety, nie brano pod uwagę. Cierpiąc przez całą drogę głód, po kilka razy na dzień układano menu sutych obiadów i kolacyj, jakimi całe towarzystwo będzie się raczyć po przybyciu do Bombaju. Mówiono, z jakiego mięsa należy przyrządzić gulasz, czy lepszy jest pudding zimny czy gorący, jakie ma być piwo i t. p. Nie martwiłem się bynajmniej tem, że mój gust i apetyt nie był brany pod uwagę, gdyż uważałem te plany za dziecinne marzenia, nie mające żadnych szans na zrealizowanie. Byłem pewien, że na zasadniczą zmianę rygoru przez władze miejscowe nie możemy liczyć. Uwolnienie nas, a więc i uniewinnienie pociągnęłoby do odpowiedzialności organizatorów tej okrutnej bez-

myślnej ekspedycji, mogliśmy więc jedynie rachować na bardziej ludzkie obchodzenie się, które zawsze zależało od bezpośrednich naszych opiekunów.

Aby nie zatruwać swoim pesymizmem różowych planów i nadziei mych współtowarzyszy, począłem obmyślać plan przeniesienia się do innego namiotu. Liczyłem na to, że konwojujący nas żołnierze dbają jedynie o liczbę jeńców, nie rozróżniają szerniałych, wychudłych twarzy i nie zauważają zmiany.

27-go października zatrzymaliśmy się w stepie, koło murowanego pustego budynku, będącego rodzajem strażnicy, przeznaczonej dla odpoczynku przechodzących karawan. Takie budynki w stepowych miejscowościach w Persji spotykają się często obok głębokich studni, t. zw. „ohdanów”. Studnie te budują się przeważnie albo na koszt ludności całej okolicy, lub też, co często bywa, środkami jednego ofiarodawcy jako wotum i dobry uczynek. Zewnętrznie przedstawiają one jakby sklepioną kapliczkę, wewnątrz której są kamienne schody prowadzące aż do powierzchni wody. Głębokość tych studni wynosi czasami więcej niż sto metrów. Takie utrudnione czerpanie wody uniemożliwia zaopatrywanie się w nią w większej ilości i wywożenie, czego rezultatem byłoby szybkie osuszenie studni, które są przeznaczone wyłącznie na użytek spragnionych podróżników.

W sąsiednim namiocie między innymi znajdował się młody Niemiec Bekier, przyprowadzony podczas naszego pobytu w koszarach meszhedzkich. Ponieważ w naszym namiocie panowała orientacja niemiecka, uważałem, że zamieniwszy się z nim na miejsca, okażą przysługę moim współtowarzyszom i będzie on przyjęty z otwartymi rękami. Rozpocząwszy z nim rozmowę, przekonywałem go, że podczas panującego mroku można się niespostrzeżenie przeczołgać z na-



miotu do namiotu, nie wzbudziwszy podejrzenia w straży, która będzie jak zwykle, drzemać. Początkowo Bekier wzdragał się, z obawy by nie być przyłapanym podczas tej operacji, wkońcu jednak przemogła w nim chęć zainstalowania się w uprzywilejowanym poniekąd namiocie i zgodził się. Straż drzemała, nie było więc czasu do namysłu. Wypełzłem z namiotu i wkrótce znalazłem się wśród nowych towarzyszy. Ośmielony moją próbą, Bekier przeczołgał się również i w ten sposób zmieniliśmy nasze miejsca.

Namiot, w którym się znalazłem, zajmowali żołnierze austriaccy, między którymi był Rusin Ferłowski i Cebula. Przywitano mnie bardzo życzliwie i otoczono wielką troskliwością, która mnie rozczuliła. Byli to wszyscy młodzi, w sile wieku ludzie i ja wyróżniałem się długą siwą brodą między nimi. Okoliczność ta niepokoiła mnie z tego względu, że rano mogło to się rzucić w oczy starszemu dozorczy, co naraziłoby mnie na dużą nieprzyjemność. Na szczęście wszystko skończyło się pomyślnie.

Na drugi dzień, 28 października, stanęliśmy w miasteczku Szusp, ostatnim, zaludnionym punkcie, od którego na południe ciągnie się pustynia Deszt-I-Lut do granicy Beludżystanu. W Szuspie widocznie gromadzono większe zapasy materiałów wojennych, dla wysyłania ich dalej na północ. W tym celu na rozległym placu widniały pobudowane obszerne magazyny, koszary i warsztaty, przed którymi stały ustawione w rzędy wojenne automobile. Poza tem iż nie czuliśmy nad sobą bezpośredniej opieki Waltera nakarmiono nas dobrze, dostaliśmy chleba poddostatkiem i lepsze mięso. Widocznem było, że chciano złagodzić ten surowy rygor, jaki był względem nas stosowany przez całą drogę. Podporucznikowi Smutnemu polecono mieć nadzór nad kucharzami, z czego był on bar-

dzo zadowolony, odwiedzał bowiem swobodnie wszystkie namioty, komunikował nam różne wiadomości i nawet częstował swoich przyjaciół własnoręcznie przygotowaną wątróbką. Jednego było tylko brak — tytoniu. Nie posiadając pieniędzy na jego kupno, postanowiłem sprzedać zegarek, ażeby się zaopatrzyć w tytuń na długą podróż przez pustynię. Z tego powodu zapoznałem się bliżej z dentystą Czechem, który dowiedziawszy się, że chcę sprzedać zegarek, zjawił się do naszego namiotu. W zachowaniu się jego widać było chęć podkreślenia swojej wyższości, jako człowieka, noszącego europejskie ubranie i nie zakułtego w kajdany, ale jednocześnie biegające jego oczka zdradzały brak pewności siebie i dziwną przebiegłość. Obejrzawszy mój zegarek, począł wynajdywać w nim różne braki, dowodząc, że jest bez wartości, wkońcu zaś zaproponował mi kilka funtów tytoniu, które zobowiązał się kupić dla mnie po spieniężeniu zegarka. Nie miałem nic do wyboru, zgodziłem się więc na jego propozycję. Przed wieczorem jakiś nieznany mi Indus przyniósł niewielki woreczek miejscowych liści tytoniowych na próbę. Rozdałem zawartość worka między współtowarzyszy, część posłałem do sąsiedniego namiotu, w przekonaniu, że reszta tytoniu, którą mam otrzymać, wystarczy mi na długi czas. Oczekiwanie moje jednak na tę resztę okazało się próżne. Zostałem bez zegarka i bez tytoniu. Dentysta, który się więcej nie zjawił, ale do którego zwracałem się za pośrednictwem Smutnego, tłumaczył się, że Pers, który obiecał mu dostarczyć tytuń, oszukał go, za co on nie może odpowiadać. Kto był winien w rzeczywistości, nie wiem, po tem jednakże, co słyszałem w dalszej drodze o tym dentyście, mogłem wywnioskować, że był to człowiek sprytny i niełatwo dający się oszukać. Dowiedziałem się, że podczas drogi wszedł on w porozu-



mienie z kucharzem Wiktoorem, rozdzielając zapasy przeznaczonych dla nas prowiantów i wydzielając nam według swego uznania galety i konserwy otrzymane na posterunkach wojskowych, z których niewielka tylko ilość do nas dochodziła.

Był to pierwszy Czech, którego spotkaliśmy na naszej drodze. Podkreślam to dlatego, że w dalszym naszym losie, nawet w Indjach, Czesi, niestety, odgrywali poważną rolę.

Niespodziewanie zakomunikowano nam, że w dalszą drogę pojedziemy na samochodach. Były to małe, wojenne wozy, w których dwie osoby mieściły się na siedzeniu przednim, dwie zaś mogły stać lub siedzieć w tylnej klatce, nie posiadającej siedzenia. Nowość ta zainteresowała nas i pocieszyła, widocznym było, że zbliżamy się szybko do końca naszej podróży i że może sądzono nam dojechać w zdrowiu do Indyj...

Rozłączywszy się z tymi, którzy znali język angielski i z poczciwym Mukurelą, straciłem możliwość informowania się o szczegółach podróży, czułem się jednak tak dobrze w towarzystwie nowych współtowarzyszy, że nie żałowałem tego.

Na Szuspie kończyły się zamieszkałe okolice wschodniej Persji i wzgórze, dające początek całej sieci strumieni, ożywiających ten kraj. Mieliśmy teraz do przebycia bezwodną wyludnioną pustynię, która ciągnęła się wzdłuż granicy Afganistanu, na przestrzeni kilkuset kilometrów na południe.

Trzydziestu sześciu z nas wyprawiono w drogę 29-go, resztę pozostawiono do następnego dnia, widocznie ze względu na ukończenie remontu samochodów. Na drugi dzień o 9-ej rano wyruszyłem w drogę, na jednym wozie z Cebulą. Przed samym wyjazdem, siedząc już w samochodzie, zauważyłem psa, którego właściciel wczoraj odjechał. Biedne stworzenie biegało

we wszystkie strony, chcąc odszukać swego pana. Nikt się nie interesował jego losem. Przeczuwałem, że pies pobiegnie za automobilami i nie mogąc nadążyć, zginie w drodze z głodu i pragnienia, zeskoczyłem więc z wozu i zanim zdążyliśmy ruszyć, pomimo oporu i szamotania się, umieściłem go razem z nami. Pomyślałem sobie, że przy Tomsonie nie można byłoby tego zrobić z obawy narażenia się na straszną karę, psisko więc swoje ocalenie zawdzięczało także nieobecności Tomsona.

W drodze okazało się, że podróż w naszych warunkach automobilami tego rodzaju była nietylko męcząca i niewygodna, ale i niebezpieczna. Klatka wozu była tak mała, że we dwóch zaledwie mogliśmy się pomieścić, siedząc na naszych węzłkach w niewygodnych pozach. Przytem żelazna beczułka z benzyną, pomieszczona razem z nami, wyprawiała takie skoki podczas drogi, że zmuszeni byliśmy kolejno ją przytrzymywać, aby uniknąć poprzetrącania nóg i połamania stóp.

Odjechawszy kilkanaście kilometrów od obozu, zatrzymaliśmy się pośród niewielkiego aułu, dla zabrania ze sobą zapasu jarzyn na drogę. Staliśmy pod palącymi promieniami słońca około dwóch godzin, siedząc nieruchomo na wózkach, i odczuwaliśmy szalone pragnienie. Tu dopiero pierwszy raz dotkliwie odczułem, jak wiele straciłem na opuszczeniu tych współtowarzyszy podróży, którzy mieli możliwość porozumiewania się w angielskim języku.

Wszyscy szoferzy byli to młodzi Indusi, mówiący swobodnie po angielsku, dzięki czemu z łatwością porozumiewali się z jeńcami. Dowiedziawszy się, kto jesteśmy, bez ceremonji poczęli wymyślać ostatniemi wyrazami na Anglików, nam zaś okazywać sympatję i drobne usługi. Przeważnie grupowali się oni koło tych



wozów, w których siedział Stump, Kowenko i inni, rozumiejący angielski język.

Korzystając z tego, że nie było oficera, głośno wykrzykiwali obelżywe słowa pod adresem Anglików, odgrając się, że niedługo już potrwa ich panowanie w Indjach. Był to czas wrzenia w całych Indjach, wywołany odmową Anglików wprowadzenia obiecanych zmian w konstytucji, jako rekompensaty za czynny udział wojsk induskich w wojnie. Jeszcze raz miałem możliwość przekonania się, jak szeroko rozwinięta tu była niemiecka propaganda. Słowo „dżermen“ od razu rozwiązywało języki i wzbudzało zaufanie, każdemu, kto się nazwał „dżermen“ ściskano ręce i uważano go za przyjaciela i sojusznika.

My z Cebulą, niestety, siedzieliśmy zdala od tych owacyj i wynurzeń, przedewszystkiem z powodu tego, że nie mogliśmy się porozumieć, a następnie, że należeliśmy do jakiegoś fikcyjnego narodu „polisch“, o którym nikt nie miał żadnego wyobrażenia i każdy po otrzymaniu od nas takiej informacji odwracał się cbojętnie, nie zdając sobie sprawy, do jakiej narodowości i jakiego wojującego obozu ma nas zaliczać. Okazano nam zaledwie tę przysługę, iż przyniesiono nam wody i mogliśmy ugasić trapiące nas pragnienie podczas nieznośnego upału.

Koło godziny 12-ej w południe ruszyliśmy w pustynię. Długim sznurem wyciągnęły się nasze wozy, pędząc po gładkiej, wypalanej powierzchni pustyni. Jechaliśmy z nierównomierną szybkością, zależną od charakteru miejscowości, usianej niekiedy małemi pagórkami, wśród których trzeba było lawirować, i od fantazji szoferów, którzy chwilami ścigali się po równej drodze lub też zostawszy w tyle, w szalonym pędzie doganiali towarzyszy.

Jazda w tych warunkach była prawdziwą męczar-

nią. Mając skute ręce, musieliśmy trzymać się mocno, aby nie wypaść na skrętach i na pagórkach a jednocześnie manewrować z podskakującą żelazną beczułką, która groziła nam kalectwem. Przewidywaliśmy, że upadek z samochodu groził nam jeżeli nie śmiercią, to połamaniem rąk i nóg. Wieziono nas, jak pieńki drzewa, nie troszcząc się o nas i nie oglądając się nawet poza siebie.

Droga, po której jechaliśmy, była wojennym traktem, po którym szły karawany z Indyj z amunicją i prowiantem dla wojsk kwaterujących w Parsji. Była ona literalnie usiana szkieletami i poszarpanemi przez szakale trupami wielbłądów. Chcąc zdać sobie sprawę z ilości tych nieszczęśliwych, pomordowanych przez nieumiejętne obchodzenie się zwierząt, począłem liczyć trupy i przez jedną godzinę jazdy narachowałem ich 200 sztuk. Na wschodzie wielbłąd jest bardzo ceniony, jako niezwykle silne i wytrzymałe zwierzę, śmierć jego jest klęską dla właściciela, niepodobieństwem więc było przypuszczać, aby właściciel Indus lub Pers dobrowolnie narażał się na taką stratę. Jak się okazało, po zasięgnięciu informacji rzecz tak się przedstawiała. Część wielbłądów, przewożących amunicję i prowianty dla wojsk, była wynajęta przez wojskowe władze angielskie, część zaś była ich własnością. Każdy wielbłąd, wyprawiany w drogę, był obładowany do ostatecznych granic i musiał w określonym zgóry czasie przebyć swoją marszrutę. Jeżeli zdarzało się, że podczas podróży jeden z wielbłądów osłabł i dalej iść nie mógł, zostawiano go na drodze, a ładunek jego rozdzielano między pozostałe. W ten sposób wszystkim dodawano ciężaru. Gdy w dalszym ciągu znów któryś ze słabszych padał, powtarzała się ta sama historia zdejmowania z niego ciężaru i przeładowywania go na resztę karawany. Biedne zwierzęta upadały po-



prostu pod ciężarem, przenoszącym ich siły. Każdy wielbłąd posiadał na tylnej łopatce wypalony numer, który przewodnik karawany wyrzynał nożem i przedstawiał odpowiedniej władzy na dowód, że zwierzę to zginęło.

Do godz. 5-ej pp. pędziliśmy bez odpoczynku pośród tego cmentarzyska wielbłądów. Przebywszy około półtorej setki kilometrów pośród stepu, rozłożyliśmy namioty. Odurzeni szybką, niebezpieczną jazdą, wyciągnęliśmy się w namiotach, spragnieni spokoju po tem nerwowem podnieceniu, w jakim trwaliśmy podczas drogi. Wieczorna cisza pustyni zda się wchłaniała w siebie wewnętrzny niepokój, powracając nam siły i równowagę. Leżałem nieruchomo, wpatrzony w szarą dal przez otwór w namiocie, gdy do zaostrego wśród nocnej ciszy słuchu poczęły dolatywać zdala ciche, smętne dźwięki, niby skargi płynące z bezbrzeżnej pustyni. Domyślałem się, że zbliżała się karawana wielbłądów, dając znać o sobie rytmicznym kołysaniem gongów. Ciche, jakby przytłumione początkowo dźwięki potężniały, w miarę zbliżania się, przechodząc wkońcu w jeden majestatyczny, groźny jęk, niby jakąś skargę. Uginając się pod ciężarem, wolnymi, cichymi krokami kroczyło sznurem w równych odstępach dwieście objuczonych wielbłądów. Mijając nasz namiot, odwracały majestatycznie wzniesione głowy w naszą stronę, obrzucając nas smutnym, ciekawym wzrokiem. Zwierzęta te potrafią dźwigać nawet swoją brzydotę z taką dumą i powagą, że wrażenie jej ginie wobec uczucia jakiejś sympatji i szacunku dla tych rozumnych, cierpliwych stworzeń. Długo po ich przejściu leżałem, wsłuchując się w dźwięki zacichających w oddali gongów.

Na drugi dzień wyruszyliśmy o 8-ej zrana i droga nasza do następnego miejsca postoju trwała bardzo

krótko. W południe zatrzymaliśmy się koło niewielkiego wzgórza, u którego stóp wznosiły się jakieś świeżo pobudowane składy, strzeżone przez niewielką załogę. W bezludnej tej miejscowości przechowywano wodę w naczyniach od benzyny i na tej wodzie ugotowano nam ryż, którego wskutek tego jeść było niepodobna. Między oficerami załogi podobno był jakiś Anglik, który przyznawał się do polskiego pochodzenia, ale ja nie miałem sposobności z nim rozmawiać. Przenocowawszy, ruszyliśmy o godz. 9-ej rano znowu na południe przez pustynię i około godz. 5-ej pp., jadąc bez przerwy, zbliżyliśmy się do większego obozu, położonego na wzgórzu. Byliśmy już na terenie Beludżystanu a więc w posiadłościach angielskich. Po zatrzymaniu się dość długo nie pozwolono nam zejść z wozów, widocznie rozstrzygano kwestję, czy jechać dalej, czy obozować. Wozy nasze otaczali ciekawi żołnierze, którzy swobodnie wypytywali się o nasze losy. Cebula, który jak się okazało pracował kiedyś w Ameryce, począł puszczać się na rozmowy w angielskim języku z czysto mazurskim akcentem, dorabiając bez ceremonji angielskie końcówki do polskich i niemieckich słów. Podziwiałem cierpliwość słuchaczy, którzy starali się go zrozumieć a nawet mu odpowiadać. Przyszedłem do przekonania, że ja, nie znając angielskiego języka, śmiało mógłbym konkurować z Cebulą. Rezultatem tej pogawędki był bardzo miły fakt, Cebula bowiem został obdarowany papierosami, którymi po koleżeńsku podzielił się ze mną. Przed zejściem z wozów fotografowano nas, lecz tym razem bez teatralnie upozowanych angielskich oficerów. Podczas ustawiania namiotów zaszedł przykry wypadek: żołnierz uderzył kolbą jednego z jeńców, na co naturalnie nikt oprócz poszkodowanego nie reagował, było to jednak jakby ostrzeżenie, iż pomimo względnie łagodnego obcho-



dzenia się z nami pozostawieni jesteśmy na łasce bezpośrednich naszych opiekunów-żołnierzy.

Wieczorem długo nie dawały nam zasnąć przejmujące wycia i nawoływania się szakali.

Wyjechaliśmy na drugi dzień o świcie i o 9-rano stanęliśmy w Rubat, w wielkim obozie angielskim na samej granicy Afganistanu. Zastaliśmy ustawione i przygotowane dla nas nowe namioty i tu pierwszy raz spotkaliśmy w większej ilości oficerów i żołnierzy angielskich. Jak zawsze przyglądano nam się z zaciekawieniem, nie zdradzając jednakże żadnego zainteresowania się naszym losem. Jakiś młody oficer, nazwiskiem Filip, mówiący trochę po francusku, rozmawiał ze mną, wypytując się o nasze losy i życzył uprzejmie szczęśliwej podróży. Pomimo tego, iż duże i obficie zaopatrzone magazyny pozwalały przypuszczać, że jest tu wszystkiego podostatkiem, nie dano nam tytoniu i cukru i byliśmy zmuszeni pić gorzką herbatę.

Dalszą drogę postanowiono odbywać końmi. O godzinie 1-ej pp. poczęły zajeżdżać parokonne wozy. Przyglądałem się im z ciekawością, pierwszy raz w życiu widząc taką uprzęż i taką konstrukcję wozów. Chomała zastępowało jedno ciężkie, okute jarzmo, przytwierdzone do dyszla i obejmujące szyję obydwu koni, wskutek czego upadek jednego z nich musiał pociągnąć za sobą z konieczności upadek drugiego. Jazda w tej uprzęży, o nierównej sile i różnego biegu koniach, wymagała ogromnej uwagi i doświadczenia woźnicy. Żelazne wozy przedstawiały rzadką plecionkę z płaskich obręczy z szerokimi otworami na spodzie i w bocznych ogrodzeniach. Z przodu zrobione były dwa siedzenia dla woźnicy i żołnierza. Tyl-na część wozu przedstawiała małą klatkę, w której mogły się pomieścić zaledwie dwie osoby. Widocznie

wozy te, jak i automobile, na których dotąd nas wieziono, przeznaczone były do przewożenia towarów i amunicji, gdyż dzięki kratom na spodzie niepodobna było w nich stać podczas jazdy, wszystkie zaś drobniejsze przedmioty wypadały przez otwory między kratami.

Otrzymaliśmy nowego dowódcę lejtenanta Allena i o godz. 1-ej pp. ruszyliśmy w drogę. Trzydzieści kilka brzęczących łańcuchami wozów wyciągnęło się sznurem wśród stepu. Woźnice, ruszywszy z miejsca, albo puścili lejce wolno, albo wprost poprzywiązywali je z boku u kozła, wskutek czego konie biegły niekierowane, tak jak same chciały. Wozy, natrafiając na nierówności i pagórki, podskakiwały w pędzie, grożąc co chwila przewróceniem się. Niektórzy woźnice, nie bacząc na nierówności drogi, przeganiali się w szalonym tempie, ćwicząc konie i zaczepiając się wozami. W tych wypadkach niepodobieństwem było ani usiedzieć, ani utrzymać się na nogach, które wpadały w otwory żelaznych krat. Trzeba było trzymać się skutemi w kajdany rękami, przygniatając jednocześnie kolanami nasze zawiniątka, aby nie powylały z wozów. Nasz woźnica, zmęczony konie wyścigami, przywiązał lejce do jakiegoś, sterczącego z boku kozła, haka i zasnął. Konie biegły, jak chciały, spychając się wzajemnie to w jedną, to w drugą stronę, co zagrażało nam przewróceniem przez mijające nas wozy. Żołnierz, siedzący obok woźnicy, bez ceremonji przywiązał pasem karabin swój do kozła i spał jak zabity, mało troszcząc się o swój i nasz los. To klęcząc, to podskakując, to opierając się na rękach, wyteżonym wzrokiem wpatrywałem się przed siebie, aby przygotować się na wypadek zagrażającego na każdym kroku niebezpieczeństwa. Trzeba pamiętać, że całodzienną podróż odbywaliśmy zwykle głodni, bez żadnego



posiłku. Głód, podniecenie nerwowe, fizyczne zmęczenie wyczerpywały nasze siły doszczętu. Po przybyciu na miejsce nocnego spoczynku leżeliśmy nieruchomo, jak kłody, pragnąc, aby noc nie miała końca.

Nad wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg koło niezamieszkałego, murowanego budynku, prawdopodobnie wojennego posterunku. Na drugi dzień o 9-ej rano wyruszyliśmy w dalszą drogę, trzęsąc się i podskakując na wozach do godz. 8-ej wiecz. Na noclegach marzyliśmy niewypowiedzianie, ponieważ od czasu, gdy przesiadliśmy się do wozów, nie ustawiano już namiotów i nocowaliśmy na otwartym powietrzu.

5-go listopada, jadąc w ten sam sposób, bez przerwy od 9-ej rano do 8-ej w., zatrzymaliśmy się koło wysokich murów obszernego czworoboku. Był to widocznie budynek wzniesiony specjalnie dla celów wojennych. Prowadziła do niego na wzór barykady zbudowana brama. Wprowadzono nas do wnętrza czworoboku i rozmieszczono w galerji, ciągnącej się wzdłuż wysokiego muru. Tym razem wśród ciekawych, którzy poczęli się zjawiać, zauważyliśmy jakichś urzędników, prawdopodobnie z intendenty. Otoczono przede wszystkim grupę mówiących po angielsku, a więc Stumpa, Kowenkę i ich sąsiadów. Tutaj Stump padł ofiarą przebiegłego oszustwa. Jakiś Anglik w uniformie począł się litować nad jego losem, obiecywał niezwłocznie wstawić się do władz, aby zdjęto z niego kajdany, czem tak sobie zjednał i rozczulił Stumpa, że ten zdecydował się oddać mu swój cenny zegarek, wzamian za tytuń i odpowiednią ilość konserwów w puszkach. Radość była wielka w grupie jego współtowarzyszy, którzy obiecywali sobie zaspokoić nareszcie zaostrzone długim postem apetyty. Niestety jednak niedługo trwała uciecha. Anglik wziął zegarek, przysłał wzamian parę puszek konserwów z kartofli,

które nie zaspokoily apetytu nawet jednego Stumpa i — nie pokazał się więcej do samego odjazdu.

Innego rodzaju scena rozegrała się z Mukurelą, który siedział nauboczu, niedaleko ode mnie. Zbliżyło się do niego dwóch, jak zwykle wyelegantowanych, Indusów — sierżantów, kwaterujących tu w wojsku, i wskazując na jego kajdany, poczęli coś do siebie mówić. Zachowanie się ich i szydrczy wyraz twarzy świadczył, że szydzili z niego lub go strofowali. Mukurela siedział jakiś czas milcząc. Nagle podniósł schyloną głowę i wyrzekł kilka słów, których treści nie rozumiałem ale które wywarły magiczny skutek. Obaj eleganccy wojacy zamilkli, twarze ich przybladły, popatrzyli jeszcze chwilę na Mukurełę i oddalili się, widocznie zawstydzeni i upokorzeni. Mukurela pozostał sam spokojny, ze wzrokiem spuszczone w ziemię.

W tej chwili odczułem w tym człowieku jakąś niezwykłą wewnętrzną siłę, która kazała go szanować, pomimo jego wyglądu nędznika i kajdaniarza.

Chcąc mu dać do poznania, że obserwowałem go podczas tej sceny, zawołałem na niego po imieniu i rzuciłem mu tytuń, na co w odpowiedzi otrzymałem pogodny uśmiech i podziękowanie wyrażone ruchem dłoni w moją stronę.

Na drugi dzień o 12 w południe wyjechaliśmy dalej w step, dążąc na wschód. Przez całą drogę wiał silny północny wiatr, odczuwaliśmy więc dokuczliwy chłód. Droga stawała się coraz cięższa, woźnice, chcąc przybyć wcześniej do miejsca przeznaczenia, wydobywali ostatnie siły z zamęczonych koni, poganiając je niemilosiernie batami. Co chwila jakiś wóz najeżdżał na drugi. Konie, jak zwykle, biegły, jak same chciały, niekierowane przez furmanów, którzy poprzywiązywali lejce do kozłów. Przeczynałem, że nastąpi katastrofa, i nie omyliłem się.



Mijając się w całym pędzie, jeden z wozów uderzył bokiem w drugi i obydwa przewróciły się do góry kołami, przygniatając ludzi i przewracając konie. Biednego Mukurełę wyciągnięto z połamanymi nogami. O okazaniu mu jakiegokolwiek doraźnej pomocy nie mogło być mowy. Ponieważ nawet podczas przebiegu tej całej katastrofy pozostałe wozy nie zatrzymały się ani na chwilę, pędziły dalej, jak przedtem, przelotnie więc tylko mijając, widziałem Mukurełę leżącego na ziemi. Uratowano go jedynie dzięki bliskości celu naszej podróży — kolejowej stacji Quetta, odległej zaledwie od miejsca katastrofy o kilka kilometrów.

Dojeżdżając do stacji, zwolniliśmy biegu. Woznice ujęli cugle w ręce i jechaliśmy prawie krok za krokiem. Za wozami po obu stronach drogi biegły gromady gapiów, tym razem przedstawiciele już nie miejscowej ludności, ale czystej rasy Anglików, widocznie funkcjonariuszy i robotników kolejowych. Przed stacją zastaliśmy tłum ciekawych, który przyglądał nam się tępym, obojętnym wzrokiem.

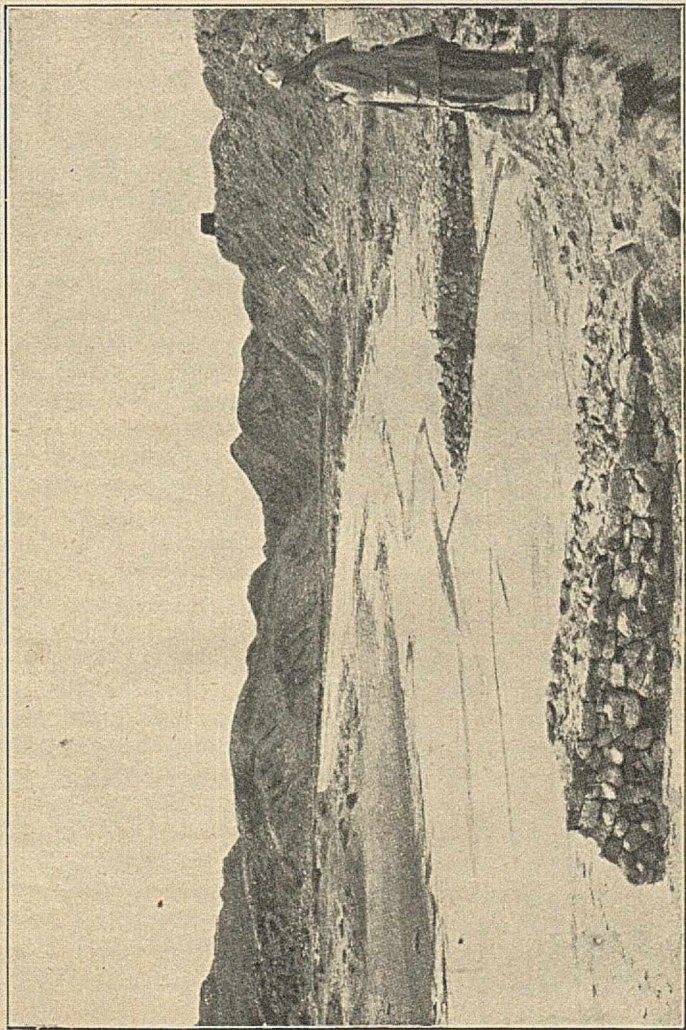
Staliśmy ustawieni w dwa szeregi, oczekując dalszego losu. Wzrost mój, przewyższający innych, pozwolił mi objąć spojrzeniem tłum widzów, między którymi nie dostrzegłem ani jednej twarzy, na której malowałoby się nie tylko współczucie, ale choćby zwykły pogodny, dobry wyraz. Na typowych, wygolonych twarzach widniały przeciwnie szydercze uśmiechy, Między innymi wyróżniał się jeden typ z opasłą jak księżyc twarzą, który stojąc nawprost nas za plecami żołnierzy, robił jakieś grymasy, przymrużał to prawe to lewe oko, składał dłoń w lornetkę, wysuwał język i t. p., czem wzbudzał wielkie zadowolenie i śmiech w grupie otaczających go kolegów.

Złe przeczucie ogarnęło mnie przy tem pierwszym spotkaniu z przedstawicielami kultury. Przyszły mi

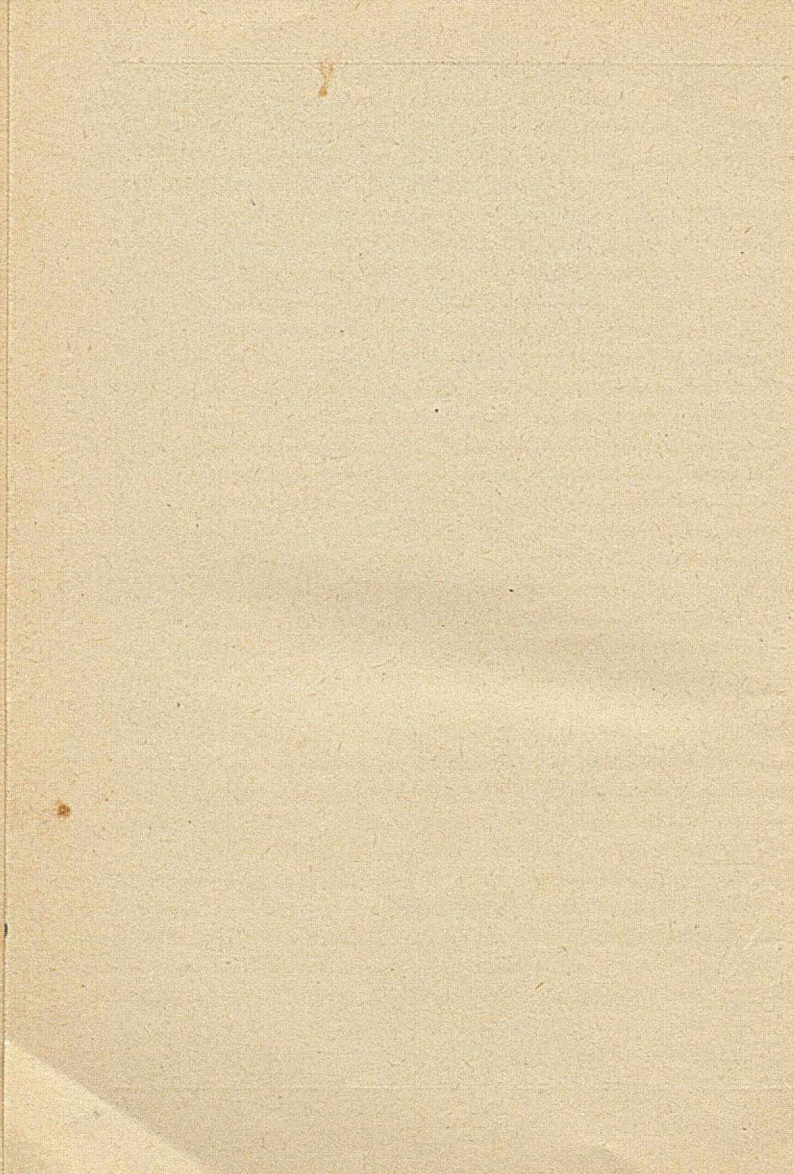
na myśl szlachetne, współczujące twarze Persów i Indusów, przyjaciół naszych z Meszhedu, i żal mi ścisnął serce.

Wkrótce zbliżył się oficer angielski, z oddziałem angielskich żołnierzy. Rozdzielono nas na grupy i poprowadzono w kierunku oczekującego pociągu. Umieszczono nas w wagonach 3-ej klasy. Niezwłocznie wyciągnąłem się, aby wypocząć po całodziennym drodze. Widok wagonów, oraz przeświadczenie, że skończyły się męczarnie dotychczasowej podróży, napawały nas otuchą, zakłóconą jednakże niepokojem o dalsze losy, których rozwiązanie zbliżało się. Dostaliśmy po pół puszki konserwów mięsnych, chleba i herbaty i ruszyliśmy w drogę. Pierwszą noc, wyczerpani, przespaliśmy kamiennym snem. Następnego dnia umieszczono nas w wagonach o charakterze wojennym, dostaliśmy znów po pół puszki konserwów i poczem ruszyliśmy dalej na południe. Okolice, przez które przejeżdżaliśmy, były puste, szare, pokryte biedną roślinnością i mało różniły się od okolic, które mijaliśmy od czasu wyjazdu z Rubatu. O godz. 9 rano kazano nam na jakiejś stacji wysiąść. Na peronie stał elegancki oficer, który surowym głosem wydał rozkaz umycia się pod stacyjnym kranem. Byliśmy zakuci, nie mieliśmy mydła, ręczników i nie mogliśmy się rozbierać, umyliśmy więc jedynie ręce, co wzbudziło w oficerze gniew. Kazał zatrzymać odchodzących od kranu i podnieconym głosem powtórzył rozkaz, aby obowiązkowo umyć głowy dla wygubienia wszów. Musieliśmy spełnić tę formalność, podstawiając głowy pod kran i odchodząc obłani wodą, gdyż daremnie byłoby tłumaczyć temu mądrymu lejtenantowi, że pasożyty zjadły nam ciało, na którym mieliśmy już rany i obłanie głowy wodą nic nie mogło tu pomóc. Chodziło widocznie, jak zawsze, o zachowanie formalności i zaznaczenie w ra-





*Fragment z pogranicza Indyj i Afganistanu*





porcie, że więźniowie myli się na stacji. Jechaliśmy wolno, wyczekując na stacjach, przesiadając się z wagonu do wagonu tak, że trudno było określić z jaką szybkością posuwaliśmy się. Mijaliśmy okolice coraz bogatsze w roślinność. Z okien wagonu widać było wyniosłe drzewa i zielone gaje. Dziewiątego dnia przesadzono nas znów do zwyczajnych wagonów; tym razem zapomniano nas nakarmić, wskutek czego jechaliśmy cały dzień głodni. Ja jechałem w towarzystwie prawie samych Węgrów. U niektórych z nich, oszczędniejszych i bardziej przewidujących, znalazły się resztki niedojedzonych mięsnych konserwów, którymi się dzielono między sobą po koleżeńsku. Jedyne tylko Bekier posiadał zapas papierosów, które zbierał w drodze i chował jako niepalący. Wydostawszy je teraz w wagonie, handlował niemi, dostając wzajemnie konserwy. Robił to zupełnie po kupiecku, oceniając skrupulatnie każdy kawałek w stosunku do ilości papierosów. Widząc tę kupiecką systematyczność, zapytałem go, czem się kieruje w ocenie towaru, czy swoim apetytem czy namiętnością palacza, na co otrzymałem odpowiedź, że jest to jego sekret.

Jechałem, nie wiedząc co się działo w innych wagonach i jaka tam panowała opinia co do dalszego naszego losu. Na jednej ze stacyj przez okno wagonu spostrzegłem Stumpa, przechodzącego z rozpromienioną twarzą w towarzystwie angielskiego żołnierza. Zobaczywszy mnie w oknie, rzucił mi on mimochodem, jakby unikając dłuższej rozmowy: „Vous êtes bien arrange“? „Splendidement“ odpowiedziałem i na tem skończyliśmy rozmowę. Nie przywiązywałem żadnej wagi do tego spotkania i dobrego humoru Stumpa, mając już wiele dowodów jego łatwowierności i braku orjentowania się.

W listopadzie o godz. 4 rano zbudził mnie łoskot

dudniącego pociągu. Wjeżdżaliśmy na wielki żelazny most. Podniosłem się, wyjrzałem przez okno i oczom moim, przywykłym do szarego kolorytu pustyni, przedstawił się bajeczny, nie dający się opisać krajobraz.

Pociąg posuwał się wolno. Z wysoko wznoszącego się mostu widać było rozległą dolinę, podobną do ko-bierca, mieniącego się różnemi odcieniami zroszonej zieleni. Środkiem doliny srebrzyły się fale szerokiej rzeki, cicho, majestatycznie płynącej, o płaskich, porośniętych brzegach. Nad wodą unosiły się, przecina-jąc przestworza we wszystkich kierunkach, skrzydlate roje przeróżnego ptactwa, połyskując w promieniach słonecznych srebrzystą białością skrzydeł. Zniżając się i wznosząc, dotykały one w przelocie cichych fal, unosząc na skrzydłach w przestworza brylantowe krople wody. Padające skośnie promienie słoneczne pędziły przed sobą sinawe kłęby mgieł porannych, z po-za których pojedynczo i grupami wynurzały się wy-sokopienne, wysmukłe palmy, wznosząc ku słońcu swo-je korony. Wysoko na tle jasnego błękitu zataczały majestatyczne kręgi jakieś skrzydlate olbrzymy, jakby lubując się obrazem budzącej się do życia natury, gło-szącej triumf słońca i radości.

Siedziałem w oknie zapatrzony, opanowany cza-rującym wrażeniem tego widoku, wchłaniając w sie-bie odurzający aromat pól i palmowych gajów, wci-skający się z łagodnym przewiewem wiatru do naszego wagonu. Pamięć o smutnej rzeczywistości znikła w tej chwili pod wpływem tych cudów natury, które zda-wały się być sennem marzeniem. Chwytałem wzro-kiem każdy szczegół roztaczającego się przede mną krajobrazu, chcąc na zawsze utrwalić go w pamięci, i powtarzałem w myśli zasłyszane często w Meszhe-dzie słowa „hubas Indja, hubas Indja”.

Przejeżdżaliśmy przez most na rzece Ind, koło



miasta Sukkur. Byliśmy więc już w Indjach. Przebywszy most, pociąg przyśpieszył biegu. W oknach zamigwały rosące wzdłuż plantu kolei drzewa i piękny krajobraz zniknął jak sen.

Spojrzałem na swoje kajdany, na strzępy brudnych łańcuchów. Rzeczywistość w całej swej bezwzględności stanęła mi przed oczyma i opanowała mnie bezsilna rozpacz. Zrządzeniem bezmyślnego losu zawleczony zostałem w nieznanne kraje, pośród obcych mi językiem i kulturą ludzi, bez najmniejszej nadziei ocalenia i powrotu do swoich. Nikt się nigdy nie dowie o mych cierpieniach i śmierci. Jestem właściwie już trupem, gdyż wszystko, co mnie z życiem łączyło, zostało porwane na zawsze. Szarpnąłem nerwowo koszulę na odkrytych piersiach i zbutwiały jej kawał pozostał mi w ręku. Owionął mnie podmuch wlatującego do wagonu powietrza, machinalnie zanurzyłem głębiej pod chałat rękę i poczułem, jak przegniłe płótno rwie się pod moimi palcami. Pocałem wyrwać i wyrzucać brudne szmaty za okno, co sprawiło mi wielką ulgę. Pozbyłem się koszuli a z nią dokuczliwych pasożytów. Wyciągnąłem się na ławce, doznając nieznanego mi dotychczas uczucia rozkoszy. Leżałem z przymkniętymi oczyma, wsłuchując się w miarowe postukiwanie wagonów i zdawało mi się, że naprzekór smutnym myślom słyszę rytm ich kół, powtarzający wyraźnie: powrócisz, powrócisz, powrócisz...

. . . . .

## ZAKOŃCZENIE

Przymusowa podróż moja do czasu powrotu do kraju trwała cztery lata. Zmieniające się wciąż warunki tej wędrówki, podczas której zwiedziłem Indje, Daleki Wschód i Japonję, uzależniały sam charakter poszczególnych wrażeń i obserwacyj. Warunki te w początkach podróży z Aschabadu do Indyj pod czujną opieką „his majesty's service” nie pozwalały mi odbiegać od szlaku karawany i dlatego ten okres podróży posiada cechę wyłącznie osobistych przygód. Postanowiłem ująć go w oddzielną całość, jako poświęcony wyłącznie charakterystyce „his majesty's service”, i metodom postępowania stosowanym przez najśmielszy, według określenia Mr. Montague, naród na świecie względem wszystkich narodów słabszych.

Do dziś dnia od czasu do czasu telegramy ogłaszają światu, iż tacy to a tacy przestępcy polityczni zostali wywiezieni w niewiadomym kierunku z Bagdadu, Kairu i innych miejscowości, do których Anglicy roszczą swoje prawa. Lakoniczne te i napozór niewinne informacje dla mnie, który odbyłem już taką podróż w „niewiadomym kierunku”, zawierają w sobie więcej tragizmu aniżeli opisy najcięższych kar więziennych, stosowanych w krajach cywilizowanych. Podróże takie błędą w porównaniu z opisami sybirskich etapów za minionych carskich czasów w kierunku „kuda Makar tielat ganiajet” i walczą o lepsze z opisami losu prze-



stępców politycznych, więzionych w czerezwyczajkach Bolszewji.

Ośmiomiesięczny mój pobyt w Indjach, wyprawa na Daleki Wschód i dalsze przygody po ocaleniu się od zagłady, które zawdzięczam jedynie szczęśliwemu przypadkowi, odbyły się w okolicznościach, które dały mi możność rozszerzyć widnokrąg moich osobistych spostrzeżeń i obserwacyj i czerpać w wielu razach wskazówki i wiadomości od otoczenia i miejscowej ludności. Opisując losy dalszej wędrówki, będę w stanie zająć uwagę czytelnika nie tylko osobistymi przygodami, ale dać mu obraz tych prądów i nastrojów, jakie wywarła europejska wojna na narodach i plemionach wielkiego kontynentu azjatyckiego.

Odgłos upadku dwóch potęg, Rosji i Niemiec, zwalczających wpływy Anglji, odezwał się tam głośnym echem. Z niewoliło to owe narody do ocknięcia się z bezwładnego uśpienia, i natężenia sił i energii w kierunku tworzenia jednolitego solidarnego frontu do walki z potęgą Anglji, która pozbywszy się współzawodnictwa, zagraża im bezwzględny, hańbiącym ujarzmieniem.



~~BIBLIOTEKA  
Państwowego Liceum Pedagogicznego  
w GLIWICACH~~

~~Nr. \_\_\_\_\_~~